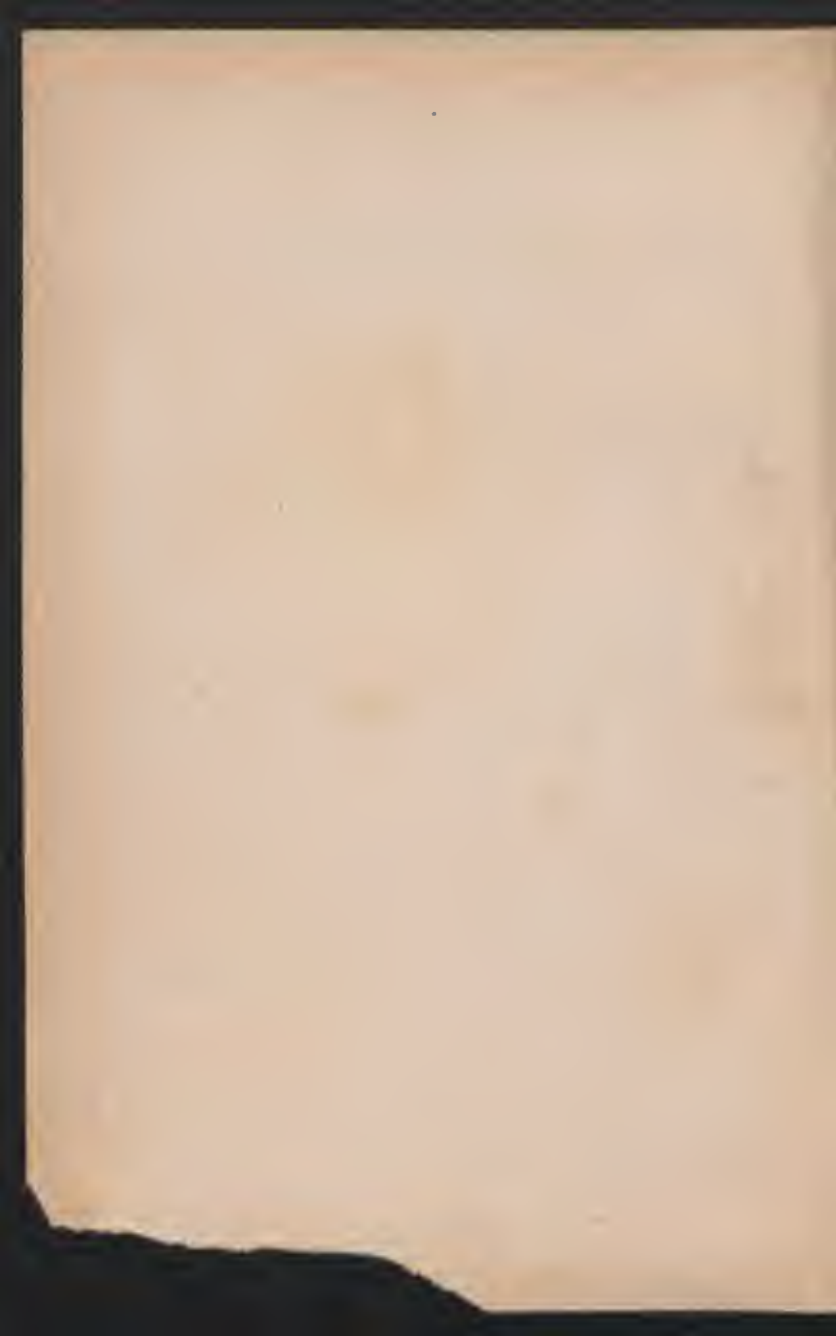


STAROSTA WARSZAWSKI.



STAROSTA WARSZAWSKI.

OBRAZY HISTORYCZNE Z XVIII WIEKU

PRZEZ

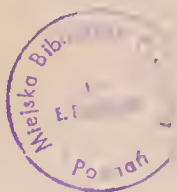
J. J. KRASZEWSKIEGO.

Tom III.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolff'a.

—
1877.



Дозволено Цензурою
Варшава 22 Сентября (4. Октября) 1876 г.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

I.

Zaledwie w początku roku 1763 doszły do Warszawy wieści o zawartym pokoju w Hubertsburgu, o opuszczających Saksonję wojskach pruskich, gdy znudzony długim pobytom w Warszawie August III — począł się wyrwać do Drezna... Pokój ten i powrót do stolicy okupiony był drogo. Straty Saksonii, o których zwrocie ani mówić sobie nie dawał Fryderyk pruski, liczone na trzysta milionów talarów, ludzi przeszło siedmdziesiąt tysięcy wyciągnięto z niej do wojska. Królowa wojnę tę przypłaciła życiem...

W lutym nastąpiły układy, a w marcu już królby się był wyrwał do ukochanego Drezna, gdyby to było możliwe. Ocieężały i przybity losem własnym i dzieci — odzyskiwał na chwilę żywości trochę myśląc, że się znajdzie znów w spokojnej stolicy

nad Elbą, gdzie wszystko tak mu było posłuszne i tak się składało wygodnie.

Brühl zaledwie mógł go już utrzymać w Warszawie, przedstawiając jakie po sobie ruiny zostawiała wojna... Wreszcie i pora samych wiosennych roztopów nie sprzyjała podróży, należało czekać aż śniegi znikną i oschną gościńce... Brühl starał się o to, aby teatr obrócony na magazyn, zamek uszkodzony, porabowane i na kordegardy pozajmowane pałace, na przyjęcie pana cokolwiek się odświeżyły... aby było go czém tam przyjąć i zabawić, czém mu długą wynagrodzić tęskotę.

Jak najmniej troszczono się o sprawy Rzeczypospoltej, w której walka od sejmu poczęta, wzmacniała się i coraz groźniejsze przybierała rozmiary... Brühl zostawiał tu syna, i przyjaciół i krewnych,— na Litwie Radziwiłła, na Rusi Potockiego z całą jego rodziną, w Warszawie Sołtyka i Mniszcha... Brühla i dwóch ostatnich, zwano żartobliwie *Trójcą dworską*... Trójca i jej rozpromienienie chwilowo siłę miały i przewagę... Z nią był stary hetman Branicki i wielu innych... *Familia* więc na pozór odepchnięta była i zwyciężona, ale nie wyrzekła się nadziei tego odwetu, który każdy dzień upokorzenie przeciągający, czynił straszniejszym... Wprawdzie wódzowie sami woleliby może byli już jakieś układy i porozumienie, o które potajemnie na dworze czyniono starania, lecz Brühl karmiąc nadziejami, był w nienawiści nieubłagany...

Ze wszystkich politycznych działaczy ministrowi podległych, syn może w intrygach najmniej był czynnym, bo wcale do nich niezdatnym... Wynagrodził go ojciec generalstwem artylleryi, które mu ustąpił, cześnikowstwo przenosząc na brata... i pan Aloizy, czując się w swoim żywiole, bo działa, prochy i kule bardzo go zajmowały—inny zostawiał polityczne kabały, któremi się brzydził... Z Młocin trzeba się było teraz przenieść do Warszawy...

Pałace Brühlowski i Saski, oba stały pustkami, mógł więc generał artylleryi, którego dwór powiększono znacznie i uczyniono bardzo świetnym, wybrać sobie rezydencję, jaka mu się podobała. Wolał Warszawę w istocie, aby cekhauzu być bliżej.

Z dala patrzący na jego życie—dziwili się temu pierworodnemu i spadkobiercy ministra, który po nim nie wziął najmniejszego usposobienia do zabiegów i intryg dworskich, i życie swe zapelniał w najoryginalniejszy sposób...

Znano go najprzód z wielkiej gorliwości około podniesienia artylleryi, która w chwili objęcia jej przez niego, prawie imienia tego nie była warta... Około dział i po prochowniach spędzał długie godziny... gromadził około siebie oficerów... krzątał się, aby ślad zostawić swjej komendy w mnóstwie ulepszeń... Gdy mu potem czasu stało, wracał czytać Moliera, pisać komedye dla teatru amatorskiego... rysować plany lub grać kwartety...

Gdy rozmowa zwracała się na rozogniające wówczas kwestye promocyi, znaczenia, dygnitarstw, zabiegów stronnictw i t. p., hrabia zaczynał ziewać, zamyślał się i najczęściej wysłuchawszy co doń mówiono, znajdował się w tém przykrém położeniu, iż nie wiedział o co chodziło. Myślą był gdzieś indziej.

W domu... płynęło życie tym trybem jak wówczas w wielu pańskich stadłach i gospodarstwach... Hrabina żyła i rządziła się swoim dworem, swym humorem: hrabia z wielkiem dla niej zawsze poszanowaniem i grzecznością, zostawiał jej swobodę zupełną, ale ją też dla siebie warował. Czasem spotykali się przy gościach, a gości w Młocinach, w Saskim i Brühlowskim pałacu bywało wielu — szczególnie cudzoziemców i artystów... Pani i pan mieli kółko swych przyjaciół i dwór osobny, który się łączył chętnie, choć może nie był zupełnie z jednych żywiołów złożony...

Wojewodzianka kijowska, nie dała się nigdy wciągnąć w ten świat europejski, świetny, wesoły, do którego Brühl należał... Pozostała tą, jaką z Krystynopola wyjechała, nieśmiałą, milczącą, smutną, pobożną, trwożliwą, po trosze zabobonna niewiastą, której serce zamknięte obawiało się odemknąć. Poczciwa Dumont była może jedyną jej przyjaciółką, dla której nie miała tajemnic; a nie można zaprzeczyć, iż Francuzka sprawiała interesa pani generałowej z gorliwością i poświęceniem nad-

zwyczajném... Szczególniej ów platoniczny romans z Godziembą miała na sercu...

Gdy w czasie sejmu 1762, zasłyszała o niebezpieczeństwie zagrażającém panu Tadeuszowi, którego stary Pinczuk chciał koniecznie z córką poswatać, Dumont nie miała chwili spoczynku, usiłując zapobiedz oddaleniu się Godziemby. Wpadła najprzód na niego samego, starając się go przekonać, iż się zgubi żeniąc z wieśniaczką, i na wsi zardzewieje w niwecz. Godziemba, któregośmy mało tu widzieli, był to w swoim rodzaju, osobliwszy człowiek, nie mówił wiele i trudno go było, jak naówczas powiadano, spenetrować. Francuzka usiłując go przyswoić i usta mu otworzyć, a ośmielić, wiele z nim biedy zażyła. Nie uciekał od niej, ale się z niczém nie zwierzał, i trudno go było skłonić do tego, od czego raz wstręt okazał. W pierwszej nawet chwili Dumont nie zrozumiała, czy do tego ożenienia miał czy nie skłonność, mówił o niém obojętnie ale bez wstrętu. Dopiero nierychło się odezwał, że na cudzjej łasce i na fartuszkach żoninym żyćby sobie nie życzył. Jednakże do starego Godziemby jeździł i nie odpychał ich wcale. Ale się to przewlekało.

Pani cześnikowa gdy o tém zasłyszała, że się Godziemba od dworu oddalić może, choć od niej zawsze z dala stał, mocno to uczuła, do tego stopnia, iż sama Dumont zaczęła w tym przedmiocie, z czego Francuzka niesłychanie była szczęśliwa. Chwyciła się tedy niezmiernie gorąco téj sprawy,

aby Godziembę, bądź co bądź, utrzymać... Aliści, drugiego czy trzeciego dnia zmieniło się usposobienie.

Brühlowa z jakąś gorączką i oczyma zaczerwienionemi, przywoławszy Dumont do siebie, odezwała się ściskając ją i całując:

— Moja druga Dumont, ja w tém widzę rękę Opatrzności. Sam Pan Bóg chce, aby to grzeszne przywiązanie ustało; sam On nastęcza zrzęczość oddalenia człowieka, na którego ja patrzeć nie powinienam...

Cześnikowa była bardzo pobożna, Dumont także, ale miała to przekonanie, iż w sprawach serdecznych Pan Bóg jest niezmiernie wyrozumiały, i — od czegoż spowiednicy? Ofuknęła więc mocno swoją wychowanicę za przesadzone skrupuły.

— Moja droga hrabino — rzekła, — przecież kochać i patrzeć w żadnym razie grzechem nie jest...

— Ale obowiązkiem, — odparła Brühlowa — miłość taką wyrwać z serca... Widoczna ręka Opatrzności, która mnie chce ustrzedz od... upadku...

— Od jakiego upadku? — przerwała Dumont... ja już nie wiem czy na całym świecie było kiedy dwoje istot szczerze się kochających, któreby tak prosto jak wy chodziły... Ażby sobie dobrowolnie jedyną pociechę w życiu odebrać — to się nie godzi...

— Ja to czuje w mojem sumieniu, — dodała cześnikowa — że powinienam owszem dołożyć stara-

nia, aby się on ożenił, oddalił, zyskał przez to rodzinę, przyszłość... a gdybym przez egoizm do tego przeszkody stawiała... byłabym niegodziwą kobietą.

Brühlowa mówiąc to płakała, i bardzo szybko i zrecznie łyzy ocierała, które wejrzeń Dumont nie uszły...

— Wszystko to nader jest heroiczne, — przerwała wybuchając — ale nie ma, za pozwoleniem, sensu... Hrabia się bałamuci i kocha w Sołłohubowój, nie masz pani obowiązków względem niego...

— Ale je mam względem siebie, — odparła hrabina. — Moja Dumont, lepiej żeby się oddalił — niech się oddali...

— Lepiej owszem żeby się ośmielił, przybliżył i żebyście byli choć raz w życiu szczęśliwi! — wybuchnęła ośmielona Francuzka; ale w téj chwili cześnikowa usta jój zatknęła i wpadła w rodzaj spazmów, z których Francuzka przestraszona ratować ją musiała...

Rozmowa ta przeciągnęła się długo, a z niéj Dumont wyniosła tylko to przekonanie, że miłość, która na pozór zdawała się jój wielce ostygłą, żywszą była niż kiedykolwiek...

Dumont uczuła się powołaną do uszczęśliwienia swéj wychowanicy, uważając jój skrupuły za niedorzeczność i dzieciństwo. Tymczasem trudno było nawet dowiedzieć się, jak stała sprawa ze starym Godziembą. Francuzka użyła fortelu dla wyszpie-

gowania. Pan Tadsenz staruszkę mamkę swoją, do której był bardzo przywiązany, utrzymywał we dworku na Bielanach. Wiedzieli o tém wszyscy. Chadzał do niéj wieczorami, siadywał godzinami i starał się jéj życie uczynić znośném. Sawaniha tęskniła do Rusi swéj, ale mając dziecko przy sobie, powoli się z nowém życiem oswajała. Francuzka, która nauczyła się przez długi pobyt w kraju i języka panów i tego, jak go zwała chłopskiego., postanowiła zapoznać się ze staruszką, aby przez nią starać się działać na Godziembę. Z Młocin do dworku na Bielanach nie było daleko... spacerem łatwo się tam przeszło. Francuzka dowiedziawszy się o dworku, zaszła doń wody się napić i wdała w gawędę z Sawanihą. Bardzo zrecznie umiała o Godziembie napomknąć i chwalać go bez miary, zyskała serce staruszki... Drugi i trzeci raz ją odwiedzając, uaprowadziła rozmowę na projekt ożenienia, o którym Sawaniha już wiedziała, a była za nim całą duszą. Wiele kosztowało Francuzkę przekonać ją, że nie miała słuszności, że się tak ożenić, było to zaprządz się do niewoli, i że Godziembę (to osłoniła tajemnicą) mogły daleko świetniejsze czekać losy.

Całe te zabiegi pocziwéj intrygantki, która romansu platonicznego nie mogła nigdy zrozumieć—rozbiły się nagle o wcale niespodziany wypadek... Ospy jeszcze naówczas nie szczepiono (jedna z pań Mniszchowych miała ją późniéj pierwsza wprowa-

dzieć), panowała ona w Warszawie... dostała jój panna Agnieszka Godziembianka... Staruszek nikogo nie znał, doktora nie wiedział gdzie szukać, szło mu o jedyne dziecko... przyleciał do pana Tadeusza, który urlop wzięwszy łatwo, poświęcił mu się cały na usługi.

Francuzka, dowiedziawszy się o tém, niemal w rozpacz i straszliwy gniew wpadła! Najprzód mógł sam Godziemba dostać strasznój choroby i być zdefigurowanym, potem mógł jej. uchowaj Boże, przynieść jeszcze do dworu. Stara Dumont obawiała się o resztki swych wdzięków.

Cześnikowa z heroizmem znosiła wszystko. Było w jój charakterze, kochać się w męczeństwie, znajdować w niém rozkosz, dziękować Bogu za krzyże, szukać dobrych a coraz nowych powodów do modlitw, łez, postów i martwienia siebie. Modliła się więc od rana do wieczora, oblewała łzami, i zasypiała z rezygnacją. Stań się wola Twoja.

Tymczasem panna Agnieszka, która po wiejsku ani umiała, ani chciała się szanować, zaziębiła się biedna i siły a zdrowie nie uratowały jój. Umarła biedna...

Rodzice oboje o mało nie poszaleli z żalu... A że Tadeusz cały czas był przy uich, że im i chorej służył jak własne dziecko, przywiązanie do zmarłej zleli na niego. W ich myśli był on jakby wdowcem po téj, którą mu za żonę przeznaczali.

Starzy go inaczej nie nazywali, tylko dzieckiem. Nie mówili mu nic o przyszłości, ale go trzymali przy sobie łzami swemi i pocziwą miłością dla niego. Gdy przeboleli nieco, poczęli się nazad w Pińskie do domu wybierać. Godziemba wieczorem przyszedł do Tadeusza, ręce mu obie na ramionach położył, rozplakał się jak bóbr biedaczysko i począł prosić.

— Moje dziecko — mój Tadiusi, odprowadź ty nas do domu, lżej nam będzie... Jejmość ciebie kocha jak syna...

W pół godziny potém stara Godziemba ścisnęła go płacząc i prosząc.

— Odprowadź nas na Zahorodzie... widzisz, że cię Jegomość kocha jak własne dziecko.

Starzy byli tak osieroceni, zboleli, że litość brała. Tadensz się zadumał, pocałował w rękę staruszkę i prosił o parę dni czasu. Dano mu, choćby tydzień. Okurzywszy się, obmywszy, poszedł naza-jutrz do Brühl, który dawno go nie widząc tęsknił do niego.

Zasłyszał coś świeżo mianowany generał o wypadku Godziemby, i niemal rad był nieszczęściu, które dawało nadzieję, że Tadeusza przy sobie utrzyma. Był to jego sekretarz domowy, poufny, człowiek, bez którego obejść mu się było trudno. Miał oprócz tego jeden jeszcze przymiot, który go czynił Brühlowi drogim. Pan Aloizy, wielki wielbi-ciel Moliera, pisał komedye niemieckie, tłómaczono

je po francuzku i po polsku i grywano na improwizowanych teatrzykach domowych. Brakło często amatorów, Godziemba miał talent niepospolity, grał młodych paniczów wyśmienicie.

Ukazanie się Tadeusza uradowało generała.

— Co się z tobą działo? dzieje? narzeczoną ci słyszę umarła? — zapytał żywo.

— Nie była moją narzeczoną — rzekł Godziemba — nie myślałem się wcale żenić, ale ludzie poczciwi, rodzice, co stracili dziecię jedyne, są w rozpacz. . . musiałem się nimi zająć. Są mi krewni, a co większa, są sami w świecie i bardzo biedni.

— Cóż na to poradzimy? — zapytał Brühl.

— Żądają po mnie, abym ich odprowadził do domu. . .

— Bardzo dobrze — ale, zlituj się, wracaj! rachowałem i rachuję na ciebie. Sprawy mojego generałstwa dają mi tyle do roboty, że się bez twój pomocy nie obejdę. Tyś prawa ręka moja.

Skłonił się Godziemba.

Francuzka, mimo wiedzy generałowej, zręcznie bardzo miała czas téż poddać Brühlowi myśl, że i żona jego często potrzebuje sekretarza i lektora. Lektorowie byli naówczas po dworach prawie konieczni. Dumont narzekała na oczy. Wmówiła więc Brühlowi, żeby Godziembie parę godzin w dniu polecił czytać, i listy urzędowe niejako, do których pisania była zmuszona pani Brühlowa ekspedycyować. Generał więc dodał:

— A i żonie mojej jako lektor i sekretarz mógłbyś być użytecznym — więc cię nie puszczę.

Posłyszawszy to, zmieszał się mocno pan Tadeusz — lecz jakoś Brühl tego nie postrzegł. Godziemba wychowany, jak wojewodziańska, na dworze bardzo pobożnym i surowych obyczajów, był równie religijnym jak ona. Nieszczęśliwa miłość ta dręczyła go niewypowiedzianie, czynił sobie za nią wyrzuty sumienia. Usłyszawszy o zbliżeniu się do hrabiny Brühlowej — chociaż się uczuł szczęśliwym z tego — był razem mocno zaniepokojonym. Wystawiało go to na nowe męczarnie i niebezpieczeństwa. Radby się był przez poszanowanie tej, którą kochał, oddalił zupełnie — a serce — serce go tu przykuwało.

Zmilkzał.

— Jedź waćpan — rzekł Brühl — ale wracaj, i wracaj, zmiłuj się, co rychlej — bo, jeszcze ci raz powiadam, nie obejdziesz się bez was. Bądź pewnym, że ocenić potrafię pracę.

Po widzeniu się z Brühlem, gdy się chciał wymknąć z Młocin Godziemba, Francuzka, która na niego czatowała, chustkę oblaną lawendą trzymając przy ustach i nosie, gwałtem go wciągnęła do swojego pokoju.

Pilno jej było zapowiedzieć mu, że ona to zrobiła, iż się będzie mógł zbliżyć do generałowej.

Godziemba przyjął to raczej przestraszony niż szczęśliwy. Dumont się w głowie pomieścić nie mogło, że ci kochankowie tak utrapienie byli pocz-

ciwi. Im się o tém bardziej przekonywała, tém mocniej ją korciło naprowadzić ich na dobrą drogę.

Wesoło i gadatliwie przyjęła Godziembę, a chcąc go związać koniecznie, skłamała — mówiąc, że pani generałowa kazała mu się z sobą widzieć koniecznie. Nie dając czasu do rozmysłu, oblała go wodą pachnącą dla bezpieczeństwa i kazała iść za sobą.

Śmiało wkroczyła z nim do gabinetu generałowej, która na widok wchodzącego o mało nie zemdliała ze strachu. Podniosła się jednak z uśmiechem bolesnym na ustach. Francuzka bardzo żywo zagałowała sprawę, iż woła jest pana generała, aby JmP Pan Godziemba służył jój za lektora i sekretarza. To powiedziawszy, zakręciła się Dumont i niby czegoś zapomniawszy, wyszła.

Pierwszy niemal raz w życiu znaleźli się tak sam na sam.

Generałowa zmuszoną była oprzeć się na stole, aby nie upaść; Godziemba drżał jak liść — słów zabrakło obojgu... Aż pan Tadeusz się nakoniec ośmielił i począł za tę łaskę pani dziękować. Splątał się, zmięszał, nie wiedział co mówić i sam nie pojmując jak, znalazł się u podanej sobie ręki białuchnej, wychudzonej, drżącej, którą gorącemi całował usta.

Generałowa zakryła sobie oczy.

— Wracaj więc pan — rzekła — proszę... będę na pana oczekiwała... i modliła się na jego intencję.

Nowe nastąpiło ręki pocałowanie.

Dumont schylona patrzała przez dziurkę od klucza.

Godziemba zaczął opowiadać o swych krewnych, o potrzebie ich odprowadzenia, o litości jaką miał nad nimi. Kilku słowy przerwała generałowa bardzo i coraz bardziej pomieszana. Nareszcie dała na drogę przysłusze sekretarzowi różaniec, aby się na nim modlił i jeszcze raz rękę do pocałowania. Godziemba tak oszalał, że przykleknął. Generałowa zasłoniła sobie oczy. Skończyło się na tém, że mu nad głowę zrobiła krzyżyk prosząc, aby się szanował... Godziemba kierował się ku drzwiom, błędząc jak pijany, gdy Francuzka weszła napowrót.

Zobaczywszy niemal osłabłą wychowanicę, musiała już zostać przy niej... Wprawdzie trochę się więcej spodziewała po tém spotkaniu, lecz — nie była téż z niego niezadowolona. Krok jakiś naprzód był uczyniony.

Nie wiedziała pocziwa Dumont, że kawaler poszedł z różańcem do kościoła i klęczał tam płacząc łzami gorącemi pół godziny, i że generałowa za słabość, jaką okazała, naznaczyła sobie post i pa-cierze...

Niemniej jednak na szyję się rzuciła Francuzce i darowała jój tego dnia piękny łańcuch złoty... Dumont była uszczęśliwiona ze swego trafnego postępowania.

Pan Tadeusz pojechał do Pińska z Godziem-
bami, z mocném postanowieniem powrócenia do
Warszawy co najrychlej. Różaniec włożył na rękę
i na chwilę się z nim nie rozstawał. Smutna twarz
generałowej nie schodziła mu z oczu. Podróż na
Zahorodzie była długa i męcząca, stary w drodze
kilka razy chorował, łamały się osie, konie kulały,
wlekli się powoli.

Naostatek przybyli tam, gdzie Godziem-
bom każdy kątek ich dziecko drogie przypominał. Cała
służba się zbiegła z płaczem witać tych starych
sierot dwoje. Scena była rozczulająca, a pan Ta-
deusz, choć obcy, od łez się wstrzymać nie mógł.
Matka, niemal więcej okazała rezygnacyi i męztwa
od starego, który się zachodził, szlochał i powta-
rzał: Niema dziecka mojego.

Jakże tu było porzucić biednych zaraz — choć
powracać musiał pilno?... Dano mu najlepszą izbę
gościnną, pieściono jak syna, ludzie go nazywali
swoim paniczem i rozpadali się służąc mu. Konie,
strzelby, psy, niewody, łodzie, wszystko było dlań
na usługi. Stary, nie mówiąc nic, oprowadzał go
po gospodarstwie... pokazywał... opowiadał, jakby
mu wszystko chciał zdać jutro. I on i staruszka
starali się z najpiękniejszej strony okazać przyby-
łemu ten kraj, otoczony błotami, oblany wodami
jak wyspa, żyzny, cichy spokojny, od świata od-
dzielony, w którym nic nie brakło, czego jak po-

wiadano, dusza zapagnęła. Zdawali się chcieć tego, aby się Tadeusz na Zahorodziu rozkochał.

O wyjeździe nie mogło być mowy. Następných dni zjechało się sąsiedztwo, dwóch Skirmunttów, jeden Twardowski i Kwaśniewski, stary druch Godziemby. Wszyscy się popłakali, wszystkim gospodarz prezentował gościa, jako dziecko swoje. Wiedzano téż, iż się miał żenić z Jagusią; a nikt nie wątpił, iż mu stary odda co ma po sobie. On sam unikał mówienia o tém, zdał to snadź na Kwaśniewskiego, który był człek poważny i rozumny, a niegdy regent kancelaryi grodzkiej w Pińsku. Kwaśniewski, snadź z naprawy Godziemby, wziął młodego na stronę i począł mu wystawiać przyjemności żywota wiejskiego.

— Wiem ja to — mówił regent — iż trzymając się klamki pańskiej daleko zajść można, że to życie dworskie smakuje... ale mości panie, — nie warto ono się mierzyć z żywotem szlachcica na wsi. Tam się wielkości kupują upokorzeniem i niewolą, ja tu pan i nikogo, oprócz Pana Boga nad sobą nie znam, tum ja król. Drugim mogę uczynić dobrego wiele, a sam być szczęśliwym.

— Nie przeczę temu — odparł Tadeusz — że na starość wieś szlachcicowi przystała; ale za młodu czy rycersko, czy dworsko, czy przy sądach, trzeba się przecierać i uczyć.

— Aby niedługo — rzekł Kwaśniewski — bo się można zetrzeć w niwecz. Dla tego ja, choć

mi na regentostwie do kieszeni plynęło... choćbym był mógł znaczniejszej się fortuny dorobić, wolałam na jednej wsi siaść, żonę wziąć i Pana Boga chwalić, dzieci wychowując dla Niego. Takbyś i acindziej powinien uczynić dworską służbę cisnąć do kata, a tu sobie osiąść.

— Aleć ja — rzekł Godziemba — niemam ani z czém, ani na czém.

Spojrzał nań Kwaśniewski uśmiechając się.

— Jakbyś to acindziej tego nie spenetrował i nie widział, że mu starzy wszystko chcą oddać, byle przy nim siedzieć mogli. Pocziwą żonę i hożą, a i bez kołtuna — toć tu nie wszyscy z kołtunami chodzą, znajdziemy jegomości na poczekaniu.

Pan Tadeusz oczy spuściwszy milczał.

— Takiej łaski ani się czuję godnym — rzekł — anibym ją mógł przyjąć. Co lekko przyszło, to się nie ceni; pracować muszę sam. Przy tém, mam jeszcze obowiązki u generała.

— E! porzuciłby to do kroćset! — szepnął Kwaśniewski — co za obowiązki! Szlachcic może sobie szukać gdzie mu lepiej. Chyba tam acińdzieja serduszko do jakiej dworki ciągnie, a z tego życzyłbym się zwolnić, bo to amory warszawskie nie zdrowe; kobiety popsute, szczęścia w tém nie znajdziesz, chyba łysinę i suchoty.

Z długiej rozmowy, nic jednak regent nie wniósł nad to, iż musiał koniecznie pan Tadeusz do Warszawy powracać.

Trzeciego dnia potém starzy oboje, uroczyście wezwawszy pana Tadeusza, oświadczyli mu, iż cały majątek na niego dymittują; a żeby mu do ożenku nie zawadzali, sami się nawet ze dworu do bliższej oficyny wynieść chcieli. Popłakali się wszyscy. Tadeusz im do nóg padł dziękując, ale stanęło na tém, że chciał na ich łaskę zasłużyć, że musiał do Warszawy wracać, do nich zaś miał dojeżdżać, mieszkać czasami.

Nie śmieli mu gwałtu zadawać, ale stary sprowadził nie zwlekając regenta i akt donacyjny razem z żoną, dożywocie sobie zapewniając (przy czém obstał młody) sporządził. Jejmość, choć się jój serce krajało na córki wspomnienie, obrachowała snadź, że możeby młodego dziewczyna za serce chwyciwszy — wstrzymała. Sekretnie więc najprzód w odwiedzinę zaproszono pana Twardowskiego z córkami... A było ich dwie, pięknej urody i wychowania. Potém do Twardowskich Tadeusza zawieźli, gdzie ich przyjmowano bardzo gościnnie. — Starszej panience imię było (nowomodne) Elwira, mówiła po francuzku i grała na klawikordzie. Lecz tak wysoko się ze swą edukacją, rodem i posagiem nosiła, iż śmielszy od Tadeusza byłby się jój nastraszył. Panicz się jój pono podobał, był dla niej bardzo grzecznym, lecz gdy go potém Godziemba stary badał, przyznał mu się, że gdyby kiedyże-nić się miał, szukałby skromniejszej niewiasty. Przyznali starzy oboje, iż miał słuszność. Panna była

piękna, ale na wsi już tęskniła i nudziła się nią, do wielkiego świata wzdychając.

Po téj próbie pokój dano. Gdy wyjazd się stał nieuchronnym, wymogli na Tadeuszu, żeby brykę na ressorach nową i cztery młode konie ze stada wziął jednomastne; sama jejmość, czém dom miał, wyładowała na podróż sepeciki. Jak syna go wyprowadzili, płacząc a żegnając pocziwi starzy. W ganku Godziemba porwał go w ramiona, przytulił siwą głowę do jego twarzy i przerywanym łzami głosem rzekł:

— Pamiętaj, żeś tu rodziców zostawił, którzy po tobie tęsknią, a niech cię aniołowie, stróżowie i święci pańscy prowadzą i odprowadzają.

Smutny pan Tadeusz, pojechał do Warszawy, jakby istotnie dom własny, ojca i matkę zostawiał za sobą...

II.

W kwietniu 1763 roku, opuścił król August III. Warszawę, i ostatniego tego miesiąca stanął w opustoszoném Dreźnie. Dnia 1. maja po wszystkich kościołach stolicy, przy biciu z dział i dzwonach, odśpiewano *Te Deum*, a dnia 3. t. m. przywiezione napowrót z Königssteinu cenniejsze obrazy swój galerii, te najdroższe klejnoty. Sykstyne swą, Tycyana, grosz Cezara, Magdalene Corregia, Noc sławną oglądał znów rozmiłowany król, oczyma zalawionemi.

W teatrze były pustki jeszcze... czuć w nim było stęchłą przysmak pruskich magazynów... dekoracye spłowiały, artyści się rozbiegli, muzykę zbierać musiano. Król tęskno, smutnie, nieśmiało pytał codzień Brühla, kiedy usłyszy znowu słowicze głosy

swoich śpiewaczek. Trzy całe długie miesiące czekać było potrzeba na tę chwilę upragnioną aż dnia 3-go sierpnia, w dzień imienin króla i uroczystości ustanowienia orderu Orła, otwarły się drzwi długo zamknięte, król wszedł do łoży znowu, zagrano mu Hassego Siroë... Odtąd powtarzała się ona, aż dopóki nie przygotowano *Talestris, regina delle Amazoni*. Była to opera, którą serce ojcowskie mogło się radować, bo jój libretto i muzykę zarazem utworzyła utalentowana wielce synowa króla, a aktorami była królewska rodzina. Talestris samą grała Marya Antonina.

Po Talestris, miała na urodziny sześćdziesiąte siódme króla daną być opera *Leucippo*... gdy znudzony życiem, znękaný bezczynnością, król August III. nagle, u stołu, na dwa dni przed tym dniem, dnia 5go października rozstał się ze światem, z Saskonią, z Brühlem, z galeryą swą i operą.

Łatwo było przewidzieć, że śmierć króla zakończy to panowanie Brühla — którego kresu wszyscy tak niecierpliwie oczekiwali. Minister czuł już swój upadek... i po śmierci pana zachorował. Kurfirst następca odjął mu natychmiast wszystkie jego dostojęństwa i urzędy.

Generał artylleryi zaraz po śmierci króla przybył do Drezna i pozostał przy ojcu razem z braćmi. Rzeczpospolita tymczasem przeszła niemal cała pod władzę i kierunek *familiï*, która słabością króla i Brühla siłą nabrała. Wojska obce kraj zalewały.

Stronnictwo Radziwiłłów i Potockich, silne szablami, nie miało głowy, coby je umiała prowadzić. Przy-
spasabiała się już konfederacya zamierzająca z tronu
zrzucić Augusta III. gdy Opatrzność oczy mu zam-
knęła. W chwili jego zgonu, stronnictwo dworskie,
mimo hetmana Branickiego, potęgi Radziwiłła, zbio-
rowych sił trzydziestu Potockich z wojewodą kijow-
skim na czele, mimo Sołtyka, mimo wszystkich
swych adherentów, widomie słabsze było niż obóz
przeciwny. Już to samo czyniło je takim, że mię-
dzy dowódcami kilku liczyło pretendentów do ko-
rony, — dość silnych, by jój pożądać, za słabych,
aby ją otrzymać.

W chwili gdy wieść o śmierci króla nadeszła
do kraju, sprawa trybunału wileńskiego, którym
owładnął Radziwiłł, trzymała wojsko nadworne wo-
jewody na stopie wojny i wszystkie siły *familii*
przeciwko niemu zgromadzone. Lękano się wybuchu,
zaledwie powstrzymanego staraniem Branickiego
i Mokronowskiego. Rozdrażnienie partyj walczących
z sobą o lepszą, rozbiecie na obozy nieprzejednane,
kazało się obawiać w czasie bezkrólewia największych
klęsk — najstraszniejszego zamieszania, na które
i obcy obojętnie patrzeć nie mogli.

Młody Brühl, którego położenie w kraju przy-
swojonym mogło być nadzwyczaj trudne — przebył
u łóża ojca chwile przesilenia. Minister odprawiony
przez kurfirsta... otoczony dziećmi, na lepszy świat
przygotowany przez protestanckiego duchownego

(bo się to działo w Saksonii) — zmarł, spełniwszy za zdrowie swych przyjaciół kieliszek starego węgierskiego wina.

Rodzinie jego pozostawał spadek ogromny, ale razem z nim ciężary niezmierne, odpowiedzialność moralna za długie rządów lata, odsłonięcie niezliczonych tajemnic dotąd zakrytych, otwarcie tysiąca ust, które na zamknięcie trumny oczekiwały.

W Saksonii zasekwestrowano Brühlom majątek cały po ojcu; w Rzeczypospolitej wrócono do zarzutu nieszlachectwa i zabierano się obu braciom urzędy, starostwa, dygnitarstwa, dowództwa odbierać. Szczęściem przez poszanowanie dla pamięci zmarłego króla, sekwestr wpędce zmiesiono w Saksonii — choć w Polsce uzyskana siła nowa przez *familię* odzierała generała z tytułów i posiadłości.

W październiku zmarł król na początku, w końcu jego Brühl zamknął oczy, wszystkie kłeski sypały się razem — ale stałego umysłu pana generała nie zachwiać nie mogło. Tam, gdzie mu największe zdawało się grozić niebezpieczeństwo, postanowił wrócić dobrowolnie, aby mu stawić czoło. On i brat jego cześnik w listopadzie wybrali się do Warszawy, gdzie sama jedna, otoczona niechętnymi, ale spokojna i niemal obojętna, modliła się i szyła ornaty hrabina Brühlowa.

Dom jój stałby był może pustkami, gdyby nie wielki napływ do stolicy wszystkich Potockich, którzy wspólnie z panem wojewodą kijowskim niezmiernie

byli czynni. Przewaga *Familii*, która po kraju jednała sobie stronników, siłę czerpiąc po za granicami jego, zmuszała Radziwiłłów, hetmana i Potockich do pilnego czuwania nad sobą. Dom więc pani generałowej stał się, mimo jój woli i chęci, miejscem schadzek i narad, które się tu nieustannie odbywały. Z Krystynopola szły listy, posłańcy, polecenia, nie dające odpoczynku... Z posłuszeństwem dziecięcia generałowa zlecenia spełniała, choć do wszystkich tych spraw serce jój nie przywiązywało wagi.

W tém jedném może zgadzali się z sobą małżonkowie, iż dla obojga ambicya była obcą. Generał artylleryi miał tę jedną, iż chciał być użytecznym człowiekiem, cenił środki, jakie mu los ku temu dał w ręce... ale, gdyby ten sam los z życia publicznego go wytrącił, skazał na spoczynek domowy i zabawianie się ciche książkami, sztuką, w kółku ludzi wybranych, nic a nic nie czułby się nieszczęśliwszym.

Pod tym względem młody Brühl więcej miał charakteru ojca chrzestnego, Augusta III, aniżeli rodzonego... Płakał on po nim, bo stary Brühl dobrym był dla swych dzieci i czuwał nad zapewnieniem ich losu, lecz czuł się teraz swobodniejszym, nie będąc zmuszonym stawać się ofiarą rachub i intryg, których korzyści nie rozumiał. Łacno mu było przewidzieć, iż w Rzeczypospolitej z trudnością się potrafi utrzymać na swém stanowisku; —

nie obchodziło go to wiele — patrzył z rezygnacją, okiem spokojnem na przyszłość.

W Warszawie, w pałacu Saskim, do którego na zimę przeniosła rezydencję pani generałowa, część gwardyi jeszcze zajmowała stanowisko i strażę, służba króla pozostała jak dawniej — Brühl miał pozwolenie zostać pod opieką obu. Na dni kilka przed przybyciem jego nadbiegł kurier z Drezna, oznajmujący o generale i bracie jego. Nowinę tę hrabina przyjęła ze zwykłym sobie chłodem i rezygnacją. Jój tu tak jakoś było dobrze, spokojnie samój jednéj, pomiędzy kościołem, nabożeństwem a uprzejmą służbą pana sekretarza Godziemby i przyjacielską troskliwością staréj Dumont, iż przybycie męża chyba zatrwożyć mogło, aby tego szczęśliwego nie zakłóciło spokoju.

Francuzka, pomimo całej swéj gorliwości w zbliżaniu tych serc kochających, które pragnęła połączyć; nie potrafiła jednak ani o krok dalej posunąć tego stosunku dziwnego, który już dla niéj stawał się niezrozumiały.

— *C'est du grec pour moi!* — mawiała do dobrej swéj przyjaciółki, dla którój nie miała tajemnic — do pani St. Aubin, właścicielki magazynu mód na Krakowskiém-Przedmieściu, u którój przebywać lubiła. — Że się oni kochają, to nie ma najmniejszój wątpliwości, że ten człowiek żyłaby za nią dał, to pewna jak Bóg na niebie, że ona tyle ma szczęścia póki na niego patrzy i słucha go,

ani wątpić, a mimo to... zbliżyć ich nie ma podobieństwa... Nic im w świecie nie przeszkadza, oprócz tego co ona cnotą nazywa, a on poszanowaniem... A modlą się, powiadam ci!... Ile razy przypadkiem dotknie się hrabina ręki sekretarza, że to snadź na niej czyni impressyę, zaraz pości, a on ani dnia nie opuści, żeby Pana Boga nie nudził lamentując... Takię miłości anim sobie wyobrażała... anim mogła przypuścić... monstrualna... Męczą się, a żeby się to choć komu na co przydało! Brühlowi to tak obojętne... Miłość usmażona w nabożeństwie — dodawała Dumont zniechęcona wielce — piękna mi konfitura!!

W dzień przybycia generała do Warszawy, ostatnich dni listopada, dosyć liczne grono przyjaciół oczekiwało nań w apartamentach Saskiego pałacu: starsza siostra pani Mnischowa, piękna i poważna kobieta, której wykształcenie i wychowanie dawało wielką wyższość nad wojewodziną kijowską, oboje Sołłohubowie, naostatek ksiądz biskup krakowski Sołtyk, jeden z najmiłszych w towarzystwie ludzi, który był wiernym przyjacielem Brühla i sługą nieboszczyka króla....

W Sołtyku, mimo sukni duchownej, trudno było dopatrzeć powołania kapłańskiego. Człowiek był wielkiego świata, wychowaniec dworu, pełen talentów, lubiący sztukę — jak wszyscy saskiego dworu uczniowie, muzyk, miłośnik teatru i kwiatów, przepychu i świetności... Umysł niezmiernie żywy,

wesołość i dowcip, galanterya dla dam, swoboda mowy i obejścia, więcej w nim francuzkiego *abbé*, niż polskiego duchownego przypominały.

Piękna twarz i zręczna postawa, do której zdawał się przywiązywać wagę, ubiór zawsze świeży i wykwinny, wskazywały człowieka, którego charakter nie odpowiadał powołaniu, i który walczyć sobie nie zadawał pracy nad tém, aby się innym niż był wydawać.

Oprócz niego, pani Mniszchowej i Sołłohubów, z Potockich był tu jeszcze znany ze swój ekscentryczności i zuchwałego obejścia starosta szczerzecki, którym się często posługiwał wojewoda kijowski, mężczyzna postaci okazałej, mówiący głośno, śmiejący się krzykliwie i poczynający sobie w towarzystwie nieco po żołniersku. Znano go z fantazyj niemal do starosty kaniowskiego zbliżających i buty, którego żadnego hamulca nie znała. W salonie starosta bywał postrachem kobiet i niepokojem mężczyzn, bo nigdy odgadnąć nie było podobna, z jaką wystąpi fantazyą, lub z jakim rumieniem wywołać mogącym wyrazem.

Zmęczone rysy twarzy, oczy nabrzękłe, rozogniona cera, kazały się domyślać życia wcale nie oszczędzanego. Strój zaniedbany dozwalał posądzać, że z garkuchni od swobodnych koleżków, dostał się wprost do pałacu. Nie był to jednak człowiek zaniedbanego wychowania, i owszem znać na nim

było jak najstaranniejsze, ale rozpasaniem i jakby wzgardą form wszelkich popsute...

Pierwsze miejsce w salonie zajmował naturalnie ks. biskup krakowski, rozparty na krześle przy kanapie, obok pani generałowej przyjmującej w nim duchownego, gdy prałat zdawał się o to starać tylko, aby o tém zapomniano. Wsparty od niechcenia na rękę, Sołtyk, którego koronkowych mankietów i klejnotów mogła pozazdrościć największa elegantka, miał twarz dosyć zakłopotaną i posepną... Trochę opodał siedząca hr. Mnischowa, piękna i spokojna postać, przeglądała rysunki jakiegoś dzieła, przyniesionego z biblioteki... Sołłohubowa zawsze cudnie piękna, a tego dnia więcej ożywiona niż kiedykolwiek, roztargnioném okiem spoglądała po twarzach obecnych. Za jój krzesłem stał mąż, blady, zamyślony i znużony...

Starosta szczyrzecki, któremu na miejscu trudno było usiedzieć, przechadzał się po salonie, poruszając się z fantazją taką, z jaką rzucał słowami... Gospodyni domu milcząca, wydawała się więcej zakłopotaną niż szczęśliwą ze swych gości, których zabawić jój było trudno. Dumont byłaby jój w tém zapewne pomocą, gdyby rozmowa się nie toczyła o sprawach Rzeczypospolitej, których ona mało była świadomą.

Przybycie hr. Brühla zapowiedziane było na wieczór nieochybnie... Spodziewano się go też co chwila, i generał z bratem przyjechał w istocie

o oznaczonej godzinie, lecz musiał się przebrać, nim mógł ukazać się u żony... Rozmowa toczyła się właśnie o Dreźnie i Maryi Antoninie żonie kurfirsta... gdy Brühl z bratem wszedł na pokoje, a zarumieniona żona uznała za właściwe zbliżyć się doń kilka kroków na powitanie. Generał ucałował jej rękę z wielką uprzejmością, po cichu kilka słów przemówiwszy, a tuż do stojącej blisko zwrócił się zaraz pani Mnischowej, która go serdecznie, jak on ją, uściśkała...

Zaczęły się powitania z biskupem, który bardzo gorąco przyjął generała — ze starostą szczyrzeckim, który śmiał się i krzyczał, z panią Sołłohubową, której oczy oddawna się spotkały ze wzrokiem Brühla, a twarz zdradziła uczucie, naostatek z Sołłohubem, a nawet ze starą Francuzką, dygającą z daleka...

Mimo żałoby domu i królestwa, przykrych zawodów i przejść, jakie go spotykały i których się mógł spodziewać generał, twarz jego była wypogodzona, zdawał się zupełnie spokojnym i niestrwożonym... Usiadł przy biskupie, naprzeciw pani Sołłohubowej, i zaczął mówić o swjej podróży...

Biskup słuchał roztargniony. Widoczném było, że przyjaciel saskiego domu pośpieszył tu na powitanie przybywającego w nadziei dowiedzenia się co słyhać było w Dreźnie.

Zwolennicy saskiej dynastyi łudzili się jeszcze tą nadzieją, że słaby, ułomny, niedołężny Fryderyk

Chrystyan... a raczěj nadzwyczaj zdolna, zręczna i zabiegliwa żona Marya Antonina, która pragnęła tronu i królewskiej korony, potrafiła za poparciem mocarstw i pomocą partji dworskiej zwyciężyć na przyszłej elekcji... Biskup Soltyk był jednym z tych, którzy sobie tego najmocniój życzyli... Autorka Talestris, królowej amazonek, uczennica sławnego Porpory — była bardzo łaskawą na biskupa, a ksiądz Siewierza wielkim wielbicielem nie tylko jęj rozumu i talentów, ale nawet wdzięku niewieściego, który u nięj piękność zastępował...

Wszyscy pragnęli natychmiast, dōbyć z przybyłych wiadomości, jakie przywozili z sobą. Pani Mnischowa, młodszego brata wzięła do wybadania na ustępie — reszta towarzystwa czekać masiała, aż generał dozwoli się zacząć badać. Brühl do tego mało okazywał ochoty.

Dwa czy trzy razy biskup go po cichu zagadnął — i otrzymał grzeczną, wymijającą odpowiedź... Oczy Brühla szukały przedewszystkiem jednęj uśmiechającęj mu się z dala twarzyczki, i pozoru, by się do nięj mógł przybliżyć... On i Solłohubowa mówili z sobą z dala tym językiem wejrzeń, który powiada wiele, ale rodzi pragnienie, aby to usta mogły powtórzyć.

Soltyk zrozumiał wprędce, iż do rozmowy o poważniejszych sprawach chwila jeszcze nie przysła... Generał wstał wprędce i począł od Solłohuba samego, zapytując go o zdrowie; to mu dozwoliło przy-

sunąć się nieco do pani, i podać jęj rękę raz jeszcze... Wcale się nie troszcząc o wejrzemia i świadków, zwróciła się ona ku niemu z powitaniem, w którym radość szczerą znać było... Wtém starosta szczerzecki zostawiony sam sobie i trochę tęp dotknięty, odebrał Sołłohuba i na chwilę generała samego przy żonie jego zostawił.

Miała czas szepnąć tylko:

— Nieznośne natręty! ale przyjdźże jutro do mnie!...

— Piękna kuzynko — odparł Brühl — nie potrzebowałem ani zaproszenia, ani przypomnienia. Jeślim z Drezna tu w paszczę moich nieprzyjaciół dostać się tak pospieszał, wierz mi pani, twe oczy więcej niż polityka do tego się przyczyniły...

— Bardzom za to moim oczom wdzięczna! — cicho szepnęła Sołłohubowa — lecz tyle tylko powiedzieć sobie mogli, bo pani Mniszchowa z powagą starszej siostry wabiła go już do siebie. Cześnik jęj nie starczył, Alojzemu wierzyła więcej i lepiej z nim sympatyzowała. Zmieniło się więc o tyle, że młodszy Brühl przysiadł się do Sołłohowej, a starszy do siostry.

W chwilę potęp podano wieczerzę i towarzystwo przeniosło się do jadalnej sali, a u stołu już mowa tylko była o tych rzeczach, o których i przy służbie i na ulicy bodaj mówić można. Kurfirstowa, którą zwano imieniem jakie jęj nadała akademia pasterzy arkadyjskich — Ermelindy, osoby

dwór jój składające, nowe słońca na horyzoncie drezdeńskim wschodzące... muzyka, malarstwo, teatr, którym pod panowaniem Ermelindy świetną wróźono przyszłość — były przedmiotem powszechnego zajęcia... i nie dziw, że starosta szczerzecki pił tylko i ziewał słuchając.

Rzecz godna uwagi, jak niemal od Augusta Mocnego, który sam więcej przepych i świetność lubił niż sztukę, miłość kunsztów zagnieździła się na dworze i przeszła na wszystko co go otaczało. Gdy Fryderyk pruski zaledwie w nagiój Magdalenie Battoniego miał upodobanie, żartując sobie ze sztuki i artystów, August III żył niemal obrazami, teatrem, muzyką, żona jego malowała pastele, pierwszy minister zostawił galeryę przepyszną, jego syn był muzykiem, malarzem, pisarzem dramatycznym, córka Mnischowa przyjaciółką Winckelmanna, a kurfirstowa, uczennica najświetniejszego z kompozytorów ówczesnych, sama też uprawiała sztukę namiętnie.

Młody Brühl należał właśnie do tego świata, który wyrósł z miłością kunsztu, na ruinach swawoli Augusta II i jego kochanek... Było to dziecko swojego wieku, w całym tego wyrazu znaczeniu; bo w nim talenta przyjemne łączyły się z umysłem męzkim i poważniejszą nauką, która przyszłość zdrowszą zwiastowała.

Mówiono więc o operze, o muzyce... o amator-skich teatrach, a jak najmniej o polityce, choć biskup i starosta szczerzecki radzi byli właśnie

i z Brühla coś wyciągnąć, i jemu opowiedzieć co się tu święciło...

Dopiero po wieczery, gdy damy przeszły do salonu, ks. Sołtyk szepnął, że radby pomówić na osobności z generałem. Obaj oni, starosta i Sołłohub, weszli natychmiast do pobocznego gabinetu... Tu księżę Siewierza nie usiadł jeszcze, gdy zagadnął Brühla:

— Cóż przywozicie? co się dzieje na dworze? są jakie nadzieje, że kurfirst... seryo się weźmie do starania o koronę?

— Kurfirst? — rzekł cicho generał — to znaczy chyba, że Ermelinda za niego zajmie się tą sprawą. Wiecie jak mało on może i jak niewiele potrafi. W Rzeczypospolitej król bez nóg, który ani na konia siąść, ani nawet przejść o swój sile przez pokój nie może, nie pozyska sympatyi... Ale nasza pani, Ermelinda arkadyjska... zasypie listami wszystkie dwory, pośłańcami gościńce... poruszy kancelaryę państwowę... potrafi sobie przymileniem i urokiem zyskać nawet przeciwników... bo pragnie korony i mieć ją musi...

— Wszystko to furda... — przerwał sobie właściwym tonem gwałtownie starosta szczerzecki — nie pomogą potenćye, gdy za sobą szlachty mieć nie będzie...

— Zdaje mi się — gorąco odezwał się Sołtyk — że dwa panowania dynastyi saskiej i jej dobrodziejstwa, rozlane na tyle rodzin i osób, już same

znaczną część narodu pozyskaćby powinny... Byłoby srogą niewdzięcznością...

Brühl się uśmiechnął.

— Wasza Eminencya zapominasz, — rzekł — ile w ostatnich czasach goryczy, żalów i rekryminacyj przeciwko królowi powstało...

— Od tych, którzy mu najwięcej byli winni — dodał Sołtyk... — Potrzeba się starać, nie opuszczać, a mam nadzieję, że jedyny kandydat obcy i kwalifikujący się pochodzeniem do tronu, utrzymać się potrafi...

— Dziś już — przerwał starosta — przeciwko niemu sieją tu podejrzenia... że trzeci z rzędu Sas niemal dziedzicznym tron uczyni, a tego szlachta nie chce...

— Bo sama nie wie czego chce — ofuknął się biskup bardzo żywo — tak jest... Tron dziedziczny bezpieczniejszymby był niż elekcyjny, i z nim mielibyśmy więcej ładu z czasem...

— Ale my ładu takiego nie lubimy, — rozśmiał się starosta — nam on niedogodny... Patrzcie na *Familię*, która póty prawiła o reformach, póki się nie zbliżyła elekcyi... Już dziś o nich — cyt, ani słowa!

Biskup oczyma tylko Brühlowi wskazał starostę, jako przyczynę, dla której od dalszych się rozpraw wstrzymywał, i nagle zwrócił się ku innemu przedmiotowi...

— Zamiast reform z łaski *Familii*, — rzekł — na wojnę się zanosí... Im dalej i dłużej idziemy

w bezkrólewiu, tém straszniejsze nam grożą niebezpieczeństwa... *Familia* ma silną podporę obcą... i wkrótce przewodzić będzie... naówczas...

— Naówczas, — dodał, kłaniając się Brühl — pierwszym użytkiem przewagi jój będzie spodziewam się zemsta nademną, do której jestem zresztą zupełnie przygotowany... Wiem co mnie czeka... Jeżeli jednak sądzą, że postrachem wygonią ztąd i zmuszą do ustąpienia, mylą się srodze. Odebrać mi mogą wszystko... oprócz przywiązania, jakiego nabrałem do tego kraju, i nawyknienia do niego a nadziei, że chwilowe ich zwycięstwo nie będzie ostatniem słowem losu.

— Tak, — westchnął, marszcząc się Sołtyk — nie tajmy jednak przed sobą, że my, adherenci dworu saskiego i dynastyi, ciężką mieć możemy chwilę do przebycia...

Starosta szczerzecki, który stał przy stole, obiema rękami weń uderzył.

— Ale, ale! — zawołał — Wasza Książęca Mość, księżę biskupie, zapominacie, że dalipan i Potoccy też coś znaczą w Rzeczypospolitej, i pan hetman Branicki ma powagę, i z księciem Radziwiłłem nie przelewki też...

— Policzcież się, — krótko odparł Sołtyk, — a przekonacie pono, że *Familia* ma więcej niż my wszyscy i potężniejszego sprzymierzeńca...

Potocki głową pokiwał.

— Zobaczmy, — rzekł — myśmy tu przecie na swoich śmieciach i to coś znaczy... zobaczmy.

Brühl spytał, kto był w Warszawie? i odebrał odpowiedź zwiastującą hetmana z jednej, kanclerza i wojewodę ruskiego z drugiej strony... Stolica była poruszona, radzono mu ostrożność wielką...

Starosta szczyrzecki dopiero teraz dobył sporą opieczętowaną paczkę papierów od wojewody kijowskiego — i zwolna ostygły rozprawy, jakby się w niewielu słowach wyczerpały...

Mimo należenia do jednego obozu, Sołtyk, Brühl, Potocki i Sołłohub, odzywający się mało, może zbyt różnie się zapatrywali na położenie, ażeby o niém otwarcie mówić mogli. Wkrótce więc pożegnano gospodarza...

III.

Tegoż wieczoru u Peszla było tłumno i nasi dawni znajomi znowu w osobnej izbie zamknięci siedzieli nad gąsiorkiem wina.

Podkomorzy Laskowski pan Zagłoba, Ocieski, Kostrzewa i Babiński, obsiedli stół, przyjąwszy do towarzystwa dwóch szlachty Powietników, panów Łukińskiego i Strabasa, odzywających się mało, ale popijających rzetelnie. Ci ichmość, którzy nie dla spraw politycznych, ale ze słoniną jeden a z jagłami drugi, przywlekli się do stolicy, uczyli się tu polityki, dotąd im prawie obcej.

Laskowski, jak zawsze pragnący pokoju i zgody między panami chrześcijańskimi, teraz wyglądał śmielszym i pewniejszym siebie — znalazłszy się o kogo oprzeć. Pierwsza autoritas w rzeczypospo-

litój, JMksiądz prymas Łubieński, był jego zdania i systemu... a że czasu bezkrólewia powaga jego była wielka — pan podkomorzy cieszył się tém, iż w prymasowskim pałacu nastąpi pacyfikacya!

Dla niego ks. Łubieński był wyrocznią i imię jego ciągle téż miał na ustach. Ze zdaniem zaś otwartém, tém szczerzej się mógł tu ogłaszać, iż przyjaciele jego, własnego tak dalece nie mieli.

Ocieski tylko, który fantazyi Brühlów winien był i majątek i pokój domowy, jakimś osobliwym sposobem przyszedł do tego rezultatu — bardzo zresztą często się trafiającego — iż Brühlów nienawidził i znosić ich nie mógł. Kostrzewie Sasi, czy nasi byli obojętni, byle mógł z pszenicą iść do Gdańska. Babiński często dwa razy na dzień był zupełnie przeciwnego zdania i wcale się tém nie martwił. Mąż był uczuciowy i słuchał popędów. Co się tycze Zagłoby, tego najlepsi jego przyjaciele nie rozumieli. Żartował bowiem ze wszystkiego co się wyszydzić dało, i mało na czém i na kim pocziwiał nitkę zostawił.

Właśnie był podkomorzy Laskowski wyłożył obszernie swą ideę pojednania, posłannictwo to przyznając prymasowi i uznając je możliwém, gdy Zagłoba dopił lampki postawił ją na stole, otarł wąsy i rzekł:

— Jest przysłowie: chłop strzela, Pan Bóg kule nosi — a tycze się to bodaj nie samych chamów, ale i innych istot dwunożnych.

— Do czegoż to przepijasz? — zapytał Laskowski.

— Nic — tak sobie... przypominam przysłowie, a lękam się, aby na prymasie się nie ziściło — chociaż mu chłopstwa nie zadaje, *quod Deus avertat*, jak *familia* Brühlowi.

— Acan dobrodziej wiesz — huknął Ocieski — że owo to szlachectwo swe mniemane szoldry, te mnie były winne... I ślicznie się z niem wykie-rowali...

— Wiem wszystko, nawet jak acanu dobrodzie-jowi zapłacili za jego powolność — rzekł skarbnik — w czém grzechu nie ma, bo *beatus qui tenet*...

— Ale oni mnie zgubili na czysto! — krzyknął Ocieski. — Co oni mi dali? Mizeryą, mogli daleko więcej... jak Boga kocham... I co się stało? — Człek zaraz fantazyi nabrał, dzieciisków przybyło, czterema końmi się jeździć zaczęło, i w domu już Tadeusza śpiewamy. Gdyby nie oni, łajdaki, byłbym się majątku dorobił.

— Masz acińdziej rację — rzekł, uśmiechając się skarbnik — niegodziwi ludzie, a acińdziej pādłś ofiarą.

Ocieski spojrzał niedowierzająco na mówiącego, czy nie sztydzi; lecz twarz starego Zagłoby, gdy najmocniej drwił, największą się przyoblekała powagą. Kostrzewa się rozśmiał tylko i to mu służyło za dobry pretekst do dokończenia kieliszka,

który zaraz podkomorzemu przysunął, bo lubił chodzić koło szkła czysto.

Babiński łysinę pogładził.

— Nie ma tedy najmniejszej wątpliwości — ciągnął dalej skarbnik — iż się wszyscy pogodzą, pocałują, uściskają, a my tę sprawę zapijemy... Ale, mój podkomorzy — dodał — objaśnijże mnie, w takim razie, kto tu nam królować będzie? Ja, wyznaję ci, ciemny jestem. Widzę dokoła kandydatów do téj korony, którą gdyby mi dawano, jabym cierniową wolał — tylu, tylu, że — choć na węzełki ciągnąć.

— A ja jednego kandydata rozumiem — zamknął Laskowski — to najjaśniejszego kurfirsta... Prymas także będzie za nim.

— Kaleka — rzekł skarbnik — ale mniejsza o to, żonę ma mieć fertyczną, a u nas w Rzeczypospolitej, gdy po domach podwika rządzi, czemuby i na tronie nie miała? Kto z nas mości panowie, nie pod pantoflem?..

Rozśmieli się wszyscy, a że byli podochoceni, chórem się ozwali:

— Jak Bóg miły, ma słuszość!

— Zatem wiwat królowa... i młodzieży naszej będzie się z nią dobrze działo — dodał skarbnik — bo przybywający z Saksonii dworzanin ks. biskupa krakowskiego, Burba mówił mi, iż konwersacye z młodzieżą dobrze wychowaną na osobności lubi.

Jest tam kunsztmistrz fryzyer na dworze, który ją czasem fryzuje.

Laskowski przerwał oburzony.

— Ale cóż bo znowu prawisz! panie skarbniku! horrendum, stary człęk poważny.

— No, to nie fryzuje, nie fryzuje... kłamstwo jako żywo — poprawił się Zagłoba. — Tandem, gdybyśmy pod te czasy, gdy się ma ku sejmowi konwokacyjnemu, a dalej i elekcyja za pasem, przeszli sobie, dla odświeżenia pamięci, ilu mamy królików, coby królami być chcieli? Juścić to rzecz ciekawa. Waćpanowie wiecie, gdy raz na żart, wśród pola elekcyjnego Polanowskiego okrzyknięto, po dziś dzień Polanowscy się tém szczycą, więc dla potomności zliczmy sobie naszych kandydatów.

— Primo — wtrącił Ocieski — nie ma bliższego korony nad hetmana.

— Pewnie — odparł skarbnik — już przez to samo, że całe wojsko ma w ręku; tylko, że to nie pretoryanie, mości panie. Hetman powaga wielka, i lata słuszne, długo panować nie będzie... więc nowa elekcyjka i szlachta się rozrusza, przejedzie, zażyje świeżego powietrza, spleśniałych talarów ruszy...

— E! e! — krzyknął Ocieski — pan skarbnik drwisz, a gdy oto właśnie hetman jechał z Białego-stoku do Warszawy, trzeba było, żebyście byli widzieli i słyszeli, jak go szlachta po drodze witała, przyjmowała, niemal zawczasu w nim czcząc głowę

koronowaną... A wjazd jego do Warszawy? widzieliście?

— Nie — rzekł skarbnik — którądyż wjeżdżał? z przodu, czy z tyłu?

— Przez Pragę! całe miasto się wyroiło na spotkanie, okrzykiwano go jak zbawcę! I niech mi ks. prymas daruje, jeśli kto się dla zgody kwalifikuje, to on.

— A tak... trzyma z Potockimi i Radziwiłłami, to wiadomo, a przez żonę spokrewniony z *familią*.

— To prawda — rzekł Laskowski.

— No i przez Mokronowskiego z żoną — rzekł skarbnik.

— Jak to? — zapytał Ocieski.

— Cóżem powiedział? tfu! — poprawił się Zagłoba, *lapsus linguae*, mów dalej.

Ale Ocieski urwał i zapisał.

— A no, przecie i ks. kanclerz, wtrącił Babiński, to też kandydat.

— Nie tylko on, gdyby na upartego chcieć, dałby się zgwałcić do korony i wojewoda ruski, tylko leniwy, więc gotów ks. Adama na swe miejsce postawić. Drudzy mówią, że i ten woli z gołą głową chodzić, niż w ciężkiej obręczy, boć asanowie wiecie, że Chrobrego korona nic innego nad obręcz złotą była. Zatem *Familia* możeby już i siostrzeńcem nas zaspokoila. Pan młody, piękny, król dla kobiet tak doskonały, jak kurfirstowa byłaby dla panieczów. Mówi dziesięciu językami; włosy ma śliczne,

rękę cndną, wymowę poruszającą. A że młody, jakbyśmy my szlachta wzięli go na edukacyę — jedno z dwojga, albobyśmy z niego zrobili co się zowie króla, alboby chyba nie nie był wart.

Zaczęto się śmiać. Ten ostatni kandydat wydawał się owocem żartu pana skarbnika.

Laskowski słuchał nachmurzony.

— Dałbyś bo pokój, mój Zagłobo — bo aż uszy wiedną.

— Któż co niedokończonego porzuca? — odparł poważnie skarbnik — ani gąsiorka nie godzi się niedopitego zostawić, ani listy kandydatów... Czyż naprzykład milczeniem godzi się pokryć takiego pana jak książę Ogiński, który gra na flecie, muzyki komponuje, maluje ślicznie, śpiewa jak kanarek i piękny być ma, gdyby adonis. A toć to szczęście by było mieć na tronie flecistę, używalibyśmy darmo, za co inni drogo płacą. Grałby dla swych poddanych *gratis* a poczekawszy, i na swoich poddanych.

Wszyscy się śmiać poczęli. Zagłoba się namarzczył i był poważniejszy niż kiedy.

— Waćpanom śmiech — a to rzeczy seryo — dodał — dobrze mieć panem muzyka, z taktem będzie rządził.

— Czy już acinǳiej skończyłeś? — zapytał Laskowski — któremu ta lustracya kandydatów nie przypadała do smaku.

— Jeszcze nie — rzekł Zagłoba — nie mogę pominąć pana wojewody kijowskiego Potockiego,

o którym gadka chodzi, że mu się téż zachciewa złotego stołka. Co się tego tycze, jabym go sobie nie życzył. Słyszę w skórę bije bez ceremonji, a jeżeli dziś prosty szlachcic używa tego środka dla uspokojenia umysłów, cóżby to było — gdyby się ubrał w płaszcz z gronostajami? My starzy, cośmy do tego nie przywykli, bylibyśmy w przykrém położeniu. Cóż dopiero, gdy człek pomyśli, że to jedna krew ze starostą kaniowskim, który do żydów strzelał jak do zwierzyny? Jakby go wielkim łowczym zrobił, wybiłby nam wszystkich Szmulów, a szlachcie bez faktorów i arendarzy się obejść gorzej niż bez koszuli.

Znowu się rozśmieli wszyscy, tylko Laskowski ruszał wężami.

— U waćpana wszystko żarty — rzekł.

— A w żartach zawsze połowa prawdy — odparł skarbnik — dla tego całej nie mogąc powiedzieć, pod te czasy bezkrólewia i sądów kapturowych, wolę choć połowę.

— Ale lista wyczerpana — przerwał Laskowski — a gąsiorek na pół pełny.

— Damy radę obojgu — rzekł żywo skarbnik — chociaż ażeby lista wyczerpaną być miała — *nego*. Jest jeszcze jeden kandydat... chociaż daleko ztąd... nad Newą, a zowie się Gurowski¹⁾. Mówią, że za nim potężne głosy przemawiają.

¹⁾ Historyczne.

— Cóż to jest? kto? co? przerwano, nikt o tém nie słyszał!

— Sekret — rzekł Zagłoba. — Mówią, że tak koziełki przewraca, iż z nim nikt iść w zapasy nie może... Tego talentu téż lekce sobie ważyć nie można. Zda się.

Laskowski wstał oburzony.

— Jak mi Bóg miły! — zawołał — cierpliwości braknie... Zagłobo! serce moje — mówny seryo... Toć nie czas do baraszkowania. Umysł ku zgodzie prowadzić, nakłaniać do opamiętania zwaśnionych, to dziś święty obowiązek.

— Kochany podkomorzy — wtrącił niepoprawny szyderca — to wasza missya; moja zaś, pod te ciężkie czasy, gdy każdy z nas coś ma na wątrobie starać się choć trochę smutek przerwać i z żółci oswobodzić.

— Wszystko na prymasie — odezwał się już nie odpowiadając podkomorzy — tam się oczy nasze zwracać powinny, tam nadzieje.

— Zatem wiwat... *prorex!* — zawołał Zagłoba — i koniec.

Wypił Laskowski, gdy się drzwi ostrożnie, powoli uchyliły, i znana fizys o trzech podbródkach pana mostowniczego Żudry w nich się ukazała. — Przypatrzył się wprzód zgromadzonym, a nie widząc pomiędzy nimi nikogo sobie wstępnego, wtoczył się witając, ręce podając, śmiejąc się, w bardzo

miłym humorze. Postawiono mu lampkę, ale on sam chłopca zawołał i wino podawać kazał.

— Znownśmy tedy wszyscy tu razem — rzekł — ale pono tą razą inaczej niż przeszłą. Na przeszłorocznym sejmie, chociaż się gracko trzymali... Niemcy nas przez kij przesadzili, wzięwszy w pomoc przecherów; teraz co innego się święci i zagramy *noviter repertis*, po tebinkach ichmościom.

— A najlepiej, żebyśmy nie grając, nie odegrywając się, podali sobie ręce do zgody i myśleli mniiej o sobie, a więcej o Rzeczypospolitej — rzekł zaraz Laskowski.

— To mi się trudno widzi — po chwili zawołał Żudra. — My będziemy mieli siłę i przewagę, nie może być, ażebyśmy jój nie użyli.

— Przeciw komu? — spytał Laskowski — niemców nie ma.

— Ale potomstwo zostało — mruknął Żudra — *tandem*, mówmy może lepiej o czém inném?

— Masz acindziej słuszność — potwierdził skarbnik. — Jakże tam u was kopa wydaje?

— Gdzie? — u nas? — spytał Żudra — na piaskach to wiadomo, żyto omłotne, ale kop mało, a gdzie ziemia czarna, słomy dużo, ziarna mało.

— Zawsze i to dobrze, że się macie na czém wyspać — rzekł skarbnik.

Śmiano się znowu i wina przyniesiono, a ponalewano lampki.

— Gdyby Szymanowski się tu jeszcze zjawił — rzekł Żudra — toby mi przypomniało się spotkanie przeszłoroczne w téj izbie.

— Czyście się aspanowie potém rozprawiali? bo nie wiem — mówił Laskowski — a mam was w podejrzeniu.

— A jakże — odparł Żudra — musieliśmy naza-jutrz za wolą królewską, trochę się pociupać. Nie stało się nic strasznego, jam Szymanowskiemu kontusz przedziurawił, on mnie czapkę — krawcy na tém zyskali.

Machnął ręką.

— Teraz po zerwaniu sejmu, na nowém wójtostwie gospodarując, wątpię, by miał czas i ochotę do Warszawy. Zmieniły się téż okoliczności... Nieboszczyka Brühla nie stało, wójtostw nie ma dawać komu, ani dukatów — po co do Warszawy jechać?

Zmilczeli wszyscy.

— Jeszczem się nigdy tak nie uznoił, jak na tym sejmie — mówił Żudra. — Łaska boża, iż płuca wytrzymały nogi i żołądek. Com się nakrzyczał, co nalatał, a com wypić musiał, dziś mi się bajeczném wydaje... Zerwali sejm, prawda, aleśmy się im nie dali.

— A oni wam — dodał Zagłoba powoli. — Nie można powiedzieć, przykładnie obie strony się znajdowały... obroniły swój honor, choć honor kraju diabli wzięli.

— A kto winien? — podchwycił Żudra — nie my.

— I nie wy i nie oni — pośpieszył z odpowiedzią skarbnik — winien los, który zawsze figle płała. Ludzie biedni Bogu tylko ducha winni, a gdy im *fatum*, jak koniowi żyd na jarmarku, żeby ogona zadzierał, pieprzu podsadzi, co za dziw, że brykają.

— Teraz my górą — nie odpowiadając poczał Żudra — a że tam pan hetman przyprowadzi jakie parę tysięczków, a księżę Radziwiłł jaki tyśiąc, a choćby kijowski wojewoda drugie tyle — furda! mości panie... przemożemy.

— Tak, cudzoziemskim autoramentem — dodał Zagłoba — i to wielka zasługa i polityka doskonała, cudzemi rękami żar zagrzebiecie. Zrobi się co niedobrego — winni obey... a stanie się co dobrego, zasługa wasza, bo któż ich zaprosił? Nie darmo stary księżę kanclerz za największego polityka uchodzi. *Centum laudes*.

Zmieszał się Żudra nieco, i zamilkł, a skarbnik dalej chwalił.

— Ja w rozum *Familii* wierzę jak w ewangelię, gdyby go nie mieli, czyżby przyszli z kniaziów małych do takiej fortuny i znaczenia. I to coś znaczy. Wszystko w rękach ich rośnie.

Popatrzał mostowniczy, i jak przed chwilą Ocieski sam nie wiedział znowu, czy Zagłoba żartował, czy chwalił w istocie... Zamilkł więc... Z nim się zadzierać i rąbać nie było sposobu: nimby do czego przyszło, językiem by zawsze pobił. .

— Mówiono mi — odezwał się Żudra popiwszy — iż młodzi Brühlowie, którym daliśmy krzyż na drogę, sądząc, że nie powrócą, podobno dziś nazad do nas przyjechali... Sprowadził snadź zięcia pan wojewoda — ano mi nieboraka żal... bo mu tu goręcej być może niż na sejmie... Tam się już z gołemi widział szablami, gdzie żelaza nie zwykliśmy dobywać, może się teraz nietylko widzieć z niemi, ale i powachać ich... bo się one kapturów nie złęką, jak się sali sejmowej nie bały... Ho! ho! Nie chciałbym być w jego skórze.

— Ani ja — dodał Zagłoba — skóra niemiecka a szlachcie polski, jak to mu tam siedzieć być musi niewygodnie.

— Wietrzeje mu ono szlachectwo! — dodał Żudra, stukając szklanką o stół — za to ręczę... śladu go nie zostanie kędy było.

— Oprócz na tym nieszczęśliwym Ocieskim — odezwał się z politowaniem skarbnik — bo tego nieboraka ono szlachectwo zgubiło.

Żudra się obejrzał.

— A jużcie! — potwierdził zagadniony — święta prawda, której się nie zaprę. Oszukali mnie Niemcy, bzdurstwem gębę zatknawszy; dla tego im to na dobre nie wyszło... Człęk za życia ministra milczał — *praepotentia*, co robić było?... a teraz, na dobry ład, godziłoby się im proces wytoczyć.

— Szczególniej o przyrost familii — dodał Zagłoba — niechby ją choć wyposażyli...

Zaczęli się uśmiechać Babiński i Kostrzewa. Ocieski już ręką wywinąwszy w powietrzu, więcej się nie odzywał...

Pora też była do domu i musiano śpieszyć się z wysączeniem gąsiorka, bo w późniejszej porze, mimo straży marszałkowskich i starościńskich w ulicach, nie bardzo było bezpiecznie. Wszyscy panowie, którzy z dworami przybyli do Warszawy, ze sługami, czeladzią i wszelkiego rodzaju ciurami, naprowadzili tu rozmaitego ludu... skłonnego do burd i awantur. Listopadowe noce bywają ciemne, miasto nie było oświecone, chłopcy z latarkami dla wszystkich nie starczyli. Podkomorzy Laskowski ujął Zagłobę pod rękę, choć do niego miał żal wielki za tak lekkomyślne traktowanie spraw publicznych — i miał pono zamiar uczynić mu za to we cztery oczy wymówkę... Wyszli więc, rozplaciwszy się z winiarni, a znalazłszy szczęściem chłopaka z łojówką w latarence, kazali się na Podwale prowadzić.

Około zamku i w głównych ulicach ruch jeszcze był wielki, konnych zwłaszcza mnóstwo, każdy zbrojny, a ci co po kilku jechali, w głos rozmawiali, śmieli się i nawoływali.

Szli tedy bezpieczni, że wśród tak ożywionej części miasta nic im się nie stanie i szabel dobywać nie przyjdzie... gdy z boku około Panny Maryi okrutną posłyszeli wrzawę.

Wszyscy przechodnie i przejeżdżający postawiali, aby się temu przysłuchać... Głosy się szeroko rozlegały.

— Rozsiekać tego niemieckiego sługę! rozsiekać!

— Cóż to ulica nie wszystkim wolna? — wołał głos drugi...

— Czemu z drogi nie ustępujesz?

— A wy dla czego macie tu prym trzymać?...

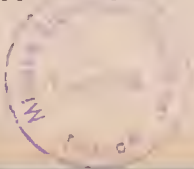
— Znamy cię kawalerze!

Hałasowano tak, aż i szcęk szabli dał się słyszeć i na raz umilkło — snadź się wzięli do rzeczy.

Laskowski, choć nierad był mieszać się do spraw cudzych i wdawać w burdy uliczne, poczuł w sobie krew szlachecką, szabelka mu zaświerzbiała, sam nie wiedział jak jęj dobył, i z Zagłobą razem polecieli na odsiecz...

Nim dobiegli, już się tu na dobre rozprawa zaczęła... Mężczyzna na koniu siedzący, do muru przyparty, bardzo rażno krzyżową sztuką odbijał się jak mógł trzem razem następującym nań także konnym ichmościom, którzy oskoczywszy naciskali. Na ten hałas powybiegali ludzie ze światłem z bliższych domów, ale się tylko przypatrywali nie mieszając do niczego...

Młody człowiek, którego napadnięto, bronił się bardzo dzielnie, jednego już płatnął po uchu tak, że zalawszy się krwią ustąpić musiał... i chustą sobie, klnąc i łajając, ranę naciskał; dwaj drudzy



tém zajadlój napadali na niego... gdy Laskowski dobiegł z impetem i krzyknął:

— A cóż to się dzieje! w kilku na jednego! a toć to rozbój na gładkiej drodze!...

Ale nie posłuchano... W téj chwili broniący się dostał cięcie w rękę z jedną, w głowę z drugiej strony, zachwiał się i z konia padł na ziemię, a szkapa wyrwawszy się skoczyła wierzgając. Napastnicy zaś zobaczywszy co się dzieje, natychmiast pierzchnęli, tak, że podkomorzy miał ledwie czas ich kokardy zobaczyć i po nich poznać kolory i służbę *Familii*.

Wnet z Zagłobą razem i chłopcem, co im świecił, zbliżyli się do leżącego na ziemi, który z powodu uderzenia w głowę, chwilowo ogłuszony i bezprzytomny leżał.

Był to piękny, silny młodzieniec. na którego twarzy malował się gniew i oburzenie... Podniesiono mu zbrogzoną głowę... i poczęto go do życia przywracać... nie wiedząc co z nim począć, gdy od zamku ukazała się karetą pańska z pochodniami, którą Laskowski zatrzymał...

— Na miłość Boga, pomóżcie nam ratować, czy przenieść tego oto biedaka, którego trzech sług zielono-czerwono-białych napadło i porąbało...

Po liberyi poznał Laskowski powóz generała Brühla — jakoż on to jechał, i wyskoczył zaraz z karety, biegnąc na miejsce... W téj chwili ranny oczy otwierał... Był to Godziemba... sekretarz ge-

nerała... tém więc skwapliwiej wzięto się do ratowania go.

Oprzytomniał wkrótce... a rana w rękę była daleko niebezpieczniejsza od uderzenia w głowę.

— Co się to z waćpanem stało? — krzyknął Brühl — niezwykleś zwady szukać...

— Anim ją wywołał! spokojnie jechałem, gdy mi, poznawszy mnie zapewne, *Famili*i śludzy drogę zaskoczyli...

— Infamisy! — rzekł Brühl.

— I gdyby nie ci panowie, byliby mnie pewno leżącego dobili — dodał Godziemba...

— Możemy się teraz co chwila podobnych wypadków spodziewać... — szepnął generał — a najwięcej na nie wystawieni będą ci, co mają nie-szczęście ze mną trzymać lub mi być przyjaźni...

Zaczął potem dziękować Laskowskiemu i Zagłobie, a naprędce obandażowawszy sam rany Godziemby, do karety mu wsiąść dopomógł i odwiózł do pałacu Saskiego.

Zaledwie powóz się zatoczył do bramy i po domu rozeszła się wieść, że Godziembę rannego mocno przywieziono, pokojówka pobiegła o tém pani Dumont oznajmić, a Francuzka mocno przejęta, nie miała nic pilniejszego nad to, aby natychmiast lecieć do hrabiny.

Szczęściem jeszcze, że ją samą jedną zastała... Z załamaniem rękoma, bez tchu wbiegła do jéj pokoju, rzucając się na kanapę. Dosyć już było

tój mimiki, ażeby biedną i chorą panię generałową przerazić... Stała nad przyjaciółką nie śmiejąc nawet pytać, co się tam stało? i drżąc wcześniej na wiadomość, którą otrzymać miała. Dumont płakała i za serce się trzymała, nierychło zdobywszy się na głos słaby, którym oznajmiła o nieszczęściu okropnym, nie mówiąc czém ono było...

Nieroztropna Francuzka zaczęła od zakłęcia, aby się hrabina starała panować nad sobą, aby nie dała żalowi wziąć góry...

W ten sposób przygotowując hrabinę, której wszelkie, najstraszniejsze ewentualności przez ten czas przechodziły przez głowę, o mało jęj o omdlenie nie przypawiła. W ostatku na ucho jęj powiedziała dopiero, że Godziembę silnie ранego przywiózł hrabia do domu...

— Zabity? — spytała z energią rozpaczliwą Brühlowa.

— Ale nie... ranny... w rękę i głowę...

Po chwili namysłu hrabina nie słuchając już Dumont, otworzyła drzwi i wprost poszła do męża zapytać, co się stało? Był to krok wprawdzie dający do myślenia, ale Godziemba był jęj sekretarzem od niejakiego czasu... miała prawo się nim interesować.

Błada i drżąca zapukała do gabinetu, siłąc się aby okazać chłodną... Brühl wyszedł sam do drzwi.

Zmieszana trochę hrabina, oświadczyła mu, że Dumont jęj przyniosła wiadomość o Godziembie.

Generał chodził jeszcze gniewny... Zdziwił się nieco tą oznaką uczucia u żony, ale nie wziął jój tego za złe...

— W istocie Godziemba ranny, — rzekł — ale felczer powiada, że rany nie są niebezpieczne... Jest to oznajmienie i przestroga dla nas, abyśmy się lepiej strzegli... Dziękuję hrabinie za mojego Godziembę, — dodał — chłopak to godny współczucia i szacunku... Ale, proszę być spokojną, że ja nad nim czuwać będę... bo go kocham...

Odeszła ode drzwi milcząca hrabina, wróciła do siebie blada, ze łzami w oczach, i uklękła modlić się na intencyą — rannego.

Dumont, gdy zbiegłszy na dół i dotarłszy sama do felczerów, przekonała się, że w istocie nie było niebezpieczeństwa, wróciła zamyślona mocno na górę...

— Kto to wie? — dumiała cała zaprzątnięta tém zawsze, że się te dwie kochające istoty zbliżyć do siebie nie mogły, — kto to wie? może choroba, która ją skłoniła do tego śmiałego kroku, nareszcie doda odwagi, czułości i... zbliży ich dla szczęścia, którego się tak nieboraczęta lękają! Może wypadek ten wyjść na dobre obojgu...

Dumont to jedno mając w myśli, gotowa już była błogosławić tych co Godziembę posiekali. Uczyniła wcześniej plan pewny... odwiedzin chorego; osnuła na tém cały romans francuzki, znając jak mężczyźnie do twarzy jest ręka na temblaku... nie

obrachowała tylko ani uczciwości pana Tadeusza, ani religijnych zasad hrabiny, która czytywała romanse z zajęciem, po książkach nabożnych, ale heroiną występłą i nieszczęśliwą wcale być nie myślała. Dumont żałowała zawsze, że do tak niewdzięcznych i zimnych istot się przywiązała.

IV.

Rok ten i następnego część znaczna, były dla generała artylleryi chwilą może z całego jego życia najboleśniejszą do przebycia...

Znane są dzieje téj epoki, w której anarchia doszła do najostateczniejszego kresu; kreślić ich tu nie myślimy.

W chwili przybycia do Warszawy, generał łudził się jeszcze nadzieją, że stronnictwo mające po sobie dynastję saską, hetmana Branickiego, wojewodę Potockiego, całą rodzinę tego imienia, Sołtyka, naostatek choć słabego, ale dotąd więcej na stronę dworu przechylającego się prymasa, i niezmiernéj odwagi a impetu księcia Radziwiłła, potrafi się utrzymać górą...

Rachuba ta, jak się codzień przekonywał, zawiodła go zupełnie; Radziwiłł miał wprawdzie

rycerską zamaszystą energię do korda, ale politykiem nie był wcale, a na przekór mu szli uparci Massalscy, hetman był stary i niepewien co miał poczynać, prymas się chwiał, teść zaś wojewoda kijowski mimo wielkich sił, ani głowy, ani stanowczego planu do ich użycia nie okazywał... Nie działano ani zgodnie, ani w kierunku jednym, a to co się na pozór skupiało, w istocie potajemnie szło do celów zupełnie różnych... Branicki był pretendentem do korony, był nim Petocki, był i kurfirst ferytowany jakiś czas przez prymasa...

Gdy *Familia* umiała się zrzec osobistych ambicyi na jednego z najmłodszych swoich członków, święcąc kanclerza, ks. Adama i Ogińskiego dla niego — w przeciwnym obozie niedawierzano sobie. Petocki nie radby był depomódz Branickiemu, ani hetman wojewodzie...

Stronnictwa redrażnione coraz bardziej z każdą chwilą, w końcu nie widząc innego ratunku, rachowały tylko na siłę i rozprawę ozięną, i nigdy bliżej nie była Rzeczpospolita wojny domowej, niż czasu tego bezkrólewia... Skupiano wojska nadworne, powoływano obce... Zgoda wzajemnymi ustępstwami okupiona była niemożliwa, bo nikt ustępować nie chciał... Jeden z najmilszych wodzów partyi tak zwanej republikańskiej, książę Radziwiłł wojewoda wileński, ze swojej strony wierzył tylko w szablę i siłę. Nadzwyczajnych potrzeba było środków, błagań i nalegań, aby go powstrzymać od kroków

zaczepnych. Z téj też strony nie było głowy jednéj, coby kierowała i skupiała, każdy szedł swoim dworem i humorem. Łączyli się jedynie wszyscy we wspólnéj niechęci dla *Familii*.

Skutek więc łatwy był do przewidzenia, gdy raz sprawa się wytoczyła przed *ultima ratio*, żołnierzy i działa...

Ksiązę kanclerz, który od dawna się sposobił do tego, aby zyskać sobie posłuszeństwo i zaufanie u szlachty, znalazł znaczną jéj część sobie przychylną... Na Litwie miałyby większość Radziwiłł, gdyby mu jéj nie wyszczerbiali Massalsecy...

Ten, któremu prawo dawało powagę największą, prymas, nie wiedział komu sprzyjać, a pragnął godzić, gdy się już wszystko do wojska sposobiło.

Generał siedząc prawie ciągle w Warszawie, był zrezygnowanym widzem biernym tego dramatu historycznego... Nie czuł się też w obowiązku czynnie mieszać do niego... ani miał ochoty wciskać palce między drzwi...

Nie zapomniano mu jednak téj roli, jaką odegrał na sejmie 1762 r. Stolnik litewski, którego znaczenie z każdym dniem rosło i który energię całego życia wyszafował na te dni stanowczego przesilenia, był osobistym Brühla nieprzyjacielem. W jego i *Familii* rękach był teraz los generała, który przewidywał, że się na nim zemścić zechcą i muszą. Unikał więc narzucania się na oczy i występowania do walki, której prowadzić nie mógł...

Z dala czasem mijali się w ulicy ks. Adam, pan stolnik i on mierząc tylko oczyma. W jednych z nich błyskało jeszcze zemsty pragnienie. Generał patrzył zimno i bez brawady, ale wcale nie ulękniony.

Przeciwnicy *Familii* schodzili się do jego domu i drzwi im zamknąć nie mógł, słuchał mało się mieszając, radząc niewiele. Czasem powoływał go pan kijowski do Krystynopola, chcąc go użyć, i wybadawszy zrzekał się téj myśli. Brühl grał na flecie, na skrzypcach, rysował i komedye pisał... a wierny przywiązaniu do pięknej pani Sołłohubowej, która z mężem w Warszawie przebywała — w cichéj i pełnéj poszanowania z nią rozmowie... zabawiał ją żartując ze swego położenia, a po trosze i z tych, co go otaczali.

Wśród powszechnego roznamietnienia, on jeden zdawał się i był zupełnie panem siebie i krwi zimnéj... Losy dynastji saskiej, reprezentowanej przez niedołężnego kurfirsta i trzpiotowatą Ernesindę, niewiele go obchodziły. Był w położeniu człowieka, który nie pijąc nic, znajdował się w towarzystwie ludzi po orgji szalonej upojonych i rozgorączkowanych... Chciano go w początkach zużytkować, ale postrzeżono, iż nie przejmował się wcale rolą narzuconą, i dano mu pokój...

Kilka miesięcy pielęgnowano ранnego Godziembę, który dosyć długo rękę na temblaku nosić musiał... ale obowiązki lektora przy hrabinie i po-

mocnika sekretarza przy generale mógł spełniać. Pocziwa Dumont, co się tak wiele spodziewała z poruszonego litością serca — ostateczny wydała wyrok: iż to są ludzie bez czucia i namiętności... Nie mogąc zaś wyżyć bez małej intryżki do pielęgnowania, zajęła się panią Solłohubową i hrabią, sądząc, że choć tu nżyteczną być potrafi.

Tu nowa ją czekała niespodzianka; piękna Marya i hrabia kochali się jawnie, oczywiście, nie kryjąc się z tém wcale, lecz nie przechodziła ta miłość granicy zakreślonej obowiązками i poszanowaniem... i Francuzka nie miała tu co robić, bo tajemnic nie było żadnych...

W ostatku zrozpaczona tymi ludźmi północy, których bryłami lodu nazywała, rzuciła się Dumont pocieszać nieszczęśliwego Solłohuba współczuciem, jakie mu okazywała... Sądziła, że może mu wynajdzie jakiś przedmiot, któryby go oderwał i rozzerwał. Generałowicz mówił z nią chętnie, miał nawet do niej słabości trochę, lecz naówczas już chory, znękany, smutny, o szukaniu dystrakey na świecie wcale nie myślał. Dla tych, co nań patrzali z daleka, co go widzieli dawniej młodym, pełnym życia, kwitnącym, jawne było, iż miał w sobie zaród śmierci... o którym wiedział, który czuł, ale się go nie obawiał.

Stosunek jego z żoną był dziwny... Piękna Marya, może dręcząc się tém, że kochać go nie mogła i że kochała innego, była dlań z czułością,

dobrocią i wyrozmiałością siostry. Małżeństwo nie będąc szczęśliwe, było czule niemal... Żona czuwała nad zdrowiem jego... Brühl był dlań prawie bratem... Zazdrosne oko biednego zakochanego śledziło stosunki jego i żony — lecz nie mogło ich o nic więcej obwinić nad to czemu oni winni nie byli.

I — rzecz dziwna — Sołłohub przestał do Brühla mieć żal o to, że się w jego żonie kochał. Zdawało mu się to niezmiernie naturalném, dziwił się raczej wszystkim, którzy mogli i śnieli się w niej nie kochać... Z powodu choroby Sołłohub politycznie był bezczynny, a że się go nie obawiano, wchodził prawie wszędzie, słuchał i wiedział wszystko... Codzień niemal przynosił wieść jakąś Brühlowi, wieść, która Maryę do rozpacz i gniewu pobudzała, a którą generał przyjmował z uśmiechem...

W początkach wydająca się niemożliwą, niemal śmieszną, w końcu roku kandydatura stolnika stała się jawną i głośną... Hrabia Stanisław, którego pierwsze wystąpienie czynne, co nań zwróciło oczy, wymierzone było przeciwko Brühlowi, nie mógł zadać kłamu tym krokom, którym winien był część swęj rodzącej się popularności. Co chwila więc grożono generałowi powstają, z której się on uśmiechał... Obok czynnej roli politycznej stolnik niezmiernie był zajęty pięcią piękną, która również sympatyi mu wiele okazywała. Liczba jego miłości, krótkotrwałych, ale nadzwyczaj natarciwych, wydawała

się niemal bajeczną. Codzień prawie miasto się dowiadywało, o jednej świeżo zawróconej głowce, której się może zdala uśmiechała korona, a na-
zajutrz już mówiono o innej znowu, i te plotki
przestawały nawet zajmować w końcu, tak liczba
ich nie do uwierzenia rosła...

Jednego wieczoru w październiku 1764 roku, Brühl miał u siebie kilku zaproszonych artystów. którzy kwartet wykonać mieli... i zajęty był niezmiernie zapowiedzianą przyjemnością, mając ją z kilku przyjaciółmi podzielić. Do zaproszonych należał biskup Sołtyk, sam muzyk, utrzymujący doskonałą kapellę, Sołłohubowie i kilka osób poufalszego grona. Na sali czyniono przygotowania do muzyki, i artyści zbierali się powoli, gdy generałowicz wzruszony mocno, sam, bez żony wbiegł na salę.

Z twarzy jego łatwo poznać było można, iż coś przynosił niespodzianego i niezbyt miłego. Brühl, spojrzawszy nań, odgadł to, i zbliżając się doń, podawszy mu rękę, rzekł śmiejąc się:

— Jasiu kochany, przynosisz mi coś niedobrego, wiesz co? odłóż to na później... popsujesz nam wieczór i muzykę...

— Ale mój Aloizy, co tam o muzyce myśleć... to się ciebie tycze! a choćbym ja zmilczał, ktoś tu wpadnie inny, aby ci o tém oznajmić.—To mówiąc, z mina kondolencyjną za obie ręce go chwycił.
— Biedny mój Brühlu!

— Dla czegoż mam w téj chwili być biedniejszym, niż przed godziną?...

— Jak to? nie nie wiesz?

— Co gorsza, ja o niczém nawet wiedzieć nie chcę...

— Nieprzyjaciele twoi... dokazują...

— Doskonale, niech dokazują, ja chwala Bogu jestem spokojny. Nie mieszam się do niczego... a zniosę wszystko.

— Przygotujże się natychmiast...

— Jestem gotowiuteńki.

Domawiał tych wyrazów Brühl, gdy z wielkim hałasem przez otwarte podwoje wkroczył książę Siewierza. Zobaczywszy Sołłohuba, snadź pewny, że generał już o wypadkach tego dnia jest uwiadomiony — wprost przyszedł do niego i uściskał w milczeniu.

— Wierz mi, hrabio, — rzekł — tak mnie to boli, jakbym ja sam był na twém miejscu... Niegodziwi!

Dla Brühla było to jeszcze zagadką, o której rozwiązanie nie śpieszył się domagać, patrzył na Sołłohuba i uśmiechał się.

Nadeszło dwóch Potockich i wręcz także przypadli pocieszając, ale nie mówiąc o co chodzi.

— Po nich nie można się było czego innego spodziewać! — zawołał wojewoda wołyński, któremu towarzyszył podczaszy litewski. — Mój kochany hrabio! mężstwa i wytrwałości...

— Raz się to skończyć musi! — dodał podczaszy...

Otoczono go kołem. Każdy inny w położeniu generała byłby się może uląkł téj zapowiedzi nieszczęścia, którego rozmiarów nie wiedział. Brühl pragnął się okazać, jak zawsze, aż do obojętności stoicznym.

— Wasza Książęca Mość, — odezwał się do biskupa z uśmiechem, — jako duchowny, którego powołaniem jest pocieszać nieszczęśliwychh... czy nie raczysz mi nareszcie rozwiązać téj zagadki?... Słyszę zewsząd kondolencye... ale, na honor, nie wiem co mnie dotknęło...

Wzięto niemal za fanfaronadę to oświadczenie.

— Ale jakże może być? — oburzając się rzekł biskup. — Od rana o tém całe miasto wie.

— A ja... nie... daję na to najuroczystsze słowo moje — odezwał się Brühl.

— Nie może być! — zawołał podczaszy.

— Tak jest! — potwierdził Brühl.

Wszyscy osłupieli... milczenie panowało czas jakiś, spoglądali po sobie...

— Raczej mnie objaśnić! powtórzył Brühl.

— Ale gdzieżeś hrabia był przez ten dzień?

— W domu! Prawda, że nie kazał nikogo przyjmować, bo pisałem... nikt nie był u mnie... Pocziwy Godziemba odprawił tam kilku z miasta.

— Zyskałeś więc, kochany hrabio — rzekł biskup — kilka godzin tytułu starosty i generała ar-

tylleryi... a naostatek i szlachcica polskiego. Sejm ci to wszystko odjął za jednym zamachem, nie jesteś starostą, nie jesteś generałem... i musisz się zadowolić hrabstwem państwa rzymskiego.

W chwili gdy biskup domawiał tych słów, otworzyły się drzwi i oficer od artylleryi Dłubicki z dwoma towarzyszami wpadł do salonu. Rozogniona twarz jego świadczyła, jakie go tu wiodło uczucie. Brühl odwrócił się ku niemu.

— Panie generale — zawołał z wyrazem żalu najgorętszym — nie mogliśmy się tu stawić wszyscy, niech mi wolno będzie z dwoma towarzyszami moimi być tłumaczem żalu całego korpusu naszego. Uczuliśmy, jaką ponosimy stratę, wiemy, że jój nam nie nie zastąpi... ani Warszawie starosty, ani artylleryi generała.

Brühl chwycił go za rękę.

— Mój pułkowniku — rzekł — tracicie towarzysza broni, który was kochał i starał się być dla was dobrym kolegą, ale przyjaciel wam zostaje... Dziękuję wam serdecznie. Zanieście odemnie czułe pożegnanie wszystkim... Któż wie? spotkamy się może jeszcze.

Była chwila milczenia.

Zameldowano urzędników starościńskich, których jako z ręki Brühla mianowanych, los ten sam co jego spotykał. Weszło to smutne grono z kondolencją tém rzeczywistszą, iż ją i nad sobą samymi mieć musieli.

Brühl z twarzą wesołą i zupełnie spokojny, pocieszać się ich starał, zaręczając im, że przeciwność tę zniesie z rezygnacją.

Nieboracy wzdychali.

A że właśnie i do salonu generałowej przyniosła była Dumont fatalną nowinę, weszła hrabina trwożliwie spoglądając na męża, który ku niej pospieszył.

— *Chère Comtesse* — rzekł — bardzo mi przykro widzieć cię zdegradowaną z generałowej na prostą hrabinę... i ze starościny na wojewodziankę — ale zniesmy ten cios, pocieszając się muzyką.

Obrócił się do gości, prosząc siadać oficerów artylerji i urzędników. Ci jednak odmówili, wymawiając się pilnemi zajęciami urzędowemi; oficerowie tylko z Dłubickim pozostali. Ksiądz biskup zbliżył się do hrabiny, powtarzając wyrazy najżywszego oburzenia i współczucia.

Jak burza, wbiegła w tém pani Sołłohubowa, wprost się zbliżając do Brühla z niepohamowanym gniewem, jakim ją nappełniła świeżo otrzymana wiadomość.

— Nie ma co mówić! — zawołała — jednają sobie przyjaciele i gotują przyjemną przyszłość.

Brühl się uśmiechnął żartobliwie.

— A! pani! — zawołał — czyż się mogła choć na chwilę łudzić, że mi przebaczą i że mogąc się pomścić, będą wspaniałomyślni? ja! przynajmniej ani na chwilę nie przypuszczałem, żeby mnie po-

zostawiono na stanowisku, na którémby w dzisiejszym stanie rzeczy sam zostać nie mógł.

A ciszej dodał żartobliwie:

— Któż temu winien, jeśli nie piękne oczy pani Maryi? Stolnik na niewinnych nawet mści się za ich okrucieństwo, a ja padam ich ofiarą.

— Wiesz hrabio — odezwała się równie znizonym głosem Soltohubowa, podając mu rękę — bardzo cię szacuję, *c'est peu dire*, a jednak nawet dla ocalenia ci generalstwa i starostwa, oczy moje kłamać by i uśmiechać się nie potrafiły temu galantowi wszystkich piękności, który w istocie żadnej nigdy nie kochał i kochać nie umie nic — prócz siebie.

Powiedziała to żywo — Brühl przyklasnął — wszyscy byli ciekawi dowiedzieć się, jakim ostrym dowcipem strzeliła piękna pani, ale usta jej się zamknęły, a Brühl nie wydał tajemnicy.

Towarzystwo gwarnie rozprawiało o wypadku głównym dnia tego i o gotujących się jeszcze nowych krokach *Famili*, która władała sejmem i stolicą i czuć dawała swą potęgę nieprzyjaciółom — gdy Brühl z pulpitu nagotowanego wziął nuty... i zwrócił się do księdza biskupa.

— Nie ma w takich razach lepszego środka na myśli ponure, ani skuteczniejszego na ich rozbicie, nad boską muzykę. Jej tony przenoszą nas w lepsze światy i każą zapominać o wszystkiém co nam tu dolega. Mieliśmy właśnie odegrać dziś kwartet, zna-

komitego nowego kompozytora, który mi nadesłał Esterhazy. Haydn, autor tego ślicznego dzieła, jest jego kapeli dyrektorem. Nawet nasz Haase drezdeński ustąpić przed nim musi, gdy idzie o głębokie uczucie — o śpiew wyrażający na przemiany melancholję, smutek, ból, tęsknotę.

Wprawdzie, mizerny amator... (tu się skłonił), grać musi pierwsze skrzypce — ale piękność kompozycji pokryje wykonania wady.

Trzej zaproszeni muzycy już stroili drugie skrzypce, alt i wiolonczelę, Brühl założył rękawy fraka i odrzucił mankiety, dobył swego Stradivariusa, ocierając go batystową chusteczką i stanął u pulpitu, na którym leżał numer pierwszy, dzieła 64, z re majeur. Goście powoli ustąpili, grupując się ku krzesłom przy ścianach, w sali zapanowało milczenie i po chwili zabrzmiało Allegro moderato, którego słuchano z przejęciem i w milczeniu.

Brühl mimo, że się nazwał dylletantem prowadził wykonanie wybornie, i jako dobry kwartecista nie starał się odegrywać pierwszej roli, ani świetnie kosztem swoich współtowarzyszy. Z jednakową siłą i precyzją występowały wszystkie równouprawnione instrumenta, jak czterej bracia rodzeni... zniąc zgodne głosy.

Po chwili spoczynku krótkiej, Adagio cantabile zaczęło. To było prawdziwym Haydn'a, jeszcze naówczas mniej znanego tryumfem... Śpiew ten szeroki, prosty, pełny uczucia, zabrzmiał jak coś stwo-

rzonogo umyślnie na pociechę serc zbolałych. Gdy ostatnie jego takty w cichém piano skonały, nie oklask, ale tylko szmer i westchnienia poświadczyły o wrażeniu.

— W tym śpiewie — rzekł żywo Sołtyk — który już zmilczeć dłużej nie umiał, w tym śpiewie czuć człowieka, któryby dla kościoła i dla Boga godzien był nucić.

Odgadł mimowolnie późniejszego twórcę najwspanialszej pieśni boleści, jaką uczucie chrześcijańskie natchnąć mogło — Siedmiu Słów Zbawiciela na krzyżu.

Żywy menuet i z potężną werwą odegrany finał (Presto) zakończył, rozbijając w słuchaczach tęskne uczucia, króre Cantabile aż do rozrzewnienia rozkolysało. Brühl położył nareszcie Stradivariusa i otarł pot z czoła. Zbliżał się do niego Solłohub właśnie.

— Wierzaj mi Jasiu mój — to są jedyne, to są prawdziwe, żadną zgryzotą, przesytem nie zamaczone życia rozkosze. Myślenie, sztuka, pieśni, obrazy. Wszystko inne niesmakiem się kończy i zawodem. W tych płodach człowieka tkwi co natura ludzka najlepszego, najszlachetniejszego wydać może. W życiu czuć ułomność naszą — poezyi i sztuce naszą isierkę boską.

Westchnął...

— Mój drogi, dałbym wszystkie generalstwa w świecie i starostwa grodowe w dodatku, gdybym

mógł raz w duszy uczuć i wymarzyć taki kwartet jak ten Haydn'a... taką symfonię jaką on dla Esterhazego napisał, gdybym kiedy potrafił wymalować *un Christ alla moneta*, i napisać *Tartuffa*.

— Dodajże — spokojnie odezwał się Sollohub — gdybyś kochając, uczuł się kochanym, i...

— Stój! — rzekł Brühl — o miłości mówić nie pora nam obu... przebyliśmy jęj rozkwity pierwsze i najżywsze. Miłość to arka święta, która w przybytku zawsze osłonięta stać powinna. Świętokradzca kto ją ręką zuchwałą odsłania.

Sollohub westchnął spoglądając na żonę. Siedziała ona zdala, nie bardzo się bawiąc z Francuzką, usiłując ją czémś rozerwać. Dumont szeptała jęj do ucha — ona się zdawała nie słuchać i nie słyszeć...

W drugięj stronie salonu skupiło się kilka osób około podczaszego litewskiego, który coś dobywszy z kieszeni fraka, dyskretnie przypuszczonym do oglądania pokazywał. Z kolei przysuwali się wtajemniczeni dla przypatrzenia się jakięjs kartce papieru czy pergaminu, starannie w rodzaj pugilaresu zawiniętej. Przyszedł i Brühl.

— Zaczekaj, nim pokażę — odezwał się podczaszcy — najprzód to wytłomaczyć muszę. U wojewody ruskiego na dworze bawi sławny francuzki miniaturzysta Violant. Znałem go dawnięj, robił coś i dla mnie. Wczoraj przypomniałem go sobie z powodu portretu żony, który mieć chciałem. —

Poszedłem sam do niego. Na pulpicie znalazłem — zgadnijcie co? — miniaturę pana stolnika... jedną, drugą, trzecią i to w całej postaci i w najrozmaitszych strojach. Uderzyła mnie oto ta... na której jak widzicie — odmalowany już jest w płaszczu z gronostajami, *excusez du peu*, z berłem w ręku i koroną na głowie. Strój, o którym decydować nie umiem, zdaje mi się hiszpańskim, tak przynajmniej wnoszę z kryzy, pończoch i trzewików.

— Nie znajdujcie państwo, że to trochę za wcześnie? — rzekł uśmiechając się podczaszy.

— Nie chcąc być wziętym *au depourvu*, — rzekł Brühl — należy się zawsze wcześniej przygotować.

— Tych miniatur, któremi stolnik obdarza piękne panie, swe przyjaciółki... nastarczyć Violant nie może.

Sołtyk patrzył z rodzajem dumy i niechęci, która o los miniatury utrzymanej w rękach podczaszego lękać się kazała. Widząc to Potocki, zawinął ją starannie.

— Dałem słowo honoru Francuzowi, że mu ten szacowny depozyt jutro zwrócę... Chciałem tylko pokazać to państwu, jako rzecz wielce charakterystyczną... W chwili gdy się ważą losy Rzeczypospolitej... ten, co ster jej w ręce wziąć pragnie, siedzi do miniatur i myśli o koronacyjnym stroju...

— Trzeba przyznać — dodał wojewodzie wołyński — że jest istotnie piękny i nie dziw, że naśladuje Narcyza.

Rozmowa potoczyła się o wszystkich młodych paniach zaszczyconych względami stolnika... na których czele stała księżna Sapieżyna wojewodzicowa, siostra kasztelanica bractawskiego, który na krok nie odstępował naówczas stolnika i dodawał mu we wszystkim odwagi.

Dano wieczerzę i Brühl z wesołą twarzą, jakby mu się dnia tego nie przytrafiło nic nadzwyczajnego, gości zaprosił do stołu... Ten stoicyzm ex-starosty i ex-generała oddziaływał wkrótce na innych, i spokojniejszym umysłem zaczęto się zapatrywać na sprawy potoczne.

Pomimo wysiłków Radziwiłła, hetmana, wojewody Potockiego, już jawném było dla wszystkich, że sprawa została przegrana... Prymas w boleści głębokiej, powtarzał narzekania na Francję, Mokronowski starał się walkę braterską i wojnę domową powstrzymać — mówiono głucho o obrotach hetmana, o rwaniu się szaloném księcia wojewody...

Lecz dosyć było obliczyć siły — ażeby przewidzieć po czyjój stronie będzie wygrana.

Wszystkie nadzieje Saksonii i Ermelindy spełzły ze zgonem kurfirsta, żaden z panującego domu kandydat nie zgłaszał się do cierniowój

korony... Wszyscy rozprawiali bardzo żywo o zbliżającej się tuż, tuż elekcyi; jeden Brühl słuchał w milczeniu, a wieczorami grał Haydna kwartety, wcale się nie zdając troszczyć, co się stanie z koroną...

V.

U starościny M... którą nazwiemy nadawaném jéj powszechnie imieniem Dydony (z powodu, że wkrótce po ożenieniu, mąż ją opuścił dla jakichś niedających się wyjaśnić powodów) — jednego wieczoru majowego 1764 r. zgromadzone było towarzystwo liczne, ożywione i nieustannie się zmieniające. Wchodzili jedni, wychodzili pośpiesznie drudzy, szeptano po kątach, wyglądano oknami, każdy ruch w ulicy elektryzował przytomnych i wywabiał ich do spozierania, co się na mieście działo. Miasto też było w jakimś stanie poruszenia niezwyčajnego, napływowego, bo i panowie mieszczenie warszawscy przypatrywali się przechodzącym i przejeżdżającym tłumom, jakby obcym im i nieznanym.

Karety, które otaczały oddziały wojskowych, z zapalonemi pochodniami trzymanemi przez stojących z tyłu lokajów, mijały się gęsto po głównych ulicach. Mijając się, wyglądały z nich twarze uśmiechające się sobie i dające znaki... niekiedy wyleciało słowo w powietrze i schwyczone biegło dalej jak hasło. Mrok i nadchodząca noc, nie powstrzymały tego życia, które się zdawało owszem powiększać co chwila.

W oknach znaczniejszych pałaców w mieście i po za bramami jego rzesiste światła jaśniały... Ciemny był tylko pałac radziwiłłowski, hetmana Branickiego i Potockich.

Największe tłumy ludu i wojska toczyły się przy krakowskiej bramie i zamku... Tu nawet parę rozbitych namiotów i kilka nanieconych ognisk dostrzedz było można.

Z okien pięknej Dydony właśnie część tę miasta widać było.

Gospodyni w całym blasku młodości i wdzięków rozkwitłych bujnie, stała w pośrodku przyjmując gości i jakby się im chcąc pokazać i pochwalić sobą... W istocie warta była widzenia, a mąż co ją tak rychło porzucił, wydawał się politowania godnym.

Powabniejszej istoty wystawić sobie trudno... Wszystko jej dała natura, co tylko do wyszafowania miała — nawet wdzięk, który nie zawsze towarzyszy piękności. Twarz przypominała ubóstwioną

bachantkę idealną, całą w uśmiechach zalotnych, drgającą życiem, płonącą ogniem, radującą się światu, wyzywającą uściski. Czarne jęj oczy na przemiany śmiały się i tęskniły, paliły i niepokoiły jakimś smutkiem. Rumiane usta zdały się stworzone do pocałunków, rączki białe do uścisków a ramiona utoczone wyglądające z pod koronek przystałyby marmurowej Dyanie.

Ubiór tak był piękny jak ona, suknia koloru wody morskiej, mienionęj różowo, koronki białe i brylanty. Obok oczu czarnych jak węgielki, włos złocisty jasny posypany pudrem, najdziwniejszym porywał kontrastem. W tęg chwili piękniejsza była może jeszcze niż kiedykolwiek, bo jakieś uczucie tryumfu i szczęścia ją blaskiem swym oblewało... Zamyślała się wśród tego tłumu — jakby sercem i marzeniami była gdzieindziej, a gdy wychodziła z zadumy, uśmiechała się szczęśliwa, nie wiedząc komu i nie wiedząc z czego.

Cały wieniec pięknych pań ją otaczał — ale żadna z nich nie mogła walczyć z nią o pierwszeństwo... Patrzyły z zazdrością, niektóre z politowaniem skrytém — a wpatrzywszy się w nie, postrzedz było można, że to grono dobrych przyjaciółek... w istocie było jakby zapaśnic falangą, która się wybierała na wojnę. Było ich kilkanaście, każda inaczej piękna, każda różnie wdzięczna, każda czém inném pociągająca. Czarne oczy jednych, niebieskie drugich, piwne i złotemi odbłyśki świecące współ-

ubiegały się o lepszą. Jednych poważny wzrost i kibić zachwycaly wyrazem siły, drugich drobnin-
czne kształty nęciły powietrzną lekkością.

Wzrok tych pań, którym ciskały na siebie, kló-
cił się w ogóle z ich usty. Wargi się wszystkie
śmiały, wejrzenia sztyletowały.

I słyhać było po kątach rozmowy.

— Spojrzże proszę cię na Dydonę, kto tak ra-
miona odkrywa? to się nie godzi... i jaki wzrok
prowokujący, wszystkich!

— Jużci i kasztelanowa nie lepsza — odpowia-
dała spytana piękna pani — przypatrując się swój
ręce białej, długiej i okrytej pierścieniami dla tego,
że nosi ciasne trzewiczki na bardzo wysokich kor-
kach, tak się popisywać z nóżką! Wiem od Praz-
kiego, który mi także dostarcza obuwia, że nogi
tak nadzwyczaj małej nie ma.

— Albo proszę cię... wojewodzianka? — szeptała
pierwsza — matka już ją wyprowadza na scenę —
ledwie ma rok szesnasty... a spojrz jak się zaleca!

Mężczyzn było mało dnia tego... kilku star-
szych weszło na chwilę, poszeptało coś i cofnęło
się z pośpiechem.

W kącie salonu ukryty siedział ktoś zdający się
domowym. Był to stryjaszek pani, która jako Dy-
dona potrzebowała w domu opieki i powagi i przy-
swoiła go sobie.

Stary wsparty był na lasce, przed czasem zgrzy-
biały, towarzystwo go męczyło, od światła się skrył

w kątek, szczęki mu bezżębne zapadły, oczy się zamykały jakby do snu znużone, ale pełnił swój obowiązek opiekuna synowicy siedząc w kącie. Czasem jakby przebudzony oglądał się po salonie z przestachem, i znowu wpadał w zadumę głęboką.

Rozmowy wcale nie szukał, zdał się jój raczej unikać; grono pięknych pań go wcale nie obchodziło, a gdy wypadkiem oczyma spotkał czyje wejście, co prędzej odwracał je, aby nie wywołać zaczepki. Z posępnój miny, czytał każdy kto chciał, że mu na tém stanowisku opiekuna zalotnój i młodej kobieciny, nie musiało być bardzo wygodnie.

Lecz staruszek za Sasów pamiętał lepsze czasy, stracił co miał, a nawykły był do pieszczonego życia; zaprzął się więc w usługi Dydony dla dobrego jój stołu i wygodek życia... Czuł może swój upadek i upokorzenie, i dla tego w pośród tak wesołego towarzystwa był tak niezmiernie kwaśnym... Kwas ten krył się w cieniu i nie oddziaływał na obecnych.

Drzemał tak milczący starowina... gdy obok niego zaszeleściła suknia jedwabna, którój szmer usłyszawszy z przestachem, rzucił się na krzesło, chcąc ukryć głębiej jeszcze... Oczy jego podniosły się jednak, aby zmierzyć całe niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, i spotkały się — z uśmiechniętą twarzą pomarszczoną staruszki wyfiokowanej mimo wieku, jak zwykły bywać panie, które raz były piękne i nigdy niemi przestać być nie chcą.

Staruszka trzymała się jeszcze bardzo prosto z łaski sznurówki i rogów, ale głowa jej mimowolnie się kołysała... a oczy niegdyś czarne, w karmazynowych teraz obwódkach niemal straszne były. Gdzie niegdyś amorki dołki paluszkami wyźlabiały, dziś głębokie fałdy mech okrywał i brodawki... Staruszka obejrzała się i siadła naprzeciw stryjaska Dydony...

— Wstydzę się szambelanie drzemać, a pfe... przyszedł cię bawić, abyś z krzeselka nie spadł.

— Ja? ale któż mówi, że drzemie!.. Ma foi! fałsz... słowo daję.

— Na moje oczy widziałam, głowa ci parę razy na piersi spadała.

— Ale nie!.. — z oburzeniem zawołał szambelan — jako żywo... Co pani krajczyna wymyśla!

— No — nie gniewaj się... Powinieneś być w dobrym humorze... Twoja synowica... ha! ha! śmieje się jej przyszłość.

— Byle się później z nią nie urągała — zaszeplecił prędko i niewyraźnie szambelan.

— Jutro stolnik będzie obrany.

— I cóż z tego?

— A ona zrobi z nim co zechce... cicho dodała krajczyna.

— Jak długo? jak długo? — począł rzucając się i niecierpliwiać szambelan... — Dajcie pokój, pani krajczyno... Augusta pamiętamy, Augustowie mają zmienne gusta.

— Ty jeszcze kalamburujesz.

— To mi samo przyszło.

Ręką machnął i uderzył się po kolanach.

— Salon starościny dziś, to kosz kwiatów.

— Czekaają na ogrodnika, który sobie z nich bukiet wybierze, powącha go — i rzuci na śmiecie...
Dzierlatki! dzierlatki!

Krajobraz się rozśmiała i schyliła do ucha.

— Każda z nich się spodziewa być trochę królową, spojrzycie! jak się jedzą oczyma. O! co za wyborna komedia!

Zniżyła głos... Rzekłbyś hareem sultana, który złotem szytą chustkę ma rzucić!

Szambelan mówił tak prędko, że go zrozumieć było trudno, a że zęby wszystkie utracił, szeplenił jeszcze bardziej... Musiała się więc nachylić krajobraz, gdy począł po cichu, odpowiedź na jej uwagi.

— Myśmy to starzy znajomi — rzekł — przed waćpanią mogę mówić *à coeur ouvert*. Mnie tylko mojej żal!.. Mogła pójść po rozwodzie za męża, głowę jej zawrócił ten Celadon z przyszłą koroną. Sądzi, że go pokona i ustali, a ja jej cały regestr przyniosłem tak ukochanych jak ona... tak spodziewających się i na takie same narażonych zawody... Spojrz, moja krajobrazio... a toć to są wszystko rywalki co ją otaczają. Pierwsza wojewodzicowa — dalej... licz.

I palcem wskazał kobiet grono... Wtem szmer się stał u drzwi, które się żywo otwarły, a ku nim jak fala morza posunął się cały orszak niewieści, czarodziejską pociągnięty siłą... Oczy się wszystkich pań zwróciły w jedną stronę... widać było rączek drganie, i po ustach przeleciały uśmiechy wyzywające... Białe paluszki szybko poczęły poprawiać coś we włosach, na sukniach, co wcale naprawy nie potrzebowało...

W téj chwili dwóch panów, dwóch młodych adonisów szybkim krokiem na salon wchodziło, obaj ubrani starannie, oba w kwiecie i sile wieku. Pierwszy z nich ze śliczną twarzą i czarnemi oczyma, był mniejszy, zręczny, pełen zalotnego wdzięku, drugi przechodzący go może urodą i postawą, silny, barczysty, z żołnierskim wyrazem zuchwałym na męzkim obliczu.

Był to pan stolnik i kasztelan braciławski jego przyjaciel serdeczny, oba na krótko, na moment odrywający się od spraw nieskończenie ważniejszych, wigilii elekeyi, dla spojrzenia na te panie... dla nabrania z ich oczu siły i odwagi na jutro... Każda z tych pań cisnęła się naprzód, aby wejrzenie stolnika pochwycić... po czołach jednych powlokły się chmury, drugie słonecznym oblały się blaskiem... Spojrzał! uśmiechnął się... mrugnął... uszczęśliwił...

Na twarzy gospodyni domu pałała radość... podała mu rękę, dla niej przyszedł... Była tak

siebie pewna, że jój ten orszak rywalek nie trwożył... Do niej pierwszej przemówił i uśmiechnął się...

Lecz tuż z za białych jój ramion patrzała twarz śliczna... którą kradzioném wejrzeniem witał... a dalej stało smutne czoło dziewicze z oczyma czarnemi... ku któremu posłał tajemne powitanie.

Tymczasem panie otaczały towarzysza, wieszając się na jego rękach, czepiając i rzucając mu w ucho zapytania...

— Cóż nowego?

— Nic, oprócz żeśmy siebie pewni i że jutro... jednogłośnie go wybiorą...

— A tamci? tamci?

— Są w rozsypce... Ha! co gorsza, traktują... radziby się pojednać.

— Być nie może...

— O! tak jest! tak jest...

— Cóż on na to!

— Nie potrzebujemy ani ich, ani ich zgody... jesteśmy panami...

W kątku salonu, na uboczu od tych bóstw, które składały Olymp, siedziała w ciemne okno patrząc piękna Solłohubowa, nie przeszkadzając innym być piękniejszymi od siebie. Z Dydoną łączyło ją pokrewieństwo, była tu niemal przypadkiem — znalazła się nie wiedząc o gościu — siedziała, bo jój to było obojętném i uciekać się wstydziła.

Wtem gdy tysiące oczu wyzywały stolnika, gdy wszystko biegło przeciwko niemu, uwielbiany i szczerliwy dostrzegł opuszczoną w kątku, tak obojętną, tak zimną, że mu cały tryumf struła...

I stał się roztargnionym mocno. Mówiono doń, nie rozumiał; wyzywano, nie odpowiadał; patrzano, nie widział... Twarz w cieniu ciągnęła go ku sobie... Stolnik od gospodyni przeszedł do pani wojewodzicowej... od téj do drugieć piękności, która za nią stała, do trzeciej... do coraz dalszej, i znalazł się blisko krzesła Sołłohubowej, a ta zdawała się go nie widzieć, czy widzieć nie chceć. Siadł przy niej.

Brwi Dydony ściągnęły się jakby z nich piorun miał wypaść: „Niewdzięczny!“ — szepnęła. Wojewodzicowa biła nóżką o podłogę, inne panie podwracały twarze... Sołłohubowa nie spojrzała na siedzącego, który ją powitał.

— Zawsze więc pani fiołkiem być lubisz? — spytał...

Piękna Marya długo nań patrzała.

— Ponieważ dziś jeszcze — rzekła z przyciskiem — mówić mi to wolno: pan hrabia zawsze motylem?

Stolnik się uśmiechnął.

— Jak tu nim nie być! — westchnął... — wśród tylu i tak ślicznych kwiatów...

— To prawda, — poczęła zwolna Sołłohubowa, nie troszcząc się wcale o wejrzenia zazdrosnych pań, które na nią padały — to prawda! Żal mi szczerze

hrabiego, jesteś skazanym na życie Tantala, który wiecznie będzie pragnął tego czego pochwycić nie może...

Stolnik się schylił uśmiechając, podniósł upadłą chusteczkę, co wzbudziło niesłychaną zazdrość, i prowadził dalej rozmowę.

— Tantala męczarnie źle, zdaje mi się, wytłomaczyła mitologia. Tantal wydaje mi się najszcześliwszym ze śmiertelnych... bo możeż być co straszniejszego nad brak pragnienia... Pragnąć — to już być szczęśliwym...

— Teorya nowa i bardzo dowcipna, — odparła Sołłohubowa — ale zlitujże się, panie hrabio, nad temi paniami, co mnie oczyma piorunują, idź do nich... lub — zabijaj mnie...

— Stanę w jej obronie, — rzekł stolnik — bom jej wielbicielem!

— A! a! doprawdy! — rozśmiała się zimno Sołłohubowa. — Cóż to za szerokie serce!... Dydo, wojewodzicowa, kasztelanka, dwie księżniczki... na przemiany wszystkie wielbisz hrabio... to prawdziwie jowiszowska miłość.

Sarkazm w tych wyrazach zawarty, cieniem przelotnym pokrył oblicze stolnika; spoważniał, zamyslił się.

— Z panią otwartym być mogę, — rzekł z cicha, — pani wdziękami należysz do tego grona, ale umysłem stoisz daleko po nad niém. Żadnej z tych pięknych pań nie śmiałbym tak odkryć mojej na-

tury ulomnej jak przed nią. Posłuchaj mnie pani! Jam nie nie winien... Jestem czcicielem piękności... Widzę u jednej oczy, które mówią do mnie językiem jakimś bozkim... możesz się im oprzeć?... W drugiej zachwycają mnie usta, których uśmiech drażni, porywa — nęci... Jedna ma rękę pełną tajemniczych, czarodziejskich uroków, palce do całowania przez wieki, inna nóżkę anioła... W każdej z nich wielbię objaw piękności...

— A potem odkrywam skazę lub plamkę, i urok cały pryska — przerwała Solłohubowa. — W tém motylém życiu czciciela piękności, hrabia masz chwile szczęśliwych omamień, dopóki się plamka nie ukaze... one roją o miłości, o węzłach wiekustych i oblewają je łzami...

Stolnik wstał z krzesła.

— Nie będę się już tłumaczył, — rzekł poważnie — powiem tylko co pragnąłem jęj oddawna powiedzieć. Byłbym najniezszczęśliwszym, gdyby mi los i okoliczności odebrały jęj szacunek... Nim pani zechcesz mnie sądzić i potępić, proszę zaczekać... Wielem się naraził jęj przyjaciołom... to były konieczności położenia... ale jutro — wszystko zmienić i nagrodzić może.

To mówiąc skłonił się i śpiesznie oddalił — a czas był już, żeby to uczynił, bo straszne burze wrzały pod białemi koronkami i okrutne przekleństwa zdradzonych wyrywały się z pieszczonych ust. Bohater dnia tego zwrócił się zaraz do gospodyni

domn... gdy piękna wojewodzicowa chwyciła za rękę brata kasztelanica i z namiętnością a gniewem prowadziła go w oddalony salon zakątek...

— Powiedzże mu: — zawołała cała drżąca — ja tego nie ścierpię! ja nie zniosę... Niech wybiera między mną a Dydoną... albo tą napuszoną indyczką — Sołłohnbową... Ale on sobie żartuje ze mnie!! Ja jestem wściekła...

Kasztelanic słuchał, ręce powkładawszy w kieszenie, patrząc w sufit i nie przywiązując wielkiej wagi do gniewu siostry...

— Czyś już skończyła? — spytał. Spojrzał na nią z góry. — Siostrko kochana, *c'est du plus mauvais genre* taka zazdrość. Daj mi być trochę załotnym... powróci do ciebie, byleś miała rozum... Uśmiechnij się innemu... Jego motylowanie nie ma najmniejszego znaczenia... To taka natura, on się do kominiarza będzie wdzięczył...

— A moja natura jest, nie cierpieć tego! — odparła wojewodzicowa — powiedz mu to!

Kasztelanic coś jęj szepnął na ucho, i dostał klapsa wachlarzem, rumieniec wystąpił jęj na twarz... Brata fizyognomia uśmiechała się szydersko i cynicznie...

Zamilkli oboje...

Panie z kolei rozrywały między sobą stolnika; dla każdej miał jakieś słówko tajemne i każda z nich odeszła uszczęśliwiona czarodziejem, spoglądając z pewną dumą szyderską na rywalki.

Wtem gdy salon śmiechami stłumionemi i najżywszą rozmową się rozlegał, stolnik i kasztelanie spojrzeli na siebie, ostatni dobył zegarka i znikł z salonu, prawie niepostrzeżeni. W progu tylko gospodyni domu podała im rękę... W salonie zrobiło się ciemno i zimno, jak gdyby słońce zagasło... piękne panie jedna po drugiej poczęły szukać krzeseł i spoczynku, każda z nich potrzebowała się odosobnić i zadumać, pieszcząc tém słowem w nadzieję bogatém, które jój rzucono...

Stara krajczyna schyliła się do zadumanego szambelana...

— O czém myślisz? — spytała.

— Dla czego wieczerzy nie dają? — wybuchnął niecierpliwie spytany. — Dawno czas, a ja jestem głodny...

— Wiesz, żeś doskonały! — uśmiechała się stara; — myślałam, że mi powiesz komplement... a ty...

Szambelan jakby nie słyszał.

— Macie wielką przysługę przed sobą — dodała zmieniając rozmowę — boć to ma swe znaczenie przecie, że w takiej chwili waszą Dydonę odwiedził...

— Pewnie! pewnie! — rzekł roztargniony stary; ale, zdaje mi się, że oto do stołu dają. — I wstał.

Zamiast drzwi do jadalni, otwały się wchodowe i nowi goście ze świeżemi nowinami ukazali się w nich. Niektórzy z nich wracali z Woli, inni z tych miejsc gdzie się posłuszna szlachta w oczekiwaniu

jutrzejszego dnia gromadziła. Każdy przynosił coś uspokajającego. Kuryery przywiozły dobre z prowincyi wieści...

Wśród zamieszania, jakie powstało tu, bo każdy biegł ciekawy do zwiastunów nowin szczęśliwych. Sołłohubowa wymknęła się ze swojego kątką, wysliznęła do przedpokoju, służący narzucił na nią czarne futro i powóz oddalił się szybko, wioząc ją do Saskiego pałacu.

Była pewna, że tego dnia i tu czuwać długo będą; że znajdzie Brühlów tak żadnych wiadomości, jak byli wszyscy w téj godzinie stanowczéj. Nie omyliła się... W pustéj salce hrabina siedziała jeszcze z robotą. Dumont z założonemi rękami... W pół pokoju stał przywołany Godziemba i w postawie pełnéj uszanowania zdawał sprawę z tego co widział na mieście. Ręka jego już była wygoniona, a czerwona blizna na twarzy wcale go nie szpeciła. Niekiedy hrabina podnosiła oczy od roboty na swego sekretarza i spuszczała je jakby się sama téj śmiałości ulękała, nie widząc jak niecierpliwie ramionami rzucała Francuzka.

Godziemba na widok Sołłohubowej, uklonił się i powoli ku drzwiom zmierzał, gdy ta zwróciwszy się do niego, poprosiła go, aby o jéj przybyciu dał znać hrabiemu. Nie czekano na niego długo, wszedł natychmiast z twarzą tak swobodną i uśmiechniętą, jakby wcale nie wiedział, iż jutro osobisty nieprzy-

jacieli i prześladowcy okrzyknięty będzie panem i władcą kraju...

— Mój drogi hrabio! — idąc naprzeciwko niemu poczęła Solłohubowa — złe ci przynoszę nowiny... Byłam u Dydony... miałam tam szczęście nawet widzieć i nieszczęście rozmawiać z kandydatem — bo mi to wiele nieprzyjaciołek nowych przyczyniło... Nie ma wątpliwości, że jutro... jednogłośnie wybór nastąpi... Lękam się o was i dla was samych i dla wojewody, który jawnie występował przeciwko kandydatowi... Czy nie bezpieczniej, czy nie lepiejby było, choć z ust jego słyszałam nspakajające wyrazy — cofnąć się póki czas i nie narażać na zemstę?

— Cóż mi jeszcze uczynić mogą? — zapytał — odebrali mi wszystko, jestem prywatnym człowiekiem... a przestając być szlachcicem polskim, nie tracę praw, jakie ma do gościnności saski poddany i hrabia państwa rzymskiego. Dla czego mi pani każesz uciekać?

— Dla tego, że za wojewodę mścić się na was będą, za tego Radziwiłła, który się na nich rzuca i burzy... wreszcie za pamięć ojca...

— Bądź pani spokojna — odezwał się Brühl. — Ja nie czuję najmniejszej trwogi, bo nie mam żadnych ambicji. Nie stoję nikomu na drodze... a tak mi tu spokojnie i dobrze....

Gdy się ta rozmowa rozpoczynała, hrabina składała swoją robotę, której część oddała Dumont; obie one, jakby naumyślnie wyszły, zostawiając

Brühla sam na sam z przybyłą, która powiodła oczyma za odchodzącemi.

— Proszę cię, hrabio — odezwała się ciszej — już nie po raz pierwszy uważam, że żona twoja... gdy ja przyjeżdżam, z pewną affektacją oddała się z salonu... Czy to ma być przestroga dla mnie?

Hrabia się rozśmiał...

— Proszę tego nie brać do serca, — rzekł — wróci ona natychmiast, ale pewne praktyki religijne ma do godzin przywiązane...

Sołłohubowa zamilkła.

— Chcesz mi wmówić hrabio, — dodała po pewnym przestauku, — że nie widzisz niebezpieczeństwa dla siebie... lecz wyzywasz ich tém upartém trwaniem na stanowisku... Mnie się zdaje...

Gdy to mówiła, Brühl zbliżył się do niej z wolna patrząc na drzwi, któremi wyszła jego żona...

— Mnie się zdaje, — podchwycił — że najprzebieglejsza i najrozumniejsza z dam... jedném słowem... pani Solłohubowa, nie chce zrozumieć swego sługi, i przypisuje to jego uporowi i dumie, co płynie z innego uczucia... Tak jest, mógłbym spokojnie oddalić się ztąd i stworzyć sobie ciche gniazdko w moim zamczku saskim lub pałacu drezdeńskim... ale tam... tam! — rzekł, zniżając głos — nie widziałbym tych oczu i nie posłyszał téj melodyjnej mowy, któremi żyję... tam usechłbym z tęsknoty...

Pani Marya spuściła oczy i zamilkła.

— Gdyby to nie był dla starój przyjaciółki grzeczny komplement, byłaby to zaiste zbyt wielka ofiara.

— Na daleko większą zdobyłbym się chętnie — mówił Brühl — bylebym widoku waszego nie stracił. Może się to mówić i przyznawać do tego nie godzi, daruj mi — pani... aleś sama wywołała wyznanie, które jest tłumaczeniem zarazem postępowania mojego...

Sołłohubowa mocno zarumieniona, milcząca, podała mu rękę tylko, którą Brühl ucałował...

— To są ludzie mściwi! — rzekła — nie wierzę słodkim ich wyrazom. Trwożę się, trwożę dla was... o was... wołałabym widzieć w Saksonii... na ten raz, niż tutaj... choć daleko musiałabym szukać myślami przyjaciela...

Zegar wybijał w pół do dwunastój, Sołłohubowa wstała z siedzenia kładąc rękawiczki...

— A! jak późno! — zawołała — a hrabina nie powraca...

— Mówi z Dumont litanię, — uśmiechając się szepnął Brühl. — Pocziwa Francuzka śmiertelnie się nudzi i poziewa, ale jest tak nieoszacowanie dobra i posłuszna, że najgorętszy romans francuzki rzuca w chwili, gdy o losie bohatera mogłaby się dowiedzieć, dla dogodzenia hrabinie...

Szelest, jaki przechadzająca się żywo i wybierająca do odjazdu umyślnie zrobiła Sołłohubowa,

dla wywabienia gospodyni, — ściągnął ją wreszcie z nieodstępą towarzyszką...

Dwie panie pożegnały się z tą czułością powszednią, jaką nakazuje grzeczność i formy światowe. Hrabina troskliwie kazała się okryć pięknej pani, ta nie puściła jej do sieni, aby się nie zziębiła, i w progu ucałowawszy się jeszcze, rozstały się ściskając za ręce — do jutra.

VI.

Okolo godziny dziesiątej wieczorem, do Peszla pod zamkiem docisnąć się nie było podobna. Dzień był jesienny, ale ciepły i piękny. Gwar pod sklepionymi obu izb panował niesłychany, chłopcy posługujący głowy tracili. Wiwały rozbrzmiewały hałaśliwe, wesołe, powtarzane i najczęściej kończące się okrutnym szkła tłuczeniem. Była obawa, że kieliszków i szklanek zabraknie.

— A pał was djabli! to będziemy pili z gasiorów! — zawołał szlachcie, któremu sam Peszel pokornie ośmielił się uczynić tę uwagę.

W małej owej izdebce, która bywała przytulkiem naszych znajomych, tym razem ich nie było... Niechy nie zyskali na schronieniu się do niej, bo drzwi na oścież stały otworem i ścisk w obu był równy.

— Co przeznaczone to nigdy nie minie... — mówił wąsaty szlachcic do słuchających go z rewerencyą i przejęciem, podpilych już nieco pocziwych Mazurów. — Całemu to światu wiadomo, że sławny Włoch wróżbita jeszcze mu w kolebce przepowiedział, iż koronę nosić będzie. Matka o tém jedna wiedziała, i ziściło się... *Habemus regem!* Wiwat!

— Byle już nie Sas, nie szolendra; a Piast, a swój — to i dobrze i zgoda... Pacyfikacya nastąpi ogólna... podamy sobie ręce. Wiwat!

— Mówią że ekonomczuk? Co mi tam!

— Łgą, -- rzekł drugi. — Poniatowscy z familii włoskiej Torricellich pochodzą... ród książęcy...

— Dosyć na niego spojrzeć, — przerwał inny, pan całą gębą... postawa królewska, czoło i rozum do korony... a ci, co go słyszeli, odchwalić się nie mogą miódopłynną wymową... Chryzostomus drugi. Dziesięciu językami mówi...

Z drugiej strony krzyczano zapalczywiej jeszcze: *Wiwat!* a z pośrodka hałasu, słychać było tylko rzuconą wątpliwość:

— Kto funduje?

Zagłuszono interpellanta. Uszcześliwienie było powszechne.

W kąciku na ucho, ostrożniejsi a świeżo nawróceni szeptali:

— Jako żywo nie poddał się książę Radziwiłł, z wojskiem i skarbami wszedł pod opiekę Austryaka.

Zobaczmy co jeszcze będzie. Potoccy też nie wszyscy się akomodowali. Kto wie, co jeszcze na stać może! — Mokronowski powiada: łatwiej go będzie obalić, niż było wyborowi przeszkodzić.

— Cyt! cyt! — poczęli otaczający — po co to z tém się odzywać?... dziś nie pora...

Żudra stał z rękami w kieszeniach zmęczony strasznie, z plamami czerwonymi na twarzy, niebieską chustą ocierając się co chwila, ale milczał. Coś mu nie było do smaku, splotał.

— Przecieżeście to wy na to kazanie dzwonili, szeptał mu ktoś na ucho.

— Tak jest, — mruczał mostowniczy — ale, *sic vos non vobis*, co innego się myślało, a co innego zrobiło. Hm! hm! byli starsi i podobniejsi do tego zaszczytu... ale ci recesowali... Ciężar wielki! nie ma co nowemu panu winszować! Gdyby co dobrego w tém było, nie odrzuciłby książę kanclerz, i nie odciągnęliby księcia Adama.

Pokiwał głową i zamilkł nagle.

Wiwaty brzmiały ze wszech stron...

— A to mosanie, rzecz niesłychana, — mówił stary szlachcic — aby elekcyja, która zawsze krwawą bywała, nawet bez guza się obeszła! Co panowie na to?... ani jednego *veto*! książę Prymas objechał województwo odkrytą kolaską, i jak dojrzale owoce wota zbierał...

— Widać tak Bóg chciał... konkluduję...

Podkomorzy Laskowski siedział w kącie ze skarbnikiem, rozszluchiwali się i milczeli, spoglądając po sobie z porozumieniem. Skarbnik o co go kto zagadnął, konfirmował — słowem i głową.

— Słowa nie masz,—mówił—dziś dzień zgody; gdyby mi kto powiedział, że cztery litery... przyznam i to... dla świętego spokoju.

— Ale cóż acieńdziej na to mówisz? — spytał Laskowski — tak... *intime*, między nami?

— Ja, mówię że co się stało, to musiało być; zatem... zgoda — odparł Zagłoba i ramiona podźwignął, a głowę spuścił.

— I masz acieńdziej rację, tylko na sejmikach sześciu czy siedmiu rozsiekano... bywało gorzej. Procent wcale nieznaczny, a skutek wielki: raz się kaptury skończą, a pokój nastanie... Tandem mając dwóch takich wujów, choćby mosanie człek był lekki... rady sobie da... Boć to nie on, ale oni rządzić będą.

Skarbnik się uśmiechnął. Jakkolwiek zareczał, że był w humorze potakiwania... ironicznie mu się usta skrzywiły...

— Bodajeś acieńdziej zdrów był! — począł. — Dopóki się władzy nie ma, człekby się gotów dzielić, ale gdy się otrzyma, człowiek o nią zazdrośny! Tandem, nie łapmy ryb przed niewodem...

Tak rozprawiano u Peszla, po ulicach stawały kupki i uszczęśliwione wykrzykiwały: Wiwat!

Szesnaście tylko tysięcy szlachty zjechało się było na elekcyę, a było między nimi różnych wieln, większa część gospodarzy, którym pilno korciało do domu, bo się siejba zbliżała... wiwatowali więc, że ich z ciężkiego obowiązku nareszcie zwolniono...

Znużyło też wielu bezkrólewie, wśród którego fermentowała wojna domowa, a teraz wszystko się zdało ukończone i pacyfikacya sama się składała, bo większa część opozycyi sama dobrowolnie przejednania pragnęła.

Tegoż wieczoru, dowiedziano się n Brühlów o wypadku na Woli... ale od kilku dni przewidywano go, nie uczyniło to więc nadzwyczajnego wrażenia.

Razem prawie z wiadomością o elekcyi, w pałacu zjawił się posłaniec z Krystynopola z listami od wojewodziny do córki i od wojewody do zięcia... W ostatnim pan wojewoda kijowski żądał od hrabiego Brühla, aby, jeśli to było możliwém, nie wydając się z podróżą i nie opowiadając nikomu, przybył tajemnie do Krystynopola.

Hrabia nie miał wielkiej ochoty do wycieczki, oczy bowiem zwrócone były na niego, a podróż do zaledwie przejednanego teścia mogła go podać w podejrzenie; miał jednak w obyczaju poszanowanie dla wojewody i samo żądanie ciekawość w nim obudzało. Szczęściem dnia tego wszyscy tak byli sobą i elektem zajęci, iż w pałacu Saskim nikogo nie było. Hrabia natychmiast udał się do żony

i zastał ją nad listem matki, dosyć poruszoną i przejętą.

— Bardzo hrabinę przepraszam, — rzekł — iż tak jestem natrętny... ale... zmusza mnie do tego rozkaz wojewody, który chcę, abym sekretnie przybył do Krystynopola. Radbym spełnić jego żądanie, a bez pani uczynić tego nie mogę. Wedle wszelkiego podobieństwa, wyruszę dziś jeszcze w nocy lecz nie trzeba, aby ktokolwiekbądź o moim wyjeździe był uwiadomiony. Rozkażę ludziom mówić, żem chory i że nikogo nie przyjmuję, pani zaś będziesz łaskawą.

Hrabina, która właśnie list matki trzymała w ręku, pośpieszyła dodać głosem cichym, że i wojewodzina téj podróży sobie życzy.

— Proszę więc pani — dodał Brühl -- nie wydawać mojej tajemnicy... a gości moich przyjmować...

To mówiąc, pocałował ją w rękę grzeczny zawsze małżonek, spytał czy nie będzie miała co do przesłania do Krystynopola i otrzymawszy odpowiedź, iż za godzinę list wypieszy i odeszle mu... wyszedł myśleć o podróży. Godziemba był we wszystkich razach podobnych jego powiernikiem i teraz więc posłał po niego.

— Mój panie Tadeuszu — rzekł do wchodzącego — dla ciebie nie mam tajemnic. Wojewoda kijowski wzywa mnie do Krystynopola. Chociaż podróż do teścia nie ma w sobie nadzwyczaj-

nego, chce ażeby o nićj nie wiadano. Jadę więc dziś, zaraz... potajemnie... Ruch jest w Warszawie wielki, szlachta tłumami ją opuszcza — wymknę się niepostrzeżony. Ty naturalnie zostajesz tu i będziesz mówił, żem chory.

Godziemba głową potrząsł.

— Mów, rzekł spoglądając na niego Brühl — widzę, że ci się myśl moja nie podoba.

— Bo, chyba gdybyś hrabia był śmiertelnie chory, przystęp do niego mógłby być wzbronionym. Inaczej naprze się ktoś widzieć go i fałsz się wyda.

— Więc? — zapytał Brühl.

— Więc mogłeś hrabia wyjechać do Drezna, dokąd go sprawy majątkowe powołały.

— Tak, to może być lepićj — idźże o tój zmianie oznajmić mojej żonie, aby parol wiedziała, a sam wracaj i pomóż mi do podróży.

Godziemba wyszedł posłuszny rozkazowi i udał się do hrabiny.

Jak zawsze ilekroć się z nim spotykała pani Brühlowa czerwieniła się jak młodziuchna dziewczeczka ogarniał ją strach, mięszała się, szczególniej gdy ją pan sekretarz samą zastawał. Przyjęła go strwożona, i odbiegłszy od poczętego listu, wysłuchiwała co jćj miał do powiedzenia. Hrabia polecił mu przestrzedz żonę, aby o celu podróży nie zwierzała się łatwo paplającej Francuzce.

Spełniwszy rozkaz Godziemba, któremu wzrok hrabiny towarzyszył do progu, wybiegł nie śmiejąc

nawet spojrzeć na nią. Brühl tymczasem pilno już do drogi się sposobił... umówiwszy się z Godziem-bą, że wyjedzie gościńcem do Drezna, a z niego rzuciwszy pocztę, zwróci się ku Krystynopolowi.

Doskonały jeździec Brühl miał część drogi odbyć konno, a dalej wziąć konie pocztowe aż do majątności teścia, w których mu rządcy mogli dostarczyć przepręgów.

W chwili gdy Warszawa brzmiała jeszcze odgłosami elekcji, w piękną noc majową, Brühl opuścił pałac Saski i rozpoczynał podróż, której celu nie rozumiał.

Wiadomo mu było tylko, iż Franciszek Salezy wojewoda kijowski i Eustachy Potoccy, Michał Radziwiłł ordynat klecki, Antoni Lubomirski wojewoda lubelski, Twardowski wojewoda kaliski, już się byli wspólnie z hetmanem Branickim poddali wypadkowi silniejszym nad nich. Zagadką więc dlań była ta podróż tajemnicza.

Spiesząc do jej celu, Brühl dzień i noc pędził ku Krystynopolowi... Dzięki pośpiechowi, z jakim podróż odbywał, porze roku i koniom panów rządów, czwartego dnia rano dobiegł do rezydencji, która wyglądała jakoś dziwnie cicho i pośpuie... Wszystko tu znalazł na swych miejscach, ale dawna buta i duma wojska nadwornego, jego szumne miny i pewność siebie znacznie zbladły. Cicho było na obwache, żołnierze chodzili jak senni, około pałacu mało się ludzi kręciło.

Na wszystkich znać było przybycie jakieś i znękanie. Starosta Zawidecki, który wyszedł na spotkanie hrabiego, unikającego oczu ciekawego dworu, oznajmił mu, że wojewoda tylko co odprawiwszy pacierze, w kancelaryi się znajduje i wprowadził go zaraz do niej.

Potocki znać się zięcia spodziewał i odgadł jego przybycie po ruchu od bramy, znalazł go bowiem u progu, z otwartemi rękami — ale z twarzą, na której wypadki ostatnie wypiętnowały się gniewem jakimś tłumionym i znękanem.

Starosta wpuściwszy Brühla, sam się cofnął natychmiast, zostali z sobą tylko we dwóch. Od kilku miesięcy nie widzieli się i od tego czasu zmieniły się wielce okoliczności. Wojewoda rozmyślił się poddał. Niemał wstyd mu było tego i jakiś czas po wnijściu zięcia... uściskawszy go, stary królik Rusi do słowa przyjsć nie mógł.

Padł na krzesło, dłonią jedną oczy zakrył i potrzebował przetrwać w sobie odżywioną boleść.

— No — cóż waćpan mówisz na to? hrabio — odezwał się wreszcie — co mówisz? Mielżeśmy im wydać wojnę? Nie było podobieństwa. Miałem bez nadziei pomocy znikąd, uchodzić z kraju zostawując im na łup majątki?

Musiałem przyjąć plagę, jaką Bóg zesłał na mnie... ale — wierz mi (tu go ścisnął mocno za rękę), wierz mi, na tém nie koniec. Nigdy im tak

tryumfować nad sobą nie damy! Znajdziemy środki, aby gagacika tego zrzucić z uzurpowanego tronu.

Wstał cały wzburzony wojewoda, gdy w tém małe drzwiczki skryte kancellaryi otwarły się ostrożnie, i surowa, ostrych rysów twarz wojewodziny Anny w nich się okazała. Zobaczywszy Brühla — weszła żywo postępując ku niemu. Hrabia rękę jej całując, list od żony oddawał. Schowała go, nie czytając za gors, pilno się wpatrując przybyłemu zięciowi i ziniemionéj przypomnieniem doznanego upokorzenia męża twarzy.

— Jak się Marynia ma? — spytała.

— Zdrowa, dzięki Bogu — jak list jej dowodzi.

— Kaszle zawsze?

— Trochę, ale wiosenne powietrze.

Nie słuchając odpowiedzi, wojewodzina odwróciła się do męża, który posępnie w okno poglądał.

— Patrz mój hrabio — zawołała głosem w którym się gniew przebijał — patrz co mi z mojego pana Fryderyka jego sprzymierzeńcy zrobili. W tych kilku miesiącach zestarzał mi nie do poznania! — Wszyscy zdrajcy, ludzie bez charakteru — bez męstwa, bez decyzji! Jestem kobieta, alebym nigdy — tu takiéj ignominii nie dopuściła na imię Potockich.

Wojewoda, który był siadł na chwilę, zerwał się znowu.

— Nie mów asindzka o ignominii, nie mów! nie mów! począł głos coraz podnosząc. Jeszcze

rzeczy nieskończone — jeszcze ostatnie słowo nie-
dośpiewane... Niech się cieszą i radują, my spać
nie będziemy. Tego ekonomczuka zrzucimy ze zło-
conego stołka, albo sami żyć nie będziemy!

— A pocięcie mu na nim sięść dali! — zawo-
łała wojewodzina.

Milczenie trwało chwilę.

— Nie moja wina — odezwał się ciągle w gnie-
wie wojewoda — stary hetman niedołęga, sybaryta,
dla wygodek białostockich poświęcił wszystko. Mo-
kronowski tchórz, choć junaka ndaje. Prymas cie-
mięga zdał się na mnicha, nie na ksiąźęcia kościoła,
inni wszyscy dobrzy na języki, ale do roboty nie-
zdadni — cóżem ja mógł jeden, a Radziwiłł drugi?

Wojewodzina poszła zwolna do kanapki, siadła
na niej i głowę na rękach podparła, patrząc na
Brühla, zrezygnowana słuchać żalów męża, który
się własną mową rozpałał.

W tém wojewoda wstał, mruczając coś niewy-
rażnie pod koniec; — począł chodzić po pokoju
żywo...

— Dla jejmości — rzekł, stając nagle — ja
nie mam tajemnic, możemy więc mówić otwarcie...
Waćpana, panie hrabio, tak dobrze odarto i z za-
szczytów i z majątności, że nie nie masz do stra-
cenia. Gorzej już być nie może. Ja — choć mi niby
przebaczone, nie się dobrego spodziewać nie mogę
po nich. Jeśli komu, należy mi się buława, lecz
kat ich bierz, jeśli inaczej do celu dojść potrafimy.

Nie straciłem nadziei. *Patientia!* księżę wojewoda wileński schronił się na Węgry, o pardon prosić nie myśli. Zabrał z sobą dwór, skarby, rodzinę... nie darmo, musi wiedzieć na co czeka, gdy go tymczasem grabią.

Tu wojewoda zatrzymał się nieco i ku żonie spojrział, która uparcie milczała.

— Otóż i mybyśmy też wiedzieć radzi co on myśli i zamierza? — kończył Potocki — ale ślać lada kogo na zwiady nie godzi się, aby sprawy nie popsuł.

Spojrzał na Brühla badająco.

— Co tu długo się rozwodzić? — porywczosie odezwała wojewodzina, której oczy zabłysły nagle — mów asindziej prosto o co idzie. Oto trzeba, abys ty panie hrabio, do Preszowa jechał, abys na oczy swe księcia Karola widział, mówił z nim i przywiózł nam od niego wiadomość.

Wojewoda wlepił oczy w Brühla, który stał nie okazując po sobie ani zgody, ani przeciwności. Myślał właśnie o tém żądaniu, a sama podróż uśmiechała mu się. Nawykł był też możnego teścia spełniać żądania.

— Co wy na to? — zapytał wojewoda.

— Spełnię rozkaz — rzekł Brühl z ukłonem.

— To nie dosyć — dodał wojewoda — mów wacpan zdanie swe a otwarcie. Ja na księcia Karola wielce rachuję, bo żaden z nich tu takiego mężstwa nie okazał jak on i takiej wspaniałości duszy.

— O mężstwie księcia wojewody nie wątpię bynajmniej — rzekł Brühl — widziałem go zawsze nieustraszoną, — ani o szlachetności charakteru; lękałem się tylko porywczoności i zapamiętałości, dla których nie zawsze mógł książę Karol obrachować skutek przedsięwziętych kroków.

— A ja waćpanu mówię, — panie hrabio — przerwał wojewoda — iż to co uczynił, cofając się na Węgry, bez rozmysłu nie mogło być uczynione, ani mi kto potrafi wmówić, ażeby matkę, brata i pięć sióstr uprowadził na tułactwo, nie mając nadziei odwetu i powrotu w tryumfie. Gdyby poddać się miał, czas było to uczynić teraz... Cesarzowa przyjmnie go z wielką dystynkcyą; spenetrowałby więc należało i tajne myśli dworu austriackiego, które różne być mogą — dla tego — postanowiłem was wyprawić do Preszowa.

Brühl skłonił się.

— Z przyjemnością podejmę się téj podróży — rzekł — rad będę zobaczyć księcia Karola, który mi zawsze wiele okazywał życzliwości; — pozwolę tylko uczynić uwagę, iż wycieczkę tę radbym odbyć incognito, jeśli być może z jak najmniejszym pocztą, bez rozgłosu. W Preszowie pewnie na szpiegach nie zbywa.

Wojewodzina pogardliwie skrzywiła usta.

— Juściż — rzekła — proskrybowanemu, jak waćpan jesteś, przyjaciela odwiedzić, za grzech poczytaném być nie może.

— Ale ma słusność — przerwał wojewoda — niech jedzie jako chce... Tak lepiej, ludzi mu do towarzystwa dobiore pewnych, a podróż niech urządzi jak mu się podoba.

— Tak jednak — dodała wojewodzina — aby się godnie zięciem jegomości okazał... i aby przy Radziwille, który tam po królewsku słyszę występuje, nie zmarniał.

Brühl się rozśmiał.

— Juściż z Radziwiłłem się mierzyć — rzekł — ani mam ochoty, ani widzę podobieństwa.

— Jemu to zostawmy — przerwał wojewoda — aby sobie sam sposób obmyślał. Staroście Zawideckiemu dam rozkaz, aby poczet uformował z ludzi pewnych taki, jakiego sobie życzyć będziesz waszmość i na tém dosyć — moja tylko rada, aby i sam Sierakowski wam towarzyszył, bo i kraj, i drogi i trochę języka — *bassa te remtete* zna, i mężstwa niepośledniego człowiek.

Tak w krótkich, a niewielu słowach sprawa, dla której hrabia Brühl został powołany, rozstrzygnięta była i reszta dnia spłynęła na nieskończonych utyskiwaniach nad wypadkami, które *famili*i i jój wybranemu dały tak niespodziane zwycięstwo.

Wieczorem dopiero, z dawna zdająca się czatować na Brühla, wojewodzina, której zły humor wielce niepokoił męża, zięciowi dała znak, aby z nią szedł do jój gabinetu. Był to ten sam właśnie, w którym ze starą i młodą Terlesią i innemi

faworytami, i teraz jeszcze wieczorne odbywały się konferencye... Wojewodzina opatrzyła drzwi, aby ich nie podsłuchiowano, i po długich tych przygotowaniach, stękanii i zagadkowych zaczepkach, stanąwszy przed Brühlem w postaci sędziego, zapytała go znicnacka.

— Powiedźże mi acinǳiej, panie hrabio, czy jesteś szczęśliwy?

— Ja?—spytał—ale zdaje mi się, że nie dałem najmniejszego powodu wątpić o tém....

Wojewodzina zaczęła głową potrząsać...

— Zapewne, zapewne,—rzekła—ale ja o moją Marynię troskliwa, mam raporta moje... Waćpan panie hrabio, zbyt się zajmujesz książkami i muzyką, a żoną za mało; jak to może być... ażebyście... dotąd nie mieli...?—Tu wojewodzinie trochę głosu zabrakło —i cicho dodała:—A tak, żebyście nie mieli potomstwa?—Badawczo spojrzała w oczy hrabiemu.—Już na tę intencję odprawiało się nabożeństwo w Krystynopolu: ale to darmo, bo się waćpaństwo jak należy nie kochacie, i waćpan, panie hrabio — bałamut jesteś...

Brühl się zmieszał, odpowiedź była nader trudna... znał też wojewodzinę, iż nie znosiła sprzeciwicństwa i wpadała natychmiast w spazmatyczne ataki... Wzrok jój już zdawał się wróżyć wybuch jakiś...

— Ja, doprawdy, — odrzekł Brühl z pokorą — nie poczuwam się do żadnej winy...

— Ale, ale! mów to komu innemu, — dodała wojewodzina — mam ja moje informacye pewne...

— Wątpię, żeby żona moja uskarżać się na mnie mogła.

Wojewodzina plasnąwszy w ręce, coraz mocniej zagniewana, załamala je.

— Cóż to waćpanu w głowie! Ona!... ona się skarżyć! Ona!... to dopieroby dostała odemnie! Skarżyć się ani będzie śmiała, ani może. Ja wiem, że na oko nie waćpanu do wyrzucenia nie ma... Nio o to idzie. Ale waćpan się o jój miłość nie starasz, opuszczasz ją, zaniedbujesz, a z innemi roman-sujesz...

Jakkolwiek cierpliwy, Brühl się uczuł obrażonym.

— Ale, kochana mamó! — zawołał — to są potwarze i plotki.

Wojewodzina zbliżyła się szybko do zięcia i z tryumfem szepnęła mu do ucha:

— A Sołłohubowa?...

Zarumienił się Brühl.

— Jesteśmy w przyjaźni z nimi, równie ja, jak żona moja, ale w tym kuzynowskim stosunku...

— Romansowym, romansowym! — z naciskiem powtórzyła wojewodzina w boki się biorąc — ja co wiem to wiem... to grzech i obraza boska... Róż-gamibyśmy kazała dać jójmościance... jak mi Bóg miły, gdyby mi w ręce wpadła...

Brühl się obruszył.

— Nie będę bronił siebie, — rzekł — ale mi matka dobrodziejka pozwoli ująć się za kobietą spotwarzoną i niewinną. Daję słowo honoru, pani — dodał silnie — iż między mną a panią Sołłohubową, nie ma innego stosunku nad taki, jaki między krewnymi i przyjaciółmi jest godziwy... Zresztą — rzekł z dumą pewną cofając się ku drzwiom, jakby chciał odchodzić — jakkolwiek szanuję władzę rodzicielską, czego dałem niejednokrotnie dowody, jeśli słowom moim wiara nie będzie daną... nie powiem nic więcej... ale słuchać więcej nie mogę... Proszę mnie uwolnić...

Wojowodzina z góry patrzyła na zagniewanego z razu, sądząc, że go zastraszy; widząc jednak, że się zabiera odejść, kazała mu zostać.

— Proszę nie odchodzić! ani kroku.

Brühl otarł chustką czoło i zatrzymał się.

— Hrabia mnie nie rozumiesz, — rzekła — ja... jestem matką... matce wiele darować potrzeba... Marynia nie jest szczęśliwą...

— W takim razie szczęście jój już odemnie nie zależy — odparł Brühl — i ja nic na to poradzić nie mogę...

Jak zwykle, gdy na swoim postawić nie mogła, wojowodzina rzuciła się osłabła na kanapkę, zakryła oczy i — dostała spazmów. Siadając ręką poruszyła dzwonek gwałtownie, a na dźwięk jego przerażona wpadła panna Terlecka. Dość jój było wejrzeć na panią, aby stan odgadnąć; przytomność

Brühla, który nie wiedział co począć z sobą, tłómaczyła poniekąd spazmy...

Nie podnosząc chustki z twarzy, wojewodzina zięciowi dawała znaki jakieś i niedosłyszany glosem wołała:

— Proszę wychodzić! proszę iść!

Terlecka téż wreszcie powtórzyła głośnieję wolę pani, i Brühl zmieszany, smutny, upokorzony niemal... nierychło odzyskawszy zwykły spokój ducha, oddalił się wracając na pokoje...

W godzinę dopiero za nim przybyła wejewodzina uspokojona, ale podejrzliwém okiem mierząca zięcia, i zbliżywszy się doń szepnęła:

— Proszę, żeby już o tém mowy nie było...

Podawała mu rękę do pocałowania, i scena dziwna skończyła się na tém, a Brühl nazajutrz w towarzystwie starosty Zawideckiego, dragonów wojewody, sześciu dworzan i odpowiedniej liczby furgonów, konno na Węgry wyruszył, szukać księcia Radziwiłła...

VII.

Oddalenie się Brühla z Warszawy nową było dla Dumont pobudką spróbowania, azali się czułym sercem nie uda nśłużyć. Uparta w swém miłosierdziu nad niemi Francuzka, po stokroć zarzekała się, iż kroku więcej nie uczyni, że ich własnemu zostawi losowi, że od wszystkiego chce umyć ręce; niestety! — najmocniejsze to postanowienie rozbijało się o chęć usłużenia tym nieszczęśliwym...

Niecierpliwili ją — nie mogła jednak zdobyć się na rezygnacyę zupełną, na wyrzeczenie się litościwego współdziałania. Oddalenie się Brühla, jak Francuzka sądziła, do Drezna, nastroczało nową sposobność. Postanowiła z Godziembą być otwartą, pewna, że jój nie zdradzi, i tym sposobem zmusić go niejako, aby się do hrabiny przybliżył. Dotąd mówiła doń alluzjami, dawała mu do zrozumienia,

do myślenia — teraz chciała ważyć wszystko. Miała to być próba ostatnia.

Jednego wieczoru Dumont wezwała sekretarza na kawę do swojego pokoju. Godziemba często ję odmawiał, ale na ten raz kazała mu powiedzieć, że przyjść musi, gdyż koniecznie z nim mówić potrzebuje. Rad nie rad stawiał się na tak wyraźny rozkaz. Francuzka samemi myślami była już rozgorączkowana. Nalała kawę, postawiła ją przed Godziembą i stanęła przed nim z mocnym postanowieniem wypaplania się całkowicie...

— Wiem, — rzekła — że mam z honorowym człowiekiem do czynienia... będę więc otwartą. Idzie mi o szczęście kobiety, którą kocham nad wyraz wszelki. Nie będę obwijała w bawełnę. Hrabina waćpana kocha od dawna... Wiem z jej własnych ust, że się to jeszcze poczęło w Krystynopolu... Los waćpana zbliżył się do niej, dobrowolnie jesteś ślepy... nie umiesz i nie chcesz z tego korzystać... Jużci waćpan to rozumiesz... że pierwszy do jakiegoś zbliżenia się krok uczynić powinieś. — Tu się nieco pomiarkowawszy, Dumont dodała żywo: — Nie idzie, uchowaj Boże, o zawiązanie jakichś zakazanych stosunków z osobą tak świątobliwą i pobożną... toć waćpan rozumiesz; ale gdy ich rozdzieliły losy, a zbliżyły okoliczności, toćbyś waćpan mógł, dla osłodzenia jej życia... zbliżyć się po ufać. Ja mogę mu zaręczyć, że to za złe wzięte nie będzie...

Spojrzała nań: Godziemba blady i jakby prze-
rażony, patrzył na nią w niemém osłupieniu..

— Czyż waćpan mnie jeszcze nie rozumiesz!—
dodała niecierpliwie.

— A, pani,—odezwał się Tadeusz—nie wierzę
uszmom moim....

— Waćpan jój chyba nie kochasz!—dokończyła
Francuzka.

— Nad życie! — zawołał Godziemba — ale dla
tego, że ją kocham, że ją szanuję, nigdybym nie
śmiał...

Francuzka plunęła aż z gniewu.

— Cóż nie śmiał? czego nie śmiał? powiedzieć
jój czułego słowa? wynurzyć uwielbienie? pocałować
ją w rękę? być powiernikiem jój serca? Wszakże
tu o więcej nie idzie! Ona waćpana kocha, usycha
i choruje z téj miłości, a nieczułość jego, nazy-
wająca się uszanowaniem... zadaje jój męczarnie...
Toć, powiadam mu: spróbuj... oświadczyć się... zo-
baczysz...—Wtem przerwała nagle i zamyśliła się.
— Naturalnie, — rzekła zwracając rozmowę, — nie
możesz waćpan pretendować, aby mu się od razu
rzuciła na szyję... Kobieta wstydliva i pobożna.
Choćby z razu była cokolwiek zimną, nie należy
się tem zrażać... Trzeba pamiętać o tém, że to
nie dla szczęścia waćpana, ale i dla jój uszczęśli-
wienia się czyni... Coś waćpan powinienes z siebie
też... za tę jój cichą miłość — poświęcić... Inny
na jego miejscu.

Ruszyła ramionami, a że Godziemba milczał, dorzuciła:

— Ja zawsze powiadam, że tu na północy zimną krew mają ludzie jak ryby... czy też woda w ich żyłach płynie! Doprawdy!

Pan Tadeusz stał jak piorunem rażony...

— Ale mówże waćpan... co myślisz? co powiesz na to?

— Trudno mi uwierzyć, — rzekł nakoniec Godziemba, — ale jestem przekonany, że pani nie narażałabyś mnie... nie mając do tego pobudek... Jestem tak szczęśliwy, że głowę tracę. — Chwycił się za czoło i dodał z uniesieniem: — Tak, przyznam się pani, nie jeden raz, znajdując hrabinę tak łaskawą i dobrą dla siebie, łudziłem się jakiemiś nadziejami... nazajutrz wstydziłem się ich... i siebie, żem o tém mógł roić...

Dumont zbliżyła się doń poufałój i poczęła szeptać.

— No, nie bądźże waćpan dzieckiem... Przy pierwszej zřeczności oświadczyć jęj, z nszanowaniem, miłość swoją. To jęj da trochę życia... to ją uzdrowi... Nio ma w tém przecież grzechu, że się ludzie kochają. Po całym świecie to chodzi. Brühl nie a nic nie dba o żonę... Byłbyś śmiesznym, gdybyś miał jakieś skrupuły...

Tego rodzaju podbechtywanie bardzo zřeczne trwało dobrą godzinę. Kawa nietknięta wystygła,

Godziembie zdało się, że oszaleje, wyszedł rozmierzony, rozpłomieniony, wpół szalony...

Francuzka rachowała zdaje się na to, że należało kuć to żelazo póki było gorące; tegoż wieczoru ukartowała tak zajęcia, że sekretarz stał się potrzebnym...

W razach gdy go do gabinetu powoływano, zwykle z rozkazu hrabiny, Dumont pozostawała albo w tym samym pokoju, lub w przyległym, od którego drzwi były otwarte... Świece już podano, książka do lektury i szklanka wody z cukrem stała przygotowana, Godziemba wszedł cały drżący, zasiadł i począł czytanie, gdy Dumont szepnąwszy hrabinie, że ją gwałtownie bardzo zęby boleć zaczęły, wysunęła się z pokoju...

Brühlowa siedziała na kanapio z robotą, obok w pewnym oddaleniu Godziemba nad książką, z oczyma spuszczonemi, głosem od wzruszenia drżącym, począł czytanie. Ale w oczach mu się ćmiło... głosu brakło...

Hrabina spojrzała nań z uwagą... Po wyjściu Francuzki, Godziemba który był postanowił tego dnia korzystać z jej rady, w chwili wykonania — zmieszał się niewypowiedzianie, zarumienił... zamilkł.

— Co to panu jest? — zapytała hrabina — czy i pan nie jesteś chory? Ale w takim razie, proszę to czytanie porzucić...

Godziemba patrzył, nie śmiejąc ust jeszcze otworzyć.

— A, pani! — rzekł wreszcie spuściwszy oczy — jeżeli to grzechem jest, nieć dla kogo uwielbienie, przywiązanie i nie śmieć nigdy słowem dać mu znać o tém uczuciu; to ja w istocie jestem chory śmiertelnie... bo całe życie milczeć muszę, co chwila mówić pragnąc.

Spojrzał na hrabinę, której robota z rąk wypadła, tak ją te słowa przeraziły, to nagle przerwane milczenie strwożyło. Śmiertelną bladością pokryła się jój twarz. Widząc ten przestrah, Godziemba radby się już był cofnąć, ale po pierwszych tych dwuznacznych i wyraźnych razem słowach, za późno było.

— Przebacz mi, pani, moją śmiałość, — dodał: — długo, długo miałem usta zamknięte... lecz mając szczęście zbliżyć się do niej...

Hrabina bladła i drżała coraz wyraźniej, wzrok jój obłąkany błądził po pokoju, jakby szukał opieki i ratunku. Godziemba plątał się i mówił coraz dalej ze wzrastającym zapałem.

— Nie karz mnie pani za zuchwalstwo moje... czuję, że jestem występny... ale...

Rzucił się w téj chwili nie myśląc i mimowoli na kolana, i widząc spuszczoną rękę Maryi, chwycił ją okrywając pocałunkami.

— Na miłość Boga! panie Tadeuszu... wstań pan! błagam, proszę go... uspokój się, daj mi zebrać zmysły.

To mówiąc, zakryła twarz ręką hrabina i płakać zaczęła. Godziemba wstał zmieszany.

— Oczy moje... wzrok... mowa, musiały mnie zdradzić — rzekła przerywanym głosem Brühlowa — pan odgadłeś com mu się dla naszej wspólnej spokojności ukryć starała. Ja nie potrzebowałam tego wyznania, bom wiedziała o jego uczuciach, tak jak wy o moich.

Spojrzała nań z za łez strwożona; Godziemba stał przed nią jak winowajca z rękami załamane.

— Siadaj pan — rzekła — mówiny jak powinność a nie serca każą. Ja jestem żoną, jam na wierność przysięgała; pan jesteś domownikiem naszym i przyjacielem mojego męża. Miłość nas zbliżyła ku sobie... oczyma, sercami, nie byliśmy związani... zachowaliśmy ją, bo nie było w mocy naszej serca jej zamknąć. Dziś powinniśmy milczeć tylko i cierpieć, ani ja krzywoprzysiężną, ani pan zdrajcą być nie zechcesz. Bóg na nas patrzy!

Godziemba milczał zawstydzony.

— A! pani — rzekł powoli — Bóg jest sędzią surowym, ale sprawiedliwym. Przysięga była wzajemną. Hrabia jest najlepszym z ludzi, ale on ani do swojej, ani do twój przysięgi nie przywiązuje znaczenia — a my — a ty — ja pani, cierpieć musimy.

— Nie mów pan tego — odezwiała się hrabina — wiesz, że mówisz do słabiej kobiety, którą chcesz sprowadzić z drogi obowiązku.

— Nie pani! — odparł żywo Godziemba — ja nie pragnę nic, tylko zbliżyć się do ciebie, móżd ci swobodnie wyznać co czuję.

Hrabina zamyśliła się.

— Któż z nas wie, gdy miłość się zaczyna, gdzie jój kres położy? Będiesz w mocy naszej nie przejść granicy? Czyż ja wiem, ażali te słowa, które wymawiam, już nie są grzechem?

— Niech cały ciężar tego grzechu spadnie na głowę moją — zawołał Godziemba. Uroczyście powołuję się na Boga i biorę go za świadka, że jeśli to co czynię, jest winą wspólną — ja ją przyjmuję na siebie.

Brühlowa uśmiechała się posepnie.

— Nie możesz waćpan rozkazać Bogu, aby winę serca mego zdjął z niego. Grzech i okupiona nim chwila droga, wspólne być muszą.

Potrząsała głową, twarz jój zwykle smutna i blada zarumieniała się i rozpromieniała urokiem niezwykłym.

— Coś pan uczynił! — zawołała po chwili składając ręce jak do modlitwy. Nie dosięże nam było tego szczęścia milczącego? Na coś przemówił? Nie powiedziałeś mi, wierz mi, nic więcej nad to, o czém od lat wielu wiedziałam — a dałeś mi zgryzotę i przestrich.

Godziembie żał się jój zrobiło.

— A pani! — rzekł gorąco — rozkazuj, mów, będę milczał życie całe, nie uczynię kroku prze-

ciwko twój woli. Już dosyć jestem szczęśliwy, słysząc to z ust twoich, co one mi powiedziały. Starczy to na życie.

Każesz mi odejść, odpędzasz mnie.

Hrabina ze spuszczoną głową siedziała walcząc z sobą, długo nie mówiła nic... Z przyspieszonego oddechu widać było bicie jój serca. Spojrzała, zakryła oczy, lekki krzyk i rzucenie rąk poprzedziło omdlenie. Godziemba lękając się, aby kto nie nadszedł, pośpiesznie zmoczywszy chustkę w stojącej wodzie sam trzeźwić ją począł. Hrabina otworzyła oczy i jakby nieprzytomna zarzuciła mu ręce na szyję, zapomniawszy na to, że w każdej chwili Francuzka mogła powrócić. Lecz zaledwie zbliżyły się ich usta, krzyknęła znowu i z gwałtownością wielką odepchnęła od siebie Godziembę. Siadła, jakby wyrwana ze snu, przelękła, gniewna, a wzrok jój czuły przed chwilą, stał się obłąkanym i groźnym.

Tadeusz poruszony, lecz zawstydzony razem, chwycił jój ręce, które mu się wyrывały, przepraszając. Usta hrabiny drżały konwulsyjnie.

— Zaklinam pana — proszę go... zostaw mnie samą...

Godziemba nie mógł się rozkazowi sprzeciwić, wstał by odejść, lecz odwróciwszy się ku niej tak błagającami rzucił oczyma, iż się ulitowała.

— Nie idź pan jeszcze — zawołała — siadaj na swém miejscu! mówmy... nie chcę go odprawiać tak. Daj mi zebrać myśli.

Podparła się na rękę.

— Panie Tadeuszu — poczęła zwolna nie patrząc na niego — co się stało, jest niepowrotném, myśłmy i mówmy o przyszłości... Ja się pana obawiam, lękam siebie, pan chcąc zbliżyć nas — zerwałś węzeł ten na wieki. Niech ten dzień zapomnienia się, zmaże skrucha i pokuta, lecz, słowo, daj mi pan słowo, że nigdy ust nie otworzysz więcej, że będziesz panem siebie i stać będziesz zdaleka odemnie.

— Pani masz prawo rozkazywania — odezwał się Godziemba — jam jój sługa.

— Ale któż mnie nieszczęśliwój rozkaże? — przerwała hrabina — będę ja miała tyle siły?

Załamawszy ręce, nie śmiała spojrzeć... łzy padały jój na ręce. Położenie winowajcy było przykre, czuł się występny, niepokój o przyszłość go ogarniał.

— Nigdy się nie odezwę słowem — rzekł cicho — będę milczał, nie karz mnie pani.

Hrabina podała mu rękę, którą znowu na klęczkach pocałował i zmienionym głosem dodała:

— Zostaw mnie pan samą — proszę go, rozkazuje.

Godziemba wysunął się zawstydzony powoli. — Przechodził próg pokoju, gdy pode drzwiami ukryta Francuzka, dała mu jakiś znak niecierpliwy, którego nie zrozumiał, a sama wpadła do pokoju. Znalazła swoją uczennicę we łzach i niemal rozpaczy. Siadła zaraz obok niój.

— Cóż to jest hrabinie?

— A! nie dotykaj mnie! nie patrz na mnie! jestem najnikczemniejszą z kobiet... brzydzę się sobą...

Francuzka się śmiać zaczęła.

— Ale ja, moja droga pani, byłam świadkiem całej sceny; jeden wyraz mi nie uszedł, słyszałam wszystko.

Hrabina z krzykiem zakryła sobie oczy.

— Co za dzieciństwo! — dodała prędko Francuzka — co za śmieszność robić sobie z tego tak wielkie rzeczy, że w rękę pocałował! Ale to od bardzo dawna nastąpić przecie było powinno. Wam się téż w życiu waszém choć chwileczka szczęścia należała.

To mówiąc poczęła tulić płaczącą i uspakajając jak umiała.

— Pani wszystko bierzesz tragicznie — a na świecie komedia jest wszędzie.

Brühlowa nie zdawała się słuchać nawet.

— Jakże ja będę śmiała ci spojrzeć w oczy, ja nędzna jawnogrzesznica! krzyknęła z boleścią.

Śmiechem odpowiedziała jój Francuzka. Napij się wody... uspokój i nie myśl o tém, droga pani, a...

Tu zbliżyła się jój do ucha i żywo coś szeptać zaczęła...

Wszystko to było napróżno, hrabina wstała nagle i jakby siłą jakąś niepohamowaną pchnięta,

szybko odeszła do swojego pokoju. Idąca za nią Francuzka spostrzegła ją tylko padającą z rękami załamane u klęcznika i zmieszana cofnąć się była zmuszona.

Godziemba jak oszalały pobiegł gdzieś w miasto.

Tymczasem hrabina klęczała tak do północy, nie wyszła do wieczery i całą noc spędziła — jak się przekonała Dumont szpiegując pode drzwiami, albo chodząc po pokoju lub jęcząc u klęcznika... zdawała się być w gorączce.

Rano posłano po kapelana i spowiednika, którym był kapucyn staruszek, wsławiony naówczas ze swego daru uspakajania sumień trwożliwych. Uważano, że godzinę prawie trwała spowiedź, a przymszy świętej, przyjmując kommunię, hrabina płakała znowu. Po nabożeństwie położyła się, posłano po lekarza. Objawiła się lekka gorączka.

Dumont przerażona tém była. Godziemba szalał z rozpacz. Francuzka ciągle przynajmniej mogła siedzieć przy chorój, która się jednak ani słowem do niej przez cały ten dzień nie odezwała... Nazajutrz po spokojniejszej nieco nocy, lepiej już było hrabinie i doktor wstać jój pozwolił. Nie przyjmowała jednak nikogo, nawet Sołłohubowój, która koniecznie dobijała się do niej.

Dumont już nie szło teraz o żadną intrygę: przeleżała, obawiała się tylko o siebie, pragnęła utrzymać na swém miejscu. To téż ani słowo o dniu pozawczorajszém z ust się jój już nie wyrwało.

Część znaczna dnia spłynęła na jakichś pokutniczych modłach; hrabina miała twarz uspokojoną, posepną, nacechowaną wyrazem energii i mocnego postanowienia. Kaszel się zwiększył, policzki i oczy pałały...

— Mam do ciebie prośbę, moja Dumont — rzekła o zmroku. — Nie mogę inaczej — tylko tobie to zwierzyć — ty wiesz niestety, o wszystkim... Mam najmocniejsze postanowienie żądać od tego człowieka — aby się oddalił.

Dumont ze strachu ust otworzyć nie śmiała.

— Tak jest i inaczej być nie może. Pytałam o radę mojego spowiednika — jest to moim obowiązkiem. Oddalić się nagle, teraz, nie może, dopiero za mojego męża powrotem. On sam będzie go prosił o uwolnienie i uda się na wieś do swoich starych Godziembów... Żadnego pożegnania — ani słowa. Ja na to nie pozwalam. Do powrotu męża mojego, niech do mnie nie przychodzi wcale.

Milezała Francuzka, ale wdychała.

— Proszę, abyś mu to objawiła dziś, zaraz — tylko pod tym warunkiem może zachować szacunek mój i pamięć dobrą... To jest moją wolą i rozkazem...

Hrabina z takim wysiłkiem i rozgorączkowaniem to mówiła, iż Dumont uznała za konieczne uspokoić ją i odezwała się:

— Niech hrabina tak się nie irytuje; nikt się jej rozkazom nie sprzeciwi... To człowiek cichy,

skromny... posłuszny — milczący... Powiem mu to... powiem.

— Proszę cię moja Dumont, dziś, zaraz — zdaje się, że ciężar mi spadnie z sumienia, gdy się to już stanie, gdy będę wiedziała, żeś mu to objawiła i jak on to przyjął.

Ruszyła się więc natychmiast Francuzka do swojego pokoju, odpowiadając już tylko skinieniem głowy i posłała po Godziembę, który zdawał się spodziewać tego wezwania, bo wpadł niezwłocznie. Od tych dni pary, zmienił się niepokojem i jakąś sumienia zgryzotą... Łamiąc ręce, stanął przed Francuzką.

— Coś pani uczyniła? A! ja nieszczęśliwy!

— Ja! a to doskonale — krzyknęła Francuzka, obu rękami opierając się na stole i wlepiając w niego oczy. Ja? ja chciałam waszego szczęścia, ale z bi-gotką i takim skrupulantem wyszłam ślicznie! Nie mówiny o tém; myślałam, że więcej macie oboje miłości i rozumu! Nie ma już co o tém rozprawiać. Oto waćpan masz rozkazy jój... Nie pokazywać się na oczy, aż do przyjazdu hrabiego, a potem prosić u niego o uwolnienie i ruszać sobie do swoich starych — *pour planter les choux!*

To mówiąc, dygnęła i niecierpliwie ruszywszy ramionami padła na kanapę.

Godziemba stał wryty, namarszczony, zgnębiony wyrokiem.

— Kazano mi przynieść odpowiedź i opisać jak to waćpan przyjąłeś.

Rozśmiała się stara i nie słuchając Godziemby, poczęła paplać:

— Zaraz nazajutrz wezwała kapucyna i musiała mu się wypowiadać ze wszystkiego... a to skutek jego rady! Oto waćpan masz! bo jesteś niezgrabny i niezgrabny... niezgrabny więcćj nie powiem.

O mało jeszcze i ja przez niego nie zostałam skompromitowana, ale...

Tu zamilkła i dodała:

— No, co mam jój powiedzieć? — mów!

— Że się naturalnie, jakkolwiek surowemu wyrokowi poddaję.

Wysłuchawszy Francuzka, poczęła jakby sama do siebie:

— Słowo daję najuroczystsze, że w tym kraju, nikomu już nigdy ani radą przyjacielską, ani żadną pomocą służyć nie będę.

Godziemba coś mruczał, ale gniewna nie słuchała go już wcale.

— Dobranoc waćpanu — rzekła — muszę iść do pani, bo ta na mnie czeka niecierpliwie.

Rozeszli się tak, a Dumont zamyślona udała się ze smutną twarzą do dawnój uczennicy.

Z wyrazu samego, z jakim weszła do pokoju, hrabina domyslić się mogła, że poselstwo było spełnione, nie śmiała jednak pytać. Dumont się nie spieszyła ze zdaniem sprawy.

Po kilku minutach milczenia, odezwała się wreszcie hrabina:

— Widziałas go? mówiłaś z nim?

— Spełniłam wolę pani!

— A on?

Francuzka zamyśliła się, czy ma prawdę powiedzieć, czy skłamać, ostatnie wydało się jój dla czułego serca bardziej pocieszajacém.

— A! pani — odezwała się — jeszcze jestem pod wrażeniem jego rozpacz... głową tłukł o ścianę, mdlał, tarzał się po ziemi, myślałam że oszaleje.

Marya zbladła.

— Wreszcie uspokoiłam go nieco... Powiedział mi, że podda się jój rozkazom, ale tego nie przeżyje.

— Jakto! sądzisz, że mógłby sobie życie odebrać? — zawołała hrabina — i cała drzeć poczęła — a ja byłabym przyczyną jego śmierci!

— Kto tam mężczyznę zrozumie! — odparła Dumont. Widząc go w tym stanie, przyznaję się pani, że mnie litość wzięła nad nim. Uczyniłam mu bardzo, bardzo daleką nadzieję, że wyrok ten złagodzonem nieco być może.

Hrabina nie odpowiedziała nic, zatopila się w myślach smutnych. Dumont napróżno usiłowała je odgadnąć i coś z tego jeszcze zręcznie wyciągnąć na korzyść swoją. Lecz ani słowem, ani wejrzeniem nie zdradziła się biedna hrabina, siedziała jakby upokorzona, znękana, wstydzając się podnieść wzroku i wydać z tą walką wewnętrzną, która wrzała w jój sercu.

Ani tego dnia, ani następnych, Godziemba wzywany nie był, trzeciego ranka posłano po niego dla napisania listu jakiegoś do księżny Lubomirskiej... Dumont miała polecenie siedzieć i być przytomną. Hrabina była panią siebie. Godziemba starał się nie okazywać wzruszenia, dawne stosunki powróciły z tą różnicą, iż Francuzka obowiązana była nie odchodzić ani na chwilę.

— Zobaczmy na czém się litość skończy, rzekła cicho — zobaczmy.

VIII.

Przebywszy szczęśliwie łańcuch gór, dzielący Ruś od Węgier, hrabia Brühl ze skromnym swoim orszakiem zbliżał się pięknego wieczoru wiosennego ku Preszowowi.

Właśnie starosta Zawidecki wskazując zdala resztki murów i wieżę kościoła św. Mikołaja, oznajmował o szczęśliwym końcu podróży, a hrabia, miłośnik pięknej natury, przyglądał się ciekawie widokowi, któremu jaskrawe promienie zachodzącego słońca dodawały wdzięku, złocąc szczyty starych kościołów i klasztorów i iskrząc się w wodach tarczy — gdy na równinie za miastem, dostrzegli podróżni na dzielnych koniach, coś jakby wojsk oddział, odprawujący ewolucye, dosyć fantastyczne... Z dala już uderzyli ci jeźdźcy hr. Brühla czemś

niezwyčajném w swém ubiorze i przybraniu koni i w strojach jakie ich okrywały. Brühl nawykły był w Polsce do najfantastyczniejszych częstokroć wystąpień rycerskich — jednakże ta węgierska mustra, bo węgierską ją być sądził — dziwną mu się wydała. Żołnierz z powołania, niedawno jeszcze generał artylllerji — hrabia był zaciekawiony, prosił więc Zawideckiego, aby mógł się przybliżyć niepostrzeżony i przypatrzeć nieco temu oddziałowi wojska, który na oko mógł głów do trzechset być liczny.

Starosta Zawidecki towarzyszącym im dragonom, służbie i wozom, nakazał nieco z tyłu pozostać, sam zaś z Brühlem puścił się osłonioną wierzębami i topolami drogą, która ukośnie ku placowi zmierziała, na którym się odbywały manewra.

Im bardziej się zbliżali ku niemu, ciekawość rosła, gdy się rozpatrzeć mogli lepiej, w tém dziwném wojsku węgierskiem. Sierakowski, który nie-raz Węgrów widywał, głowę jakoś pokręcał a Brühl co w siedmioletniej wojnie spotykał téż oddziały honwedów, nie poznawał ich w tym świetnym orszaku jakichś rycerzy, chyba turnieje za Augustów przypominającym. Kilka starych drzew na uboczu stojących, których pnie obrastały gęste krzewy dzikie, dozwoliło Brühlowi, podjechawszy do miejsca, w którém stała — jak się zdało — komenda, lepiej się jęj teraz przypatrzeć. Była to chwila wypoczynku po manewrach; dowodzący i żołnierze stali gwarząc i śmiejąc się bez ścisłego szyku.

Na pierwszy rzut oka ucieszył się hrabia, poznając z daleka księcia Karola, na pysznym wschodnim ogierze, w kulbace złocistej obitej aksamitem ponsowym, w rzędzie świecącym złotem i kamieniami, w białym kontuszu z potrzebami złotymi, w kołpaku z kitą brylantową, dokazującego z koniem i wesoło baraszkującego.

Sam koń wart był już bliższego przypatrzenia się, nie tylko dla piękności swój i krwi, ale raczej dla osobliwej barwy, zdającej się malowaniem jakimś nie odmianą naturalną. Ogier był tak zwanej sobolowej sierści — połowa głowy jednak była koloru pomarańczowego, jedno ucho także i na piersiach cztery płatki jakby liście czerwone z obwódką różową. Takie same plamy widać było na krzyżach... Nogi wszystkie białe miał po kolana, dużemi centkami pomarańczowymi upstrzone, kopyta czarne.

Ten osobliwy tarant, jak dziecię ujeżdżony, ale dzielny, zwijał się pod księciem Karolem zręcznie aż miło patrzeć było.

Obok na małym koniku bułanym, drobnych rozmiarów, ale piękności osobliwej, z nóżkami suchymi jak u sarenki, siedział chłopak może dziesięcioletni po huzarsku, w zielonym mundurzyku z dołmanem, w czapce z kitą, cały srebrem błyszczący. Fraszka było patrzeć na silnego księcia Karola, że koniem i sobą dzielnie władał, — bo go małe chłopię zamaszystością, śmiałością, rycerską postawą i śliczną

twarzyczką gasiło. Z dobytą szabelką chłopak dokazywał jakby naumyślnie się popisując zręcznością i odwagą. Mały konik i on rozumieli się doskonale i charaktery ich były zupełnie zgodne. Obaj nie mogli spokojnie w miejscu wytrwać, a księżę Karol patrząc na tego ładnego dzieciaka, uśmiechał się uradowany.

Daléj nieco na opasłym wierzchowcu czarnéj maści, w którym szlachetną krew poznać było łatwo, bo miał łebek śliczny, grzywę długą, nogi jak struny i suknię połyskującą jak aksamit, widać było w dziwnym mundurze i szlifach generalskich, w kapeluszu z piórami, kobietę starą, lat pięćdziesiąt kilka mieć mogącą, rysów twarzy nie pięknych, lecz wyrazistych... Zdawała się patrzeć na hufiec stojący przed sobą, pysznić się nim. Jedną ręką trzymała się w bok, drugą z lekka ściągała cugle karego swojego Mustafy.

Jakby adjutanci, obok niéj stały na czterech różnomastnych koniach wschodnich, cztery panie młode, nie piękne, ale oblicza arystokratycznego, postrojone z wojskowa, ze szlifami, akselbantami, w piórach, w galonach, w mundurach niebieskich, karmazynowych, zielonych. Młodsze i starsze pań tych twarzyczki, dozwalały odgadnąć w nich siostry.

Komenderujący téż oddziałem, który stał twarzą zwrócony ku starszédz pani, był młodą panienką z zarumienioném licem i fantazyą niezmierną... Wszystkie one szablami tak władały i salutowały

zręcznie, jakby nigdy w życiu igły w rękę nie trzymały.

Trzech panów w generalsich mundurach, pięknych, dorodnych mężczyzn, stało jakby oczekując rozkazów za czterema paniami, które z niemi właśnie uśmiechając się rozmawiały.

Daléj nieco cały regiment, gdy mu się uważniéj Brühl przypatrzył — okazał się z samych kobiet złożony. Ale tak one wszystkie dzielnie i swobodnie na koniach siedziały — tak szabel dobywały rażno na pokaz i do pistoletów się brały, aby okazać gotowość do boju... choć niby żartem, iż mimowoli przypominały się amazonki.

W istocie téż był to pułk amazoнок J. O. księżny Kunegundy Radziwiłłowej, matki księcia Karola, o którym Brühl słyszał opowiadania, w istnienie jego wierzyć nie chcąc. Teraz miał go przed oczyma w całej jego świetności, a dziewczęta, co składały tę falangę, wśród których były i prześliczne wyrostki i dojrzałe panny, i opalone jejmoście i na wpół dziecinne główki — śmiały się uradowane z pochwał, poprawiały sobie kołpaczki, brały się w boki, prostowały, pyszniły aż miło.

Na uboczu nieco stojące Madziary, kręciły wasy, chwytaly za szable, mrugały twarzami, i gdyby nie poszanowanie dla dostojnego wygnańca, gościa cesarzowej, niejeden młokos sam jedenby był gotów porwać się na pułk cały. Brühl stał i oczom swym nie wierzył prawie. Było to coś przypominającego

hecę i komedye... a mimo to i książę Karol, i stara księżna, i wszyscy przytomni widocznie brali to bardzo seryo... i nie pozwalali żartować z téj instytucyi nowój... i wielce osobliwój... z wojska niewieściego.

Węgrom się to jednak — *salvo respectu* księcia — wydawało bardzo... osobliwém. Starosta Zawidecki, który często jeżdżąc po wino do Preszowa i na Węgry, języka trochę madziarskiego rozumiał, słyszał jak po za krzakami Węgrzy sobie mówili:

— Co za dziw, że książę musiał uchodzić, jeśli całe wojsko miał z takich buziaków złożone! Szkoda by go zaprawdę było na nieprzyjaciela... takie to urodne, wesołe, a dalipan... na coby innego się przydało...

Z szeregów do widzów, z okolicy Preszowa tu zgromadzonych, padały strzały czarnych oczy zabójcze; Węgrzy téż odpowiadali wejrzeniami jak żagwie zapalonymi.

— *Bassa terem tete!* — i *Bassa mazana!* cedzono przez zęby...

Obok widać było uboższych Słowaków w kape-luszach z piórkami i obcisłych spodeńkach, z płaszczykami na plecach, z westchnieniem poglądających téż na amazonki... takie żwawe, śliczne — a niedostępne...

Starosta Zawidecki, który więcej przytomnych znał niż Brühl, wskazał mu w osóbcie dziesięcioletniego bardzo ładnego chłopaka, księcia Karola

brata, Hieronimka, a w kobietach, komenderującą oddziałem księżniczkę Nimfą przezwana Zofię, w innych niedawno, mimo woli rodziny zaślubioną generałowi Mokronowskiemu Teofilę, hr. Michałową Czapską i Karolową Brzostowską, których mężowie tuż przy nich stali...

Właśnie się Brühl przypatrywał temu zaprawdę osobliwemu widowisku, ironicznie trochę uśmiechając, gdy stojąca z boku muzyka wojskowa, trębacz ze srebrnymi narzędziami muzycznymi i srebrnymi kotły, tympaniści, hucznie rozpoczęli grać marsza do odwrotu...

Wnet dowodząca oddziałem księżniczka stanęła na czele jego, dziewczęta się ścisnęły w szeregi, księżna Kunegunda wyprostowała, księżę Karol z Hieronimem u jej boku, i pułk ten, któremu równego w Europie nie było, rażno główki do góry uniosłszy, stępą pomaszrował ku miastu...

Podróżni pozostali niepostrzeżeni, i zatrzymawszy się nieco aby dać za sobą forum i dragonom nadszyc, z wolna w pewnej odległości posuwać się też zaczęli ku miastu. Słońce tymczasem zapadało już za wzgórze, lud który się był wysypał z miasta, gwarząc wracał za wojskiem księcia Radziwiłła, i cała ta parada, jak czarodziejskie jakieś widowisko teatralne rozplynęła się w dźwiękach muzyki dochodzącej z daleka.

Nadjechały też furgony, nadeszli ludzie. Starosta Zawidecki opatrzył ich i ustawił, ażeby mu

wstydu nie zrobili. Obok żołnierza radziwiłłowskiego, którego wiedział że liczny był oddział w Preszowie... i Brühlowski orszak zbliżył się do bram miasta, jeszcze staremi opasanego murami... W ulicach pełno było ludu nagromadzonego, który dworowi i wojsku księcia Karola lubił się przypatrywać, a księżę też nie gardził tymi spektatorami... w braku innych. Dosyć jednak i szlachty węgierskiej szło na koniach za orszakiem.

Słychać było wesołe śmiechy i ochocze: *Eljen!* odzywające się za księciem, który tak wyglądał butnie, zdrowo i wesoło, jakby wcale wygnańcem nie był, lub natychmiast miał z tego wygnania powrócić do domu...

Brühl nie chciał bardzo jawnie tu występować, za poradą więc ze starostą, który zwykł był do gospody pod Czarnego Orła zajeżdżać, pociągnęli tam, mając grać rolę ludzi, co po wino z Polski przybyli. W Preszowie bowiem handel niém prowadzono znaczny i na polskich kupców bardzo chętniemi patrzano oczyma... Wieczorem późniejszym, Sierakowski miał sam pójść do marszałka dworu księcia Karola, i z nim się umówić o audyencyę sekretną.

Tak się też stało. Brühl zajął się przebraniem, starosta Zawidecki poszedł i w pół godziny nazad powrócił — oznajmując, iż księżę tegoż wieczoru zaprasza na kolacyę, w gronie familii, dla niepoznaki i sekretu, mając jój Brühla przedstawić, jako

z Francyi przybywającego kawalera, z missyą dyplomatyczną...

Starosta Zawidecki nie mógł się o tém nagadać, jak po pańsku, a raczej po królewsku Radziwiłł się w Preszowie rozgościł, jaką tu już sobie w krótkim czasie miłość pozyskać potrafił, jak sypał pieniędzmi, co za ogromny dwór, ile na tysiące liczących się ludzi, pociągnął tu ze sobą. Węgrów ta rycerska rodzina, w której począwszy od stariej matki do dziesięcioletniego chłopaka i dziewcząt wszystko konno jeździło i z pistoletów strzelało, gdzie beczkami wino codzień gościom stawiano, a płacono złotem... zachwycala...

Ciemno już było w ulicach, i gdzieniegdzie tylko przez drzwi otwarte pas światła padał na dosyć podziurawioną drogę — gdy starosta Zawidecki i hrabia wyszli osłonieni płaszczami ku rynkowi, gdzie stał pałac ogromny, z kilku bocznymi kamienicami zajmowany przez księcia Karola.

Tu paliły się dwie latarnie ogromne i zielone huzary u drzwi straż odprawiały. Niedaleko był obwach książęcy z całą paradą i formą wojskom regularnym właściwą, utrzymywany. Dwóch paziów, dworzanin i marszałek, figura wielce poważna, z głową podgoloną, przy szabli — oczekiwali na Brühla...

Sień pełna była pokojowców i paziów, postrojonych w barwę jedną, zręcznością i urodą się odznaczających... Marszałek poprzedzał gościa, któ-

rego Sierakowski pożegnał w progu, obiecując nań oczekiwać w marszałkowskiej sali... dwóch paziów otwarło drzwi, i hrabia znalazł się w pokoju obitym makatami tureckimi, w którym książę Karol, panowie Morawski, Czapski i Brzostowski nań oczekiwali.

— W progu uściskawszy go książę wojewoda zapytał:

— Jak się hrabia chcesz nazywać?

— Comte de la Grange, — rzekł cicho Brühl...

Nazwisko pochwyciwszy, wojewoda zwrócił się do szwagrów swych...

— Mam honor, panie kochanku, prezentować przybywającego prosto z Paryża Comte de la Grange... który *intra parenthesis*, ponieważ w Polsce był, dobrze nasz język rozumie i nieźle nim mówi. Kawaler godzien przyjaźni waszmościów...

Prezentacya ta fałszywa na nic się jednak u mężczyzn nie przydała, gdyż Brzostowski znał Brühla z dawna, i z uśmiechem porozumienia przyszedł go ściśnięciem ręki powitać...

Morawski i Czapski zmierzyli przybyłego ciekawemi oczyma... Brühl radby był z twarzy wygnańca odgadł myśli jego i plany, ale nigdy oblicze wojewody weselszém i jaśniejszém nie było, a humor do facecyi skłonniejszym. Zdawał się najszcześliwszym w świecie... Zaledwie siedli, gdy począł:

— Wiesz acimdziej, panie hrabio, że gdy mi przyszło, *pro peccatis*, odbywać rekolekcyę... ha,

no... Pauu Bogu dziękuję, że mi się to na Węgrzech dostało. To tak jak w domu, naród sympatyczny, tylko tyle, że język ma jakiś paskudny i chropawy, wina dostatek, woły tłuste, niewiasty urodziwe, że sobie patrząc na nie, panie kochanku, człek oczu nie popsuje... no, i nieźle nam tu jest, bo i cesarzowa jejmość wielce łaskawa... Zatem, panie hrabio, kochanku, jeśliby losy kazały tu tęsknić do nalibockiej i bialskiej puszczy, do mojego Nieświeża i Ołyki... połatawszy...

Wąsa pokręcił...

— Trochę się, panie kochanku, grosza wywiozło z domu, coś tam przyjaciele podsycą... reszta w łasce bożej...

— A szkoda, — odezwał się Morawski — że hrabia de la Grange, nie zdążył dziś na paradę...

— He, byle był ciekaw, panie kochanku, księżna pani mu umyślnie taką drugą wystroi. Dziewcętom w to graj, gdy na nie patrzą...

— Ale ja miałem szczęście — odezwał się Brühl — być świadkiem pięknej musztry amazonek.

— Jakim sposobem? — podchwycił książę — toć panie kochanku, chyba kontrabandą...

— Właśnie w téj porze przybyłem, i stałem za krzakami...

— Proszę! — ozwał się wesoło książę — gdyby się to było wydało, pani generałowa Morawska kazałaby była attak przypuścić do krzaków i dziewczęta by acimdzia wzięły w niewolę. A to, panie

kochanku, pod ich praszczęta się dostać... Boże odpuść, gorzej Tataara!!

Śmiać się wszyscy poczęli; ksiązę wása kręcił. Wtem marszałek nadszedł na wieczerzę prosząc, na sali damy czekały. Wziął wiec wojewoda pod rękę gościa... i wiódł go na wschody...

Sienie i korytarze wszędzie były jarzaczem światłem oświecone, służba stała szeregami. Na pierwszym piętrze, w sali trochę nagięj, ale naprędce przyozdobionęj snadz dla księztwa w zwiędłe wieńce dębiny i kwiatów, przy ogromnym stole okrągłym, obwieszonym dywanem, księżna Kunegunda na wysokim krześle z poręczami siedziała dryzlując... Wieńcem otaczało ją pięć córek i z dziesięć pańienek szlacheckich jēj dworu. Radziwiłłówny nie wszystkie były ładne, ale pańienki z fraucymeru jedna w drugą śliczne i świeże jak różyczki...

Gdy wojewoda wszedł gościa swojego przedstawiając, księżna matka ledwie się nieco podniosła i głowę skłoniła, panie i panny przywitały go dosyć chłodno... Ksiązę Hieronim w swoim mundurze huzarskim paradował ostrogami dzwoniąc po salonie.

Ponieważ wiek i dostojenistwo mniemanego hrabiego de la Grange, nie kwalifikowały go do podania ręki dumnej księżnie Kunegundzie, poszły tedy damy same, a za niemi mężczyźni ku otwartym już drzwiom jadalni, w której wybór dworu oczekiwał przy stole. Paziowie za krzesłami dostojniejszych gości, czynili służbę...

Księżna zajęła krzesło tronowe w końcu stołu... Brühlowi się dostało miejsce między generałową Morawską a księżniczką Nimfą. Z ciekawością poglądał na stół, przy którym miejsca zajęło osób przeszło trzydzieści, oprócz uierównie liczniejszego stołu marszałkowskiego.

Dostatek był wielki, srebra książęce, ale stół nie wykwintny. Tylko od świąt i dni uroczystych występowali kucharze Francuzi, na dui powszednie gotowano po polsku, do czego się w domu nawykło. Jednakże Brühl za Francuza uchodził, coś dla niego przystawek się znalazło... Generałowa Morawska czując się w obowiązku zabawienia cudzoziemca, spytała go, czy wojskowo nie służył, bo ona passyami lubiła rycerzy i dała tego dowód, zachawszy się w meżu swoim... którego właśnie oczyma pilnowała, aby ku fraucymerowi nie poglądał. Sama bowiem radziwiłłowską mając butę i coś męzkiego w twarzy, ruchach i obejściu, wcale wdziękami się nie odznaczała. Hrabia de la Grange odpowiedział, że jako amator miał szczęście trochę prochu popsuć w siedmioletniej wojnie. Wszczęła się tedy rozmowa o wojskowości i t. p., do której i młodsze księżniczki się wmieszały...

Mówiono zresztą o różnych rzeczach, nie tykając spraw domowych, i wieczerza przeszła rychło, a zaraz po niej książę wprowadził Brühla do swego gabinetu, zapewne dawszy znać szwagrom, ażeby ich samych zostawili.

Brühl wszakże nie chciał dnia tego rozpoczynać rozmowy, któraby dłuższy czas zabrać musiała, i uprosił wojewodę, aby ją do jutra odłożyć.

— A, z miłą chęcią, panie kochanku, — odparł wojewoda dzwoniąc. Każemy tu butelczynę tokaju przynieść, i sącząc ten nektar po kropelce, pogawędzimy sobie *de quibusdam aliis...*

Na dźwięk dzwonka zjawił się dworzanin pan Korejwa, oznajmując zarazem, iż księżna Kune-gunda do sali zaprasza, gdzie panny się trochę zabawiać miały... aby im wieczera do snu nie szkodziła....

Znalazło się tu ich więcej niż przy wieczery, a pewnie i część onego regimentu, widzianego na placu, bo się doskonale i zręcznie zwijały w gry towarzyskie zabawiając się i po trosze podtańcowując dla rozrywki dostojnych oczu... Kazano też na chórze w sali zagrać mniejszej kapeli, która rozmaite symfonie ówczesnie wykonywała. A że okna na ogród były otwarte i muzyka dosyć hucznie się rozlegała, zebrało się dosyć Węgrów i Słowaków pod pałacem, których książę pospolitém winem miejscowém raczyć kazał...

Nie było tu najmniej czuć tego losu, jaki spotkał rodzinę książęcą, która zdawała się na jednym ze swych zamków wczasu używać — wcale się nie troszcząc o jutro....

Książę Karol śmiejąc się mówił o tém, jako mu się nic nie wiodło, że oto regiment kobiecy,

po którym się w wojnach Rzeczypospolitej cudów spodziewał, szczególnież ze starych panien, wielce zajadłych w boju, musiał salwować za granicę, aby go sobie Massalscy *jure caduco* nie przywłaszczyli, i tak samo morze w Albie mające się zakładać, *ad feliciora* odłożyć przyszło....

— Miałem i innych bardzo pożytecznych inwencyj wiele na warsztacie, — dodał książę — lecz z niemi poczekam, aż ekonomczuka zdetronizujemy, stary ład zaprowadzimy i sami, panie kochanku, w domu gospodarować będziemy mogli.

Pańskie błota naówczas ryżem zasiejemy... panie kochanku... a na Podolu same tylko będą winnice...

IX.

Nazajutrz rano, ledwie Brühl się obudził, już od księcia był posłaniec zapraszający na śniadanie — a choć droga od Czarnego Orła do pałacu nie była daleka, koń osiodłany pod sutym czaprakiem stał w pogotowiu i dwóch huzarów jako straż honorowa.

Starosta Zawidecki, który się obudził wcześniej, przyszedł oznajmić, że już księżę wstał od dawna i wojska swe musztrował, a księżna stara z córkami, korzystając z pięknego poranku, na przejażdżkę konno wyruszyła.

Cały Preszów był naówczas Radziwiłłami, towarzysząc im we wszystkich obrotach i obficie zbierając téj czułości i attencyi dla nich owoce. Księżę się tu urządził niemal jak w Nieświeżu, a że w Wiedniu wielce go konsyderowano, odbijało się to na

węgierskiej komendzie i u władz miejscowych, które ulegały fantazyom suto opłacanym...

Gdy hrabia ubrany siadł na koń, aby się udać do pałacu, przez miasto ciągnęły właśnie z musztry oddziały radziwiłłowskich wojsk nadwornych, przepysznie poubierane i błyszczące od haftów i złota. Tłumy gawiedzi ciągnęły za nimi... Przed pałacem na ganku grała w całym komplecie muzyka, która wieczorami, rankami, w kościele na nabożeństwach rozweselała mieszkańców. Liczny dwór pański kręcił się około pałacu....

Książę sam oczekiwał na Brühla, w rannym ubiorze letnim... i przyjął go na progu...

— Zakazałem kogokolwiek przyjmować, panie hrabio, panie kochanku, — rzekł — rozmówimy się tedy na cztery oczy...

Siadł Brühl, podano kawę i śniadanie.

— No, co mi hrabia przywozisz? — zapytał wojewoda — słucham...

— Ja raczej przybyłem dowiedzieć się, czy W. Ks. Mość nie masz jakich tu nadziei, czy dwór austriacki albo Francya nie zechcą nam przyjść z pomocą? Wojewoda kijowski z energicznego postępuku księcia wnosi, że musi on mieć jakąś rachubę za podstawę.

— Hm! — mruknął Radziwiłł — a już ciż... panie kochanku, ale ja nie wiem, czy wy mnie zrozumiecie.

Brühl spojrzał, milcząc.

— A tak jest, jak Pana Boga kocham!—kończył książę — bo ja mam swoją politykę, która choć mądra, wyda się wam głupią, panie kochanku. Ja tak myślę: Panu Bogu ufaj i — na odlew siecz... To caluteńka polityka moja... Jeśli kto z was pochlebia sobie, że interesa prowadzi, panie kochanku, myli się; Pan Bóg trzyma lejce w ręku i biczysko, a my wszyscy w chomątach chodzimy... Zatem i przytem, panie kochanku, dał nam szablę do pasa i rzekł: — mnie ufaj, a nią wal... i nie żałuj!

— Więc, słuchaj mnie hrabio tylko uważnie,—kończył Radziwiłł marszcząc czoło i zdając się mozolnie zbierać myśli...—idź za mną... Usunąłem się tu pod opiekę Najjaśniejszjej Monarchini i będę czekał... Jak tylko pora się dobra nadarzy... my we dwóch z panem wojewodą wkroczymy z ludem naszym i wszystkie te tałajajstwo, panie kochanku, rozpędzimy.

— Lecz — odparł Brühl po chwili, — wcale się na to nie zanosz, aby okoliczności nam sprzyjały. Bez pacyfikacyj, wszystko samo przez się dąży do zgody i przejednania dla świętego spokoju... Co chwila ktoś submittuje się w Warszawie... uznają elekta wszyscy... Wybór padł jednomyślnie, Brannicki do Białegostoku upokorzony powraca... Mokronowski jest za poddaniem się.

Książę aż się porwał z krzesła.

— To niechże mu, z pozwoleniem łapy liżą kiedy im to do smaku, panie kochanku—zawołał—

a my czekajmy. Bóg, jak powiadają, cierpliwy bo wiekuisty, my z nim trzymamy, i cierpliwości téj zażyć musimy...

— Ale jakież widoki? — zapytał Brühl...

— Widoki? panie kochanku! w miłosierdziu bożém i w ostrzu szabli... W szablę i Pana Boga wierzę, a co dalej, to nie moja rzecz.

Brühl popatrzał wielkimi oczyma, księżę się napuszył... i z pewnością siebie niezmierną powtórzył:

— *Spes unica Deus!*

Westchnął i siadł ciężko, podpierając się na stole...

— Nie może to być, aby pan stolnik miał się utrzymać... — dodał — nie może być. Bywali na tronie Piastowie, ale to, panie kochanku, Leszczyńscy, Sobiescy, Wiśniowieccy... a nie... sroce z pod ogona wypadły jakiś tam... Szlachta się zawstydzi... A toby mospanie, gorzej było od Polanowskiego, bo Polanowscy przynajmniej cztery, pięć pokoleń szlacheckich wykazać mogii — a tu...

Nagle przerwał wojewoda, kładąc rękę na ramieniu Brühla, rzekł cicho:

— Niech tylko pan wojewoda kijowski wojsk swoich nadwornych nie rozpuszcza, aby je miał na zawołanie... przyjdzie chwila gdy w szablę zagramy... Mojego całego regimentu nie mogłem tu przekarmić, poszedł nazad do kraju, ale ordynanso są i na każde skinienie gotowi, czekają. Gdy im,

panie kochanku, z Preszowa przyjdzie appel... nie zabraknie jednego...

Smutne te ogólności jakieś nie mogły Brühla zaspokoić, nie wiedział już co sądzić, czy że książę zwierzyć mu się nie chciał, czy istotnie sam przyszłość zdawał na niepewne jakieś losy...

Kombinując jednak wszystko, gdy rozpatrzmy się w tém, jak książę w Preszowie na dobre się rozgospodarował, osiadł, budował... musiał w końcu przypuszczać, że był w dobrej wierze.

— Wybrali go, — odezwał się książę po chwili — dobrze... ja się śmieję, ukoronują... dobrze, uśmiecham się, niech spróbuje panować, panie kochanku. Tu dopiero będzie sęk... i o ten szkopuł on się rozbije... Familja będzie w jedną stronę ciągnąć, on w drugą, my w trzecią... znajdzie się kto w czwartą pociągnie, i cała machina pęknie. Naówczas my z naszymi pułkami, przy pomocy bożej, wciągniemy i tę Sodomę i Gomorę w popiół obrócimy. Amen...

Wojewoda to mówił z takiem przekonaniem, jakby już na przyszłość patrzył...

— Tandem, — rzekł wstając — choćbyśmy tu cały boży dzień siedzieli, i ty mnie, kochany hrabio, muchy z nosa ciągnął, nie dowiesz się, panie kochanku, odemnie więcej na to co sam wiem, że w Opatrzność wierzę i szabli z rąk nie puszczam. Tak mi panie dopomóż, więcej nie wiem, i w żadną inną, daleką politykę się nie wdaję... — A, żebyś

się nie nudził, wiesz co? chodźmy do stajni. Pokażę ci konie moje. Możemy sobie wybrać parę i trochę się przejechać, dopóki gorąco nie przyjdzie... Wczoraj pewnie widziałeś mojego sobola: osobliwe stworzenie, na które ceny nie ma, bo to jest raritas niewidziana... ale warto, abyś mu się z bliska przypatrzył. Drugi raz w życiu takiego konia oczy twe, panie kochanku, oglądać nie będą.

Jakkolwiek Brühl radby był w istocie więcj coś dobyć z księcia, aby z czémś rzeczywistszém powrócić do teścia — łatwo postrzegł, iż z Radziwiłła więcj języka nie dostanie...

Zdaje się, że stajnie już gotowe były do przeglądu, bo gdy w dziedziniec weszli, u drzwi szop stały strażę, berejterowie, czeladź poubierane jak od święta, każdy w miejscu, i koniuszy, a oprócz niego Fryczyński młody i Kuszelewski, pokłon oddawszy księciu, poszli za nimi. Stajuie ogromne, najmniej czterysta do pięciuset koni mogły w sobie mieścić. Porządek w nich był wielki, dozór pilny, gdzieniegdzie zbytek nawet, ale żaden koń tak wypieszczony nie był jak ów soból, którego książę nadzwyczaj cenil wysoko.

Klatka, w której on stał oddzielnie nie przywiązany, ozdobna była, obszerna i wygodna; żłób miał marmurowy, wodę świeżą przepływającą w drugim, podściół świeży i delikatny, a dzień i noc na straży stał Turczynek, który go tylko pilnował. Gdy soból zdala poznał księcia, głowę po nad za-

grode wyciągnawszy zarżał, a tuż na głos jego poczęło się po całych stajniach rzenie okrutne jakby na apel. Wojewoda dobył cukru z kieszeni, i zbliżywszy się dał mu go z ręki. Pieszczone zwierzę natychmiast chwycić go poczęło, a książę głąskał je po chrapach...

Przywitawszy faworyta, szli potem z kolei do wierchowców księżniczek, do karego Mustafy, faworyta księżny matki, który jej jednej głąskać się i pieścić dawał, potem do rozmaitych osobliwych koni, o których wojewoda opowiadał powieści ciekawe... znając każdego rodowód, charakter, cenę i przymioty... W istocie stajnie były królewskie i utrzymywane z przepychem wielkim... Fryczyński i Kuszelewski księciu pomagali w opowiadaniach, niektórych imiona i genealogię wyliczając, gdy się wojewoda zaciął.

Tak idąc przez ogromne szopy, dotarli nareszcie do masztarni, która równie jak konie widzenia warta była. Salwowano z Nieświeża co najdroższego i najpiękniejszego się tam znajdowało... Począwszy od końca XVI wieku, kulbaki srebrną i złotą blachą obijane, aksamitami obciążnięte, rzędy sadzone drogiemi kamieniami, dywdyki złotem szyte, pioprusze i trzęsidła do łbów koniom na parady przypasywane... siedzenia różne, siodła, terlice, dywany... wszystko w wielkim porządku było ułożone i masztarnię do skarbcza czyniło podobną. Brühl, który się niemało wspaniałości podobnych po Au-

guście II w Dreźnie napatrzył, podziwiać jednak musiał niezmierne bogactwa wojewody... Do wielu też i z tych zabytków przywiązane były legendy bojowe, historye dworskie i trafne anegdoty z dawnych czasów, a niektóre z nich, jak o tureckiem siodle przez środek przeciętém i okrwawioném, trochę wyglądały bajecznie.

Tureckie owo, ze srebrnemi złoconemi szerokimi strzemionami, zdobyte być miało na baszy silistryjskim przez jednego z Radziwiłłów, który westchnąwszy do Matki Bożkiej, jak Turka płątnął w głowę, tak go gładziuteńko na dwie połowy przeciął... i jedna z nich na prawo, druga na lewo od konia padła... Ów basza, że renegatem miał być i w chwili niebezpieczeństwa krzyknął o pomoc do Niebios wołając, owe dwie połowy natychmiast się do siebie zbliżyły i zrosły tak, że nawrócony basza silistryjski, który życie w klasztorze na pokucie skończył, miał tylko czerwoną kresę przez twarz i ciało na pamiątkę.

Książę opowiadał o tym cudzie z dobrą zupełną wiarą i jako pamiątkę siodło owo zatrzymali Radziwiłłowie, które jeszcze tę własność miało, że w rocznicę owego wypadku, o godzinie, w której basza został przecięty, krwią jakby świeżą ukazywało się pomazane, ale ta natychmiast potem osychała...

Gdy książę to opowiadał, siodło pokazując, Fryczyński i Kuszelewski, oraz koniuszy słowa jego milczeniem poważném potwierdzali.

Takich i tym podobnych anegdot się nasłuchawszy, Brühl wyszedł ze stajni dosyć znużony, a że godzina obiadowa się zbliżała, księżę na pokoje zaprosił, gdzie już panie czekały. Ktoś jednak musiał z sekretu wydać owego mniemanego hrabiego de la Grange, bo go już teraz daleko uprzejmię i z większemi przyjmowano honorami.

Około księżny matki etykieta była wielka, poszanowanie nadzwyczajne, oznaki czci odpowiednie wysokiemu jéj urodzeniu.... Jak na pokojach królewskich, stawili się goście w strojach paradnych i meldowanie ich, przyjęcie, podlegało formom stale oznaczonym. Krzesła i taborety służyły wedle godności paniom i panom, a jedna tylko księżna matka i księżę Karol siedzieli w poręczach...

Do stołu towarzyszyła muzyka, paziowie, dwór i obiad dnia tego był wielce wykwinny, a zastawa przepyszna. Poczém nastąpił koncert, a na wieczór balet i reprezentacya teatralna była zapowiedziana, w której panny fraucymeru, paziowie i dworzanie udział brać mieli. Brühl wszakże z rannéj rozmowy zmiarkowawszy, że z téj podróży nie dla wojewody pocieszającego nie przywiezie, zabierał się pożegnać księcia zaraz po obiedzie, nie bawiąc dłużej. Miał powody spieszyć z powrotem do Warszawy, o własny byt i przyszłość będąc niespokojny, tu zaś, nad miłe a dosyć nużące spędzenie czasu wśród parad i zabaw, nie już nie miał do czynienia.

Wychodząc więc z sali jadalnej, gdy muzyka się zabierała do koncertu, raz jeszcze szepnął księciu, iż rozkazów jego czeka, co ma wojewodzie oznajmić i nie mieszkając chce się z powrotem zabrać do Krystynopola. Szło mu i oto, ażeby bytność jego zbyt wielkiego nie nabrała rozgłosu.

Z razu książę na samą myśl odjazdu tak śpiesznego, zżymnął się mocno, ale dał się przekonać, iż Potocki téż czekać nie lubi — a Brühl tu swój woli nie ma, tylko się do teścia zastósować jest obowiązany.

Raz więc jeszcze weszli do gabinetu, choć książę panie kochanku, widocznie zafrasowany był, że mu znów przyjdzie tłómaczyć się z polityki, którą całą w dwóch wyrazach zamykał. Znać po nim było, gdy o poważniejszą chodziło sprawę, iż myślenia głębszego się wystrzega i nie lubi, że ono go męczyło.

Gdy więc Brühl znowu o rozkazy spytał i o to co ma wojewodzie kijowskiemu przynieść, książę mu odpowiedział:

— Co ja, panie kochanku, wam, mości hrabio mogę powiedzieć? Ja nie jestem do alembikowania planów politycznych stworzony, *simplex servus Dei*, wiarę mam mocną, głowę twardą, szablę ostrą — i po wszystkim... więcéj nie wiem nic.

I rękami strzepnął.

— Idę prosto, panie kochanku, przed siebie —

przed siebie, ani w prawo, ani w lewo, to radziwiłowska maksyma... I tyle...

Brühl już zmilczał. W tém Radziwiłł, który i na wygnaniu księciem udzielnym być pragnął i po pańsku się znajdować, wesa pokrećwszy, przystąpił do hrabiego.

— Koniecznie jechać dziś chcecie? spytał:

— Muszę, bom dał słowo, że chwili nie stracę, rzekł hrabia.

— Musisz, to usta zamyka — odpowiedział Radziwiłł — ale konie masz pomęczzone, te nieboraki w drodze ci się ściągają... bo to po górach i wertetach panie kóhanku... Pozwólże przynajmniej, abym ci, na wypadek okulażenia czy znużenia wierzchowca, luźnego ofiarował na zamianę. I powiem ci szczerze, kochany hrabio, przyjmując go, łaskę mi zrobisz, bo tu na Węgrzech owies coraz droższy, a z końmi nie mam co robić. Proszę cię.

— Ale, mój książę.

— To nic nie pomoże, koń stoi już u waszego żłobu. Nie ma wymówki.

Zmieszał się Brühl, nie było jednak sposobu uwolnić się od podarku. W tém, że się odjazd zbliżał, podano kielichy, nadeszli pp. Morawski, Czap-ski i Brzostowski, rozmowa się wszczęła ogólna, wesoła, śmieszki i humor, jakby za dobrych czasów w Nieświeżu. Opowiadano o odwiedzinach u węgierskich magnatów i przyjęciach na starych zamkach, o różnych figlach księcia jegomości, aż Brühl wre-

szcie, wychyliwszy kielich za pomyślność, powodzenie i rychły powrót w tryumfie całej rodziny do domu, zmordowany, przeprowadzany w ganek, znalazłszy tu starostę Zawideckiego, wymknął się z nim pod Orła czarnego.

W drodze już Sierakowski oznajmił o danym mu koniu, ogierze tureckim złotój maści, bardzo pięknym, a co gorsza, z całym paradnym siedzeniem, które od konia dwa razy było więcej warte.

Ten książęcy dar w najgorszy humör wprowadził Brühla, lecz musiał go przyjąć, aby na nowy kłopot nie być narażonym. Pod czarnym Orłem wszystko już było gotowe, konie nawet stały wyprowadzone w ulicy; dosiadłszy ich więc, puścili się zaraz w drogę.

Zaledwie jednak za bramę miejską zdążyli, gdy okrutny tętent koni dał się słyszeć za niemi, i w chmurze pyłu, książę Karol, mały Hieronim, pięć pań młodszych, trzej zięciowie nadbiegli, obstępując i biorąc Brühla — w niewolę. Generałowa Morawska dowodziła tym oddziałem z taką furją, iż hrabiemu uad głowę z pistoletu wypaliła. Śmiechu i hałasu było wiele. Hrabia już się do księcia chciał odwoływać, świadcząc nim, iż wcale nieprzyjacielskich nie miał zamiarów, i do niewoli brany być niepowinien — gdy panie kochanku mrugnął nań, że tu idzie tylko o podwieczorek w stojącym nieopodal szataście. Cała więc kalwakata skierowała się ku poblizkiemu laskowi, gdzie znaleźli już księżnę

matkę i pół jej francymeru. Dziewczęta poprzebierane za pasterki, z wieńcami w rękach, powitały ich śpiewami i tańcami, co piękny wcale obraz składało. Zastawione suto stoły, do których kilku Węgrów w gościnę przybyłych było zaproszonych, przybrane téż w kwiaty, kryształ i srebra, nęciły ku sobie.

Brühla, jako wziętego w niewolę zbiega, przyprowadzono do księżny Kunegundy, która go posadziła przy sobie. Zaczęły obiegać kielichy, muzyka grała, dziewczęta skakały, a mężczyźni do celu strzelać zaczęli.

Zaledwie parę strzałów pistoletowych się rozległo, gdy wszystkie księżniczki rzuciły się także dawać dowody zręczności. Ustawiono tarczę i pukalina na dobre się zawzięła. Z kolei więc próbowali wszyscy — gdy pani Morawska zapytała hr. de la Grange, czyliby i on jako dawny żołnierz, nie chciał im pokazać, jak we Francyi strzelają?

— Z największą ochotą — odpowiedział Brühl — wstając i idąc ku mecie... z trochę figlarną miną, ale my, Francuzi, nawykliśmy do trochę dalszego celu...

Trudność potem pewna urosła, gdyż hrabia pistoletów żądał, którychby mógł być pewien, potem sam je chciał nabijać, tak, że generałowa szeptała do ucha mężowi, iż zły tanecznicy i fartuszek zawadza.

Milczenie się stało wielkie, gdy po tyłu przyborach, Brühl stanął i ze czterech pistoletów, które

z olstrów swych dobył, dał cztery strzały, sadząc kule jedną na drugą.

Ci, którzy się żartować zbierali, okrzyknęli go królem kurkowym. Był to nowy powód do wiwatów i okrzyków i do odkładania podróży, tak, iż wieczór już dosyć był późny, gdy uroczyście pożegnawszy uprzejmych gospodarzy, hrabia nareszcie na siodło skoczył, i przeprowadzany okrzykami nowemi i wystrzały w dalszą mógł wyruszyć drogę.

Jakie uwagi przysły mu potem, wesołe opuściwszy towarzystwo, odgadnąć było trudno, lecz zwieszona głowa i smutny wyraz twarzy świadczyły o wielkiem znużeniu.

Gdy wreszcie stanął poseł z powrotem u bramy krystynopolskiego pałacu, i natychmiast oznajmiony wojewodzie, wszedł do niego, już odzyskał był zwykły swój humor wesoły i spokój ducha.

Potocki pośpieszył go uściskać, z nadzwyczajną ciekawością i upragnieniem żądając wiadomości... Nadeszła też wojewodzina, która nie znosiła, aby przed nią z czegokolwiek czyniono tajemnice — a rozpoczęło się badanie... Brühl zrazu wymijał prawdę, którą nie chciał wojewody zasmucić, spodziewającego się usłyszeć coś pocieszającego.

Słuchano go zrazu cierpliwie, wreszcie opisy dworu, wojska, wspaniałości zabaw znużyły.

— Ale ostatecznie — co mi przywozisz? jaką mi daje nadzieję i jaką ma?..

Brühl się uśmiechnął.

— Z księciem wojewodą — rzekł — trzeba tak mówić jak on nawykł. Na żadne pytanie nie otrzymałem innéj nad tę odpowiedzi, że ufa Bogu i szabli, że nadziei tracić nie należy, że Opatrzność zaradzi. Niech wojewoda stoi w pogotowiu, miejmy cierpliwość.

— Jakto? znikąd pomocy? żadnych widoków? zapytał Potocki.

— Żadnych, oprócz tych, o których mówiłem — dodał Brühl — dusza rycerska, wspaniałość pańska, ale polityka, którąbym nazwał... kapucyńską.

Potocki ruszył ramionami.

— I kapucyni na mądrzejszą się zdobędą — rzekł ponuro... Zdala patrząc możnaby go posądzić, że coś knowa i na pewnej osnowywa podstawie.

— A z bliska — zakończył Brühl — przekonać się można, iż na drugich czekając, rachując, jasno przed sobą nie widzi ani dokąd ma iść, ani jak go to daleko zaprowadzi.

Ponuro spojrzeli na siebie wojewodzina i mąż jój, smutek się odmalował na twarzach.

— Poddać się więc do czasu potrzeba — rzekł Potocki z oburzeniem — siedzieć, milczeć, gryźć wędzidło, cierpieć i Bogu ofiarować upokorzenie.

Posyłałem do Branickiego, który o niczem już wiedzieć nie chce, a w Warszawie nam za warunek stawia, abyśmy głowy i karki ugięli, a deprekacyę uczynili przed nowym panem.

Westchnął stary.

— *Fiat voluntas tua!* szepnął cicho.

Cały tak wieczór zszedł na próżnych i późnych lamentach; stanęło na tém, że się Potoccy mieli dla przyszłości zachować.

— Nie ma on polityki — rzekł wojewoda — my ją za niego i za siebie mieć musimy.

Nazajutrz Brühl rozgrzeszony z góry, jeśliby się chciał pojednać, nazad do Warszawy odjechał.



X.

Po długim niepokoju, rozerwaniu, nużącój anarchii i wycieńczeniu, nigdy może świetniejszemu, z większymi nadziejami nie rozpoczęło się panowanie nowe, jak po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta.

Życie zdawało się inne, odrodzone wstępować w całe społeczeństwo. Nieprzejednane żywioły składały oręż i garnęły się do jednój gromady. Budziło się wszystko, dawny nieład nareszcie uznany tém czém był, zapierał się roli, jaką mu przypisywano, wszyscy widzieli potrzebę reform i pragnęli, zdawali się gotowi dla nich coś ze zbytecznych praw i przywilejów poświęcić. Opozycja, która poprzedziła elekcję, nikła tonąc w tym prądzie silnym ku jakiemuś życiu nowemu.

Od maja do września, gdy koronacja uwieńczyła dzieło wyboru, — do grudnia i sejmu *familia* owdziałła rzeczpospolitą i jednała sobie sympatyę powszechnę. Panowanie, które z początku zdawało się groźném i burzami brzemienném, wschodziło z niebem pogodném i słońcem ożywczém. Umysły się uspokajały i jednały. We wszystkich kierunkach praca na wyścigi, dźwiganie się z upadku, odciągały od opozycyi daremnę, któraby siły tylko pochłaniać mogła.

Lecz, jakże często jasna jutrenka na niebie jest zwiastunką dni burzliwych!

Brühl, powróciwszy ze swęj wycieczki do Warszawy, dosyć zakłopotany tém, iż w Krystynopolu będąc, nowiny z Drezna musiał przywieść, o które go dopytywano — pozostał jak był na uboczu, postanowiwszy wyrzec się czynnego w życiu publiczném udziału. Nie było to dlań ofiarą, gdyż życie miał czém zająć, a ambicya nie trawiła go wcale. Z rezygnacją więc spoglądał na to, co go otaczało — widz dosyć obojętny i chłodny. Życie płynęło dla niego powoli, gdy dla innych błyskawicą leciało. Przynoszono mu wieści z tego świata, do którego wciskać się nie życzył wcale, ani chciał od niego uciekać. Któż wie, byłby może tracąc dawne swe położenie w rzeczypospolitéj, przypomniał sobie swe obywatelstwo saskie i stosunki ojcowskie, gdyby z jednéj strony nie wiązało go tu ożenienie z Potocką, z drugiejj serdeczny stosunek, na owe

czasy dziwny i niemal śmieszny, z kobietą, dla której ciche, stałe, zachował przywiązanie.

Znikała mu ona z oczu, czasem na długo, a uczucie dla niej nie słabło, oboje wiedzieli, że los ich dwoma nieprzełamanymi dzielił zaporami — że się od niego nic spodziewać nie mogli, a jednak nie osłabiło to tej miłości, o której ludzie mówili wiele w początku, a potem zapomnieli, bo w nią wierzyć przestali.

Po powrocie hrabiego Brühla, było postanowieniem Godziemby usłuchać rozkazu hrabiny i uwolnić się od służby u dworu Brühla. Francuzka wszakże oznajmiła mu po ciachu, że nie koniecznie ma się trzymać rozkazu co do litery, że może na jakiś czas pojechać w Pińskie do swoich starych i potem powrócić.

Czy to czyniła z rozkazu pani, czy z własnego domysłu, nie mówiła jasno, zapewniając tylko, iż to złych za sobą nie pociągnie skutków. Na ten raz wielce była umiarkowaną i powściągliwą, uśmiechała się, chrząkała, żegnała i przypominała, ażeby Godziemba nie bawił znowu zbyt długo.

Pan sekretarz uznał za właściwe przyjść z oznajmieniem wyjazdu i pożegnaniem. Hrabina zarumieniona mocno, przyjęła go milcząco, lecz gdy się już ku drzwiom oddalił, zaledwie dosłyszczanym szepnęła głosem, aby zbyt długo nie bawiąc powracał.

Wyjechał więc Godziemba, nie dał się zatrzymać staruszkom, nie pozwolił się im wyswatać —

i przyjechał do Warszawy z bijącym sercem, nie wiedząc co go czeka.

Powitanie było zimne, dawne stosunki ceremonialne, milczące, wróciły bez najmniejszej zmiany. Pragnąc je utrzymać, Godziemba milczał.

Mówiliśmy już o starój mamce, którą jak matkę szanując, utrzymywał w Warszawie, odwiedzając ją niemal codziennie. Sawaniha, prosta wieśniaczka, złamana już wiekiem, dawną pracą i cierpieniami, zachowała, pomimo wieku, umysł żywy i bystre pojęcie. Wielu rzeczy, z których się jój Godziemba nie spowiadał nigdy, umiała się domyślić i odgadnąć je... Nie wdawała się jednak w kierowanie tym, którego zwała synem. Czasem rzuciła słowo jakie, jakby na wiatr, wiedząc, że ono w nim utkwie. Nawykła go widywać, czytała z jego twarzy każde uczucie, radość, niepokój, smutek.

Tak samo jak inne tajemnice, Sawaniha i miłość skrytą dla hrabiny od dawna w nim wyczytała, lecz strzegła się nawet mu dać poznać, że o niej wiedziała... Słuchała tylko cierpliwie, gdy o tój pani mówił, i z uwielbieniem się o niej odzywał. Gdy starzy Godziembowie poczęli mu córkę swatać, a po jój zgonie na niego swą miłość przeleli i obdarzyli go majątnością, Sawaniha nie odczuwała się nigdy z radą, ale — ot tak — po wiejsku — czasem malowała życie na wsi spokojne, gdzie sobi każdy panem, i utyskiwała na to, że się Fadejkowi życie marnuje.

Jéj zdania, które się nigdy nie narzucało — Godziemba domyślać się musiał... Po owym wieczorze tragicznym, który o mało go nie wygnał z Warszawy, gdy wpadł do matki, stara pobladła, przeżegnała się, pomodliła cicho i przeraziła jego rozpaczą. Lecz we dwa dni dopiero potem, żywiéj niż kiedy o wsi mówić zaczęła. Tadeusz nic nie odpowiadał. W późniejszych rozmowach wracała do tego ciągle. Teraz gdy mu Francuzka jechać kazała w Pińszczyznę, a Sawaniha błogosławiąc go wyprawiała na drogę... gdy usiadł przy niej... stara cichym głosem poczęła gorączkowo mówić do niego, jak nigdy nie była zwykła.

— Bóg tylko jeden wie, kiedy na starość moją koniec zesze i do siebie zawoła... Potém tobie nikt prawdy od serca nie powie! — Przyznaj, Tadeuszu, żem ja stara, słuchała cię jak sługa, a nie żądała nigdy nic... i milczała... boś ty mężczyzna i rozum swój mieć powinienes... Ale u mnie śmierć za pasem... we mnie prawda się gotuje i musi raz w życiu wykipieć... Pocóżbyś ja ci ją kryła? Tobie ten dwór... i te dobre pany na nic, kiedy ty sam sobie panem być możesz. Czyby ty się dawno ożenić nie mógł, i z dzieci pociechę mieć i spokojnie panować? A tak lata się marnują, co nie wrócą nigdy!

Sawaniha zapłakała, zamilczał Godziemba... a po chwili wstając, rzekł jedno słowo tylko:

— Nie mogę...

I nie było już o tém mowy.

Gdy z podróży powrócił Godziemba, staruchę swą zastał na pościeli, chorą... osłabłą. Uradowała się tak powrotowi jego, że z łóżka wstała, a kazawszy sobie opowiadać o podróży, swoim zwyczajem do kądzieli usiadła, chciała prząść, ręce jęj się trzęsły... porzuciła kądziółkę... a wieczorem do łóżka wrócić musiała... I jednego z następnych dni Godziemba zastał ją z oddechem krótkim, z oczyma rozżarzonemi, ze spalonemi usty... Pobiegł natychmiast po doktora... lekarz przyszedł, popatrzał, przepisał coś i wychodząc powiedział, że — lampa zgasnąć musi, bo się wypaliła.

Zgasła téż téj nocy, bo stara gorączkowym snem uspiona, już się więcej nie przebudziła. Godziemba poszedł sam za jęj pogrzebem i żałobę po nięj włożył. Małe ona miejsce na pozór zajmowała w życiu jego, a wielką po sobie zostawiła próżnię. Jęj macierzyńskięj miłości nie zastąpić nie mogło... Godziemba teraz przypomniął sobie każde jęj słowo, i nosił je w duszy... Posmutniał bardziej jeszcze... Gdy pierwszy raz w żałobie wszedł do hrabiny, a ta go o przyczynę włożenia tego ubrania spytała, naprzód w wyrazach kilku, potém szerzję i szczerzję, powiedział jęj o poniesionęj stracie...

Hrabina słuchała, łza jęj zakręciła się w oku.

— Żal mi was, — rzekła i wyszła wzruszona...

Współczucie i smutek znowu ich trochę zbliżyły, ale hrabina obchodziła się z sekretarzem surowo

i ogłębnie... nie dając mu nawet zręczności do poufalszego wynurzenia... Karmiła go czasem dłuższą rozmową, ale o przedmiotach, które żadnego niebezpiecznego zwrotu nie dopuszczały.

Na lato tego roku, państwo Sołłohubowie do Włoch i Szwajcaryi wyjechać musieli. Podróż tę nakazali lekarze, nie dla samej pani, która kwitła jak róża i dziwnie młodą była zawsze i świeżą, ale dla biednego Sołłohuba, bo ten w oczach gasnął.

Stan jego zdrowia wzruszył litością serce żony, która czulszą się dłoń okazywać zaczęła, i ofiarowała się sama towarzyszyć mu w podróży. Ale biedny chory nie mógł się łudzić i przypisywać jej postanowienia innemu nad litość uczuciu. Na wyjeźdném byli u Brühlów oboje, piękna Marya unikała poufalszego zbliżenia się do hrabiego, aby tém mężowi nie uczynić przykrości; nad wyraz smutna i milcząca miała chwilami jakieś nienaturalne wybuchy wesołości, które przykre czyniły wrażenie. Siliła się wyraźnie, aby pokryć to co miała w duszy. Sołłohub będąc z Brühlem sam na sam, tęskno jakoś go żegnał, nawet nie czyniąc nadziei powrotu.

— Jedna rzeczby mnie tylko uleczyć mogła, — rzekł mu — a ta... niestety, jest niemożliwą... Marya mnie nigdy kochać nie będzie... Jest jak anioł dobra, ale dwóch serc nie ma, a to jedno, jakie jój Bóg dał... oddać musiała komuś.

Spojrzał na Brühla i umilkł. Ten obrócił w żart chorobliwy humor przyjaciela, zaczął mówić o Wło-

szech, o podróży i nie dał mu już powracać do tego przedmiotu.

Nad wszelkie przewidywanie chorego, włoskie powietrze, kąpiele wody, posłużyły Sołłohubowi, rozerwały jego żonę, wrócili jesienią do Warszawy; on silniejszy i zrezygnowany, ona znowu obojętniejsza i weselsza.

Prawie pierwszym jój krokiem były odwiedziny do Brühlów... Znajac hrabinę, przywiozła dla niej poświęcane różańce, odpusty, relikwiarze — dla Brühla, ładny obrazek jakiegoś mistrza włoskiego, który choć zdawał się nieznanym — miał wszystkie cechy znakomitego artysty... Lecz nad wszystkie dary, cenniejszy był powrót jój, wesołe szczebiotanie, wzrok co ożywiał, usta co się uśmiechały, serce które biło zgodnie z drugim... Brühl tak rozpromieniony był i szczęśliwy dnia tego, iż nawet hrabina to postrzegła, uczuła i zrozumiała.

Wieczorem trochę dłużej, trochę swobodniej rozmawiała z sekretarzem...

Spokojny dom Brühlów, w którym jednak zawsze wiele osób do rodziny należących bywało, ożywił się znacznie za przybyciem pani Sołłohubowej i otwarciem sejmu koronacyjnego. Był tu poprzedzających go i zwiastujących, sejm wielkich dla wszystkich nadziei, reform i ducha. Nic jednak nie zwiastowało, aby on mógł wpłynąć na stosunki Brühla do Familii i panującego... Hrabia był trochę dumny, i nie drażniąc nikogo, nie spieszył też

z przejednaniem, czyniąc się pokrzywdzonym. Mniszech i inni przyjaciele jego, napomykali mu o zapomnieniu i zgodzie; odpowiadał na to zawsze, iż kłócić się nie myśli, a krzywdy wyrządzone zapomniał, bo mu na dobre wyszły...

— Tak jest, — mówił z uśmiechem — używam teraz w pełni domowego szczęścia; nie mam obowiązków któreby mnie od przyjemności jego odrywały... a winienem to nieprzyjaciołom... — I ruszał ramionami...

Wspaniała koronacya, która poruszyła ówczesną stolicę i taki entuzjazm niewieści wzbudziła dla pięknego, młodego króla — przeszła dla Brühla prawie niepostrzeżona. Nie miał nawet ciekawości spojrzeć na nią. Sołłohubowa niemal gwałtem namówiła hrabinę z sobą na estradę, i od powracających pań Brühl dowiedział się o szczegółach uroczystości, która go wcale nie poruszała... Nastąpił sejm równie mało obchodzący hrabiego.

Brühl właśnie najgoręcej się zajmował muzyką i urządził u siebie wieczory, gdy jednego dnia w grudniu Mniszech się zjawił niespodzianie.

Był to gość o téj godzinie rzadki.

Zaledwie wszedłszy do salonu i przywitawszy gospodarzy, odciągnął hrabiego na stronę...

— Jestem do ciebie w wielkiej misy wyślany, rzekł cicho...

— Cóż to takiego?

— Król chce cię widzieć...

Brühl zamilkł...

— Sam mi to mówił, — dodał Mniszech...

— Przypomnij sobie sejm 1762 r., — odpowiedział Brühl spokojnie. — Ja nie byłem napastnikiem, nie rozpoczynałem walki, nie dałem najmniejszego powodu do tak zjadłego przeciwko mnie wystąpienia. Przypomnij sobie rolę stolnika, potem sejm konwokacyjny i wyrzucie mnie ze szlachectwa, dostojności, urzędów... Po tém wszystkim, po krzywdzie ojcu mojemu wyrządzonej... wierz mi, nie przystało synowi szukać zgody pierwszemu i upokarzać się przed zwycięzcą...

— Stosunki się zmieniły, — odparł Mniszech — nie ty szukasz zgody, ale ten, który zawinił.

— Któż o tém wiedzieć będzie, widząc mnie u niego? — zapytał Brühl spokojnie.

— Obmyślimy może środki zbliżenia was; okaż tylko dobrą wolę... Zgoda nam wszystkim potrzebna, a ty krajowi pożytecznym być możesz.

— Myślże i jak chcesz to układaj, — zakończył Brühl — ale pamiętaj o tém, że ja pierwszy na zamku się nie ukażę...

— Nie możesz też mieć pretensyi, aby król przyjechał do ciebie! — rozśmiał się Mniszech...

— O! najmniejszej! — zawołał Brühl — i cofnął się...

Rozmowa ta nie poruszyła go wielce. Mniszech nie wspominał o niej nikomu, wszystko to pozostało tajemnicą...

Ale nazajutrz na wieczór otrzymali państwo Brühlowie zaproszenie od podkomorstwa Potockich. Podkomorzy, wnuk hetmana, pokrewny wojewodzie, był zarazem skolligacony z królem... Brühlowi dało to do myślenia, chciał się wymówić, lecz Sołłohubowa przybyła, jak się zdaje, umyślnie, wymogła na nim słowo, iż na wieczór pojedzie, wprosiła się w towarzystwo pani Brühlowej, i nastąpiła na hrabiego, aby jój zawodu nie uczynił.

Hrabia był jednym z najprzyjemniejszych ludzi w towarzystwie, wychowanie i obycie ze światem dawało mu swobodę, miał wiele dowcipu, widział dużo, a nikogo swoją wyższością nie raził — bo w naturze miał skromność nie narzucającą się ludziom. Wszędzie więc był miłym gościem.

Gdy nadszedł wieczór, wszyscy ruszyli do podkomorstwa. Pałac Potockich znajdował się niedaleko zamku... Przybywając tam, znaleźli towarzystwo już bardzo liczne, szczególnież kobiet mnóstwo, strojnych, wesołych, uśmiechających się i zalotnych. Tradycje Augusta Mocnego wskrzeszone odżywały.

Brühl jednak ani wiedział, ani się spodziewał przybycia króla, gdy na pokojach dało się czuć poruszenie, panie uszykowały się rzędem, gospodyni, siostrzenica królewska wyszła ku drzwiom, i w progu ukazał się — Najjaśniejszy Pan.

Był to naówczas jeżeli nie jeden z najpiękniejszych, to jeden z najmiłszych mężczyzn swojego wieku... pełen zalotnego wdzięku, postaci kształ-

tniej, oczu błyszczących pojęciem żywym, w ruchach i mowie zdradzający dziecię wielkiego świata, nawykłe żyć w tych sferach elegancyi i wspaniałości, które modę i formy narzucają. Wszystko mu się natenczas uśmiechało, i on się uśmiechał wszystkiemu, rad był zjednać sobie serca, przygarnąć, wsławić się, usprawiedliwić jednem słowem szczęście, które mu sprzyjało...

Z twarzy otaczających, widać było uwielbienie, w kobietach posunięte do entuzjazmu, do szału! Z królem weszli na pokoje Branicki młody, jeden adjutant i szambelan... ale ci natychmiast znikli w tłumie; król nie lubił się zbyt urzędowym otaczać orszakiem, ostąpiły go panie tak, że trudno już się doń przybliżyć było.

Brühl, który stał z daleka pod oknem, zmieszał się trochę widząc króla wchodzącego, lecz musiał pozostać. Stanisław August witał tymczasem z kolei panie, a tuż cisnęli się doń wszyscy, szczególnież ci, co niedawno najostrzej przeciwko niemu występowali.

Znajdowano w nim nagle szczególne przymioty... i pochwałom cichym nie było końca... Każdy chciał być widziany, zaszczycony słowem lub choćby skinieniem głowy... Król, który był niesłychanie grzecznym, z wielką starannością spełnił ciężki obowiązek nieuchylenia nikomu i jak dawni nieprzyjaciele najniżej mu się kłaniali, tak on im najuprzejmiej się uśmiechał.

Brühl od okna, w którym stał, patrzył na tę komedię dworską, wiecznie jedną i zawsze równie zabawną. On się wcale ani przeciskać, ani przypominać nie myślał... Nie chciał téż okazać się niechętnym i gburowatym, uchodząc z placu... został, gdzie był. Powitanie przeciągnęło się nieco; gdyż panie zajęły króla, każda z kolei przywłaszczając go sobie na chwilę. Każdą z nich rzucał uszczęśliwioną, z bijącym sercem, pełną nadziei!

Obszedłszy tak ten wieniec kwiatów, król ujął pod rękę gospodarza, szepcząc mu coś do ucha; spojrzenie jego skierowało się ku Brühlowi, stojącemu na ustroniu, i żywo kilka kroków postąpił ku niemu.

— Kochany hrabio, — zawołał z uśmiechem do niego — bardzo jestem szczęśliwy, że się tu spotykamy. Od dawna widzieć go życzyłem sobie i zatrzeć niemiłe wspomnienie wypadków, o których i jabym rad zapomnieć, i życzyłbym z serca, abyście wy zapomnieli. Tego nieszczęśliwego stolnika, który się wam naraził, nie ma już na świecie, a jest w jego miejscu król, który was szacuje wysoko, ceni przymioty wasze, potrzebuje pomocy i pragnie nagrodzić wam to, coście ucierpieli.

Wyrazy te wyrzeczone tonem pełnym słodyczy i uprzejmości, Brühl przyjął z równą gotowością puszczenia w niepamięć przeszłości.

— Bardzo jestem wdzięczen Waszój Królewskiej Mości, — rzekł — za łaskawe jój dla mnie usposobie-

nie. Pragnę przybranemu krajowi memu, z którym tyle węzłów mnie łączy, służyć, i Waszej Królewskiej Mości razem...

— A do tego, kochany hrabio, będziecie mieli pole szerokie, przy znakomitych zdolnościach waszych, począł król... Natychmiast przywracam wam generalstwo artylleryi, która wam wiele zawdzięcza i obejść się bez was nie może, starostwo warszawskie, do którego macie pierwsze prawo, naostatek indygenat utwierdzi rodzinę hrabiów w obywatelstwie polskiem...

Brühl chciał dziękować.

— Proszę was, przyjmijcie to nie dziękując wcale, jako należną wam restytucję — rzekł Poniatowski. — Jednego się domagam, o jedno proszę, bądźcie mi przyjacielem. Gusta nasze są zgodne: WPan lubisz sztukę, ja także; zabawiasz się literaturą, która mi jest najmiłszém zajęciem; należymy pojęciami, obyczajem, nawet wspomnieniami młodości do jednego świata...

Brühl był oczarowany.

— Możesz W. Król. rachować na to, — rzekł — iż wierniejszego sługi nie znajdziesz. Ambicyi nie mam, więc nikomu drogi nie zaprę, a pracować będę chętnie, bom do tego nawykł.

Rozmowa, do której zdaje się, iż król Poniatowski był zawczasu przygotowany, tak jak to czynił zwykle, gdy cudzoziemców lub ludzi powołania jakiego wyłącznego miał spotkać, natychmiast prze-

szła na artylleryę, jęj postępy, potrzeby, na brak fortec w kraju, stan Kamieńca Podolskiego, możność fortyfikowania Częstochowy i t. p., król starał się okazać przed Brühlem swą znajomość nietylko kraju i stanu artylleryi, ale wymagań czasu i potrzeb wojskowości. Miał téż niepospolity talent mówienia z łatwością i pozorną erudycją o wszystkim, z kobietami o kwiatach, z żołnierzami o wojsku, z rzemieślnikami o warsztatach... Podziwiano w nim nieraz tę encyklopedyczność, którą był winien łatwemu pojęciu -i dostarczany mu notatkom. Tego wieczoru dla Brühla został artylleryzystą i potrafił oprócz popisu z własną erudycją, dobyć z niego wiele wiadomości.

Znał téż namiętność, jaką miał hrabia dla teatru i autorstwo jego sztuk dramatycznych; wyczerpawszy więc artylleryę i fajerwerkerstwo, przerzucił się zaraz do sztuki... zaczął o galeryi drezdeńskiej... potem o teatrze, który chciał utworzyć w Warszawie.

— Jest to zadaniem mojego panowania, — rzekł: z Rzeczypospolitęj stworzyć państwo europejskie, dać narodowi, czego mu braknie lub co utracił: literaturę, teatr, zamiłowanie sztuki. Hrabia mi pomożesz do uczynienia z Warszawy, która jest zbiorowiskiem domostw, miasto godne nosić nazwisko stolicy... Potrzebujemy rozbić średniowieczną skorupę, która na nas przyrosła, i poruszyć się w tropy innych narodów — naprzód...

Wszystkie te piękne plany przyszłości płynęły nietylko z ust, ale z serca króla. Nie ma wątpliwości, że w początkach panowania takie miał zamiary i nadzieje, taki cel przed sobą... Czy zawsze właściwe do dopięcia go dobierano środki—to inne pytanie. Mówiąc unosił się król...

— Tak, i pana i wszystkich proszę, pomóżcie mi, podeprzejcie, poddajcie myśli, siłami waszemi moją słabość wzmocnijcie... Zadanie wielkie jest, piękne i godne szlachetnego narodu....

Brühl mówił na ten raz niewiele, ale król z tych słów, które usłyszał, mógł się przekonać, iż dawniej waśni i żalu śladu nie było. Hrabia cenił spokój i lubił pracę, a intrygi polityczne dosyć mu życie zatruły, aby się od nich odstręczył na wieki.

— Proszę was, hrabio—dodał nareszcie król—bądźcie też pośrednikiem pomiędzy mną a panem wojewodą. Niech on żalu do mnie nie ma...

Ścisnąwszy rękę Brühla, którego zaprosił na obiad jutrzejszy, król poszedł do hrabiny Brühlowej, której także chciał się uklonić i zjednać ją kilką grzecznymi słowami. Na drodze nastręczyła mu się sama Sołłohubowa.

— N. Panie,—rzekła, kłaniając się—przychodzę mu się przypomnieć i prosić, abyś się za pana stolnika na mnie nie gniewał...

— Ja jednak odziedziczyłem po nim,—odezwał się grzecznie król, całując śliczną rączkę—uwiel-

bicie dla pani... i tego, doprawdy, podobno nigdy zapomnieć i z serca wyrwać nie potrafię...

Nie nie odpowiadając Sołłohubowa usunęła się nieco na bok i odsłoniła stojącą tuż po za sobą, śliczną jeszcze naówczas jak różyczka rozkwitającą księżną wojewodnicową, która wachlarz trzymając przy ustach, paluszkami groziła królowi na małym nosku...

Spostrzegł to N. Pan i uśmiechnąwszy się do ustępującej z placu Sołłohubowej, zbliżył się do tej, która uchodziła naówczas za jedną z efemerycznych królowych...

Pani Marya wysunęła się z grona kobiet bardzo zręcznie, i błędząc niby po salonie, przybliżyła się, jakby nieumyślnie do Brühla, który już po rozmowie z N. Panem, znalazł mnóstwo dobrych przyjaciół, co go wchodzącego na salon przywitać nie śmieli.

— Kochany hrabio, — szepnęła mu — przychodzę ci pierwsza może powinszować powrotu do dawnych dostojęstw i urzędów. Szczerze się tém cieszę... Ale cóż? generał artylleryi, który gotów po całych dniach siedzieć w cekhauzie pustym... odebrać nam gotów tego miłego Brühla, którego my tak kochamy...

Spojrzała nań, uśmiechnął się hrabia...

— Wierz mi pani, — rzekł cicho — że gdybym nawet miał nieszczęście zostać królem... i to jeszcze nie potrafiłoby mnie oderwać od uwielbienia dla niej i wiernych jej usług...

— Komplement! — westchnęła Sołłohubowa.

— Ale w nim zawinięta jest ta smutna dla mnie prawda, którą pani wiesz, a ja jój powiedzieć nie mogę...

Król, który śpieszył do księcia kanclerza, ruszył się z miejsca swojego i cały salon znowu drgnął, cisnąc się ku niemu... Wnet po wyjeździe zaczął się nawet wypróżniać, bo znaczniejsza część gości, jak się okazało, tylko nadzieją widzenia NPana sprowadzona była.

Brühlowi winszowano otaczając go dokoła, bo już wiedzieli wszyscy, że do dawnych zaszczytów miał być przywrócony i dziwiono się trochę, iż z takim chłodem stoicznym wiadomość tę przyjmował.

XI.

Długich lat kilka upłynęło, od przywrócenia Brühlowi dawnego jego w Rzeczypospolitej stanowiska. Różowa jutrzienka panowania wpředce zaszła chmurami groźnemi. Generał artylleryi pozostał wśród tych wypadków widzem tylko i pracowitym robotnikiem około tego co mu powierzone zostało. Nie miał najmniejszej chęci mieszania się do wewnętrznych walk i przełomów, które krajem zawichrzyły. Zamykał się w cekhauzie i w domu, jako starosta warszawski czynnie się zajmując stolicą — ale ani teść, ani księżę Radziwiłł, ani inni przyjaciele wciągnąć go nie potrafili w żadną walkę i zaprzadz do żadnego stronnictwa. Nie był stworzony do politycznych kabał, a te, na które patrzył od dzieciństwa, smak mu do nich odebrały.

Miano mu za złe obojętność — Brühl milczał.

— Sumiennie — odpowiadał wyrzucającym mu tę neutralność — sumiennie nie mógłbym powiedzieć co jest lepsze i do dobrego prowadzi — wolę zostać nieczynnym, niż wyrzucać sobie omyłki i błędy.

Pisał więc komedye, lał działa i grał kwartety. W domu ten sam zawsze stosunek grzeczności czulej łączył go z żoną, której zdrowie, pomimo starań lekarzy, coraz bardziej zdawało się zagrożonem. Z anielską cierpliwością pani generałowa znosiła swój kaszel, lekką gorączkę i osłabienie. Parę razy lekarze do wód i na włoskie wyprawiali ją powietrze, jechała posłuszna w towarzystwie Dumont i dodanego dworu, wracała orzeźwiona nieco i po krótkim czasie przeciągu z upartą słabością nazad wracała. Niekiedy na dłuższy czas, powołana jechała do Krystynopola, czasem wołała zamknąć się w Warszawie, mając kościół pod bokiem i ulubionego spowiednika.

Pani wojewodzina patrząc na nią, wzdychała i miała żal do zięcia — lecz nigdy nań słówkiem nie poskarżyła się żona, owszem brała jego stronę i szczerą mu zawsze przyjaźń okazywała.

Ale to było lodowate małżeństwo połączonych dłoni a serc niemogących się zbliżyć, zrozumieć ani połączyć.

Wojewoda kijowski miał może za złe zięciowi, iż się zupełnie przejednał z królem i unikał wszel-

kiego narażenia się mu, umiał jednak szanować charakter Brühla i pozostał z nim w najlepszych stosunkach.

W ciągu tych lat znowu Sołłohub zachorował, trawiła go boleść jakaś wewnętrzna i niesmak do życia. Nie przywiązywał do niego wielkiej wartości. Młody jeszcze, zobojeźniały na wszystko, już się czując gorzej, biedny Jaś — począł szukać rozrywki w grze, która naówczas stała się namiętnością i klęską powszechną.

Grano wszędzie, począwszy od zamku, aż do gospód i sal srebrnych i złotych. Gracze z professyi przybywali do Warszawy tłumami, kupy złota wykładając dla zwabienia łatwego do stołów, do których się docisnąć nie było podobna. Sołłohub nie potrzebował gry szukać, miał ją wszędzie i codziennie. Było to lekarstwo od nudów, przesytu, zwątpienia, gorsze od choroby — apatyę zastępowało gorączką. Słabość jego i wycieńczenie zwiększyły się. Rodzaj życia towarzyszący grze, zabijał go. Wracał do domu osłabiony! kilka dni czasem leżeć musiał, wstawał i powracał do nałogowo już potrzebnej mu trucizny. Łagodnie starała się go odwieść od tego żona, usiłował odciągnąć Brühl — on słuchał rozumowań, uśmiechał się, milczał, potakiwał nawet, a nazajutrz znikał i znajdowano go znowu w tém samym towarzystwie i takim samym rozgorączkowaniu.

Brühl nieraz wysłany przez żonę, biegł go szukać, prosił i zaklinał — lecz nałogu nie zwyciężyć nie mogło.

— Co ci to szkodzi? — wołał ściskając Brühla. Na świecie mi nie smakuje nic, oprócz téj zażartéj walki z głupim losem, i jedyną, ostatnią przyjemność chcecie mi odebrać.

— Ale to cię zabija!

— A jeśli ja pragnę być zabitym? — odpowiadał Sołłohub.

Wygrywając i zgrywając się na przemiany, biedny Jaś doszedł do tego, że w końcu z domu już nie mógł się ruszyć. Naówczas zbierał u łóżka kilku przyjaciół i awanturników, i po całych nocach rzucał kartami. Żona płakała.

Jednego dnia po takiém szaloném wyczerpaniu, zasnął mocniej; posłano po lekarzy, znaleźli go już niemal dogorywającym, nie było ratunku. Gorączka się zwiększała, przyszła senność, nieprzytomność i koniec zwichniętego życia.

Pani Sołłohubowa została młodziuchną i śliczną wdową, zamknęła się w domu, przestała bywać na świecie i przyjmować. Spodziewano się, że to nie potrwa dłużej od żałoby, którą ściśle donosić chciała témbardziej, iż wiadano, że męża kochać nie mogła. Lecz po ukończeniu jég, pani Sołłohubowa pozostała w ciasném kółku krewnych i znajomych... Ci, którym wdzięki jég, majątek, dowcip i wszystkie razem wzięte przymioty nie dawały spokoju, cisnęli

się różnemi sposoby, usiłując zbliżyć do niej — na nic się to nie przydało — mówiła otwarcie, że za mąż iść nie myśli.

W czarnej sukni prostotą swą odbijającą dziwnie od strojów, na które się naówczas wysilano, przyjeżdżała czasem do Brühlów, pokazywała się w kościele, na przejażdżkach i powszechne obudzała zajęcie.

Złośliwe kobiety utrzymywały, iż chciała świat okłamać, udając miłość dla męża, lecz do tłómaczenia tego nie mogły żadnego dodać komentarza, bo postępowanie wdowy nie dawało do tego najmniejszego powodu. Szeptano wprawdzie o przyjaźni dla hrabiego Brühla, o jego uwielbieniu dla niej — ale to były stare dzieje, nowemi niepoparte postrzeżeniami.

Snuło się więc tu życie tak jak ono w rzeczywistości zwykło się prząść z szarych nici, gdzie nigdzie złotym pyłkiem, krasną plamką, czarném pasmem przetykanych. Przynajmniej raz w tydzień wdowa przyjeżdżała do Brühlów i spędzała z nią dzień cały, usiłując jej dopomagać w robotach do kościołów lub bawić rozmową.

Naówczas przybywał do salonu hrabia i małe to kółko, zamknawszy drzwi obcym — bawiło się czytaniem i muzyką. Pani Sołłohubowa, pracowała nad nią wiele i grała pięknie. Brühlowa lubiła słuchać, hrabia ich zachwycił.

W Krystynopolu tymczasem dorastał przyszły dziedzic i następca wojewody, ulubiony jedynak Feliś, na którym największe w przyszłości pokładano nadzieje. Właśnie po wojnie domowej, kraj się nieco uspokajał, gdy hrabia Brühl jednego dnia odebrał z Krystynopola umyślnego z własnoręczną kartką wojewody, ręką drżącą nakreśloną i zawierającą tylko te wyrazy: „Proszę kochanego generała, za odebraniem tego pisma, natychmiast przybyć do Krystynopola. Jest tego gwałtowna potrzeba“.

Brühl z saméj kartki domyślił się, że coś nadzwyczaj ważnego zająć musiało — chcąc się o tém więcej dowiedzieć, przez Godziembę kazał do siebie wezwać posłańca.

Był to jeden z kozaków wojewody, który na zapytanie, coby się działo w Krystynopolu — odpowiedział, iż o nicém nie wie, że wszyscy są dzięki Bogu zdrowi, i że ma rozkaz, konia tylko popaśszy natychmiast wracać dzień i noc z odpowiedzią.

Brühl posłuszny zawsze rozkazom wojewody, — polecił wszystko gotować do podróży — lecz nie mogąc wyjechać dnia tego, odłożył ją do następnego rana. Odpowiedź kozaka znacznie go uspokoiła. Wojewodę znał jako człowieka gwałtownego, którego czasem i małej wagi okoliczność wzburzyć mogła...

Wieczór był dosyć późny, gdy pani Sołłubowa, która wczoraj była u Brühlów, i której wcale

się nie spodziewano, przybyła znowu, ale tak blada, wylekniona i wzruszona, iż od progu z jęj twarzy jakąś złą wieść wyczytać było można.

Na zapytanie troskliwe szepnęła tylko, że się czuje nie bardzo zdrową i że to powoli przejść musi. Dała jednak znak Brühlowi, iż na osobności z nim mówić potrzebuje. Nie było to trudno, gdyż rozmaite, jak zwykle obowiązkowe pacierze i nabożeństwa odciągały po kilka razy w ciągu wieczoru z salonu panią Brühlową, a Dumont prawie zawsze jęj towarzyszyła, nabrawszy także smaku do pobożności nieustannęj.

Gdy hrabina wyszła, Sołłohubowa wstała z krzesła, dobyła z za sukni kartkę i oczyma wskazując drzwi, któremi wysunęła się żona, dała mu znak, aby pismo przeczytał.

Stało w niém:

„Nie opisuję tragicznęj historyi, o której szeroko po kraju rozchodzą się wieści, jak jednak *ad Regiam Majestatem* doniesiono o nięj, dla wiadomości JWPani rzetelnie skreślam. JWPan starosta belzki, syn JWwojewództwa kijowskich, od ośmiu miesięcy za wiadomością rodziców swych uczęszczając na polowania, mil trzy od Krystynopola, bywał w domu JMP. Komorowskich, nowosielskich starostów, gdzie w córce ich, z których starsza poszła za JMPana starostę rachodowieckiego, pokochawszy się, ile że ma być i edukacyi i piękności wielkiey, miał nalegać na rodziców onęj, aby się z nią żenił,

i gdy założona przez nich kondycya być miała, żeby tego postanowienia nie czynić bez wiadomości i zezwolenia JWPP. kijowskich, JMP starosta belzki mocno nalegał, żeby to przed czasem dopełnienia tegoż ożenienia mieć w sekrecie, i za usilnem wy-maganiem rodzice damy podjęli się wyjednać indult, do czego się miała przyczynić Warszawa i poprzednio wiedzieć o tym knowanym maryażu, który nastąpił w dzień św. Szczepana, i rodzice damy mieli przyrzeczoną z miejsca tego protekcyę utrzymywania *validitatis* tegoż małżeństwa. Jakoż po ślubie publicznie ogłoszono téż ożenienie, i że *inpregnata* a ztąd konsekwencya, iż rozwód być nie może.

Zaszła zaś awantura w dzień popielcowy najazdu i *raptus* téjże damy, miał być z gwałtownością, strzelaniem i kaleczeniem kilku tamże ludzi, a dama porwana w największe mrozy w letniem-cale odzieniu i bez futra, a że bardzo delikatnej kompleksyi, największa obawa, czyli, bądź z przeziębienia nie miała jakiego nieszczęścia, ile śladu nie masz gdzie się podziała~.

Doczytawszy do tego miejsca, Brühl zbladł i spoj-rzał na Sołłohubową, która zbliżając się szepnęła mu na ucho :

— Najstraszniejsze wieści... Mówią, że zabita czy utopiona, nad Krystynopolem burza. posądzają o gwałt starostę śniatyńskiego.

— W téj chwili wezwano mnie listem do woje-wody, miałem wyjeżdżać jutro, jadę natychmiast.

Było to pierwsze echo téj straszliwój historyi Gertrudy Komorowskiej, która wkrótce kraj napełniła cały, obudzając oburzenie powszechne przeciwko wojewodzie kijowskiemu, bo jemu utopienie niemilej synowój przypisywano.

Znikli nagle ze dworu podejrzani o popełnienie téj zbrodni kozacy i słudzy wojewody — potwierdzali najstraszniejsze domysły ucieczką swoją.

Nie chciano mówić o tém Brühlowój i przyjaciółka podjęła się strzedz jój od tych wieści, któreby ją niepokojem o rodziców przerazić mogły.

Zaledwie kilka słów zamieniwszy z Brühlem, wdowa poszła pożegnać kuzynkę i wyjechała, Brühl wezwał nieuchronnego Godziembę, którym się we wszystkich razach ważniejszych zwykł był posługiwać. Jemu jednemu mógł zwierzyć wszystko i polecić czuwanie nad żoną. Pan Tadeusz który na samym sobie wypróbował gwałtowność wojewody, ani na chwilę nie wątpił, iż powieść o nieszczęśliwój synowój była prawdziwą. Przyspieszono wybór w podróż, Brühl z listem pożegnał hrabinę, wymknął się z pałacu i z jednym sługą pobiegł na pocztę, nocą jeszcze opuszczając Warszawę.

Stosunki Komorowskich i dawna w kraju niechęć ku dumnemu wojewodzie sprawiały, że wieść o zamordowaniu starościny bełzkiej wzburzyła co żyło przeciw Potockim. W ciągu drogi, mógł się Brühl przekonać, jak straszne i groźne panowało wszędzie rozdrażnienie i wołanie o pomstę. Pędząc

dzień i noc, po najokropniejszych wiosennych roztopach, przybył nareszcie do rezydencji krystynopolskiej. Jak czasu wojny brama była ostawiona wojskiem, na wałach żołnierze, warta przy pałacu... obwach pod bronią... W pałacu samym panowało milczenie złowrogie... słudzy z posępnemi twarzami, stali wszędzie u drzwi na strażach...

Gdy hrabia wszedł do kancelaryi Potockiego, znalazł go siedzącym w krześle, z głową obwiązaną, z ręką po krwi puszczeniu na chuście wiszącą, żonę przy nim i doktora Macpherlana...

Twarz wojewodziny blada była i gniewna, usta zacięte... Gdy się Brühl zbliżył do powitania, nie rzekł nikt słowa...

— Jak się ma Marynia? — ozwała się, wedle zwyczaju — z wysiłkiem wojewodzina.

— Zdrowa...

Wyszedł w tej chwili lekarz... natenczas wojewodzina Anna załamała ręce i wskazując na męża, zawołała z rozpaczą:

— Patrz, patrz, co nam źli zrobili ludzie...

Brühl nie śmiał ust otworzyć...

— Wiesz już o wszystkim? — rzekł słabym głosem wojewoda.

— Z odgłosu tylko, z wieści, a więc jakbym nie nie wiedział... — odparł hrabia...

Potocki zdał się zbierać siły i radzić oczyma z żoną, które z nich powiedzieć miało... całą boleść rodziny...

— Słuchaj! — odezwała się matka, której oczy cisnęły płomieniami...

— Jam spokojniejszy, — przerwał wojewoda — jużem ból mój rozumem pokonał, daj mi jejmość mówić, powiem wszystko...

— To był spisek na nas uknuty w Warszawie, przez nieprzyjaciół naszych, aby mi syna odebrać, aby dziedzica najbogatszego w kraju dać w ręce awanturnikom... To smarkacz jeszcze... skorzystano z młodości... wciągniono do spisku domowników... Znasz Szczęsnego, dziecko jest, ale temperament ma i krew naszą. Wcześniej w nim kipieć zaczęło... Wiesz jak go wychowywano... Głupim był, gdym na usilne prośby pozwolił mu po dwa i trzy dni polować ze starostą zawideckim, nie wiedząc gdzie czas spędza. Wciągnęli go do Nowosiołek Komorowscy, podsunęli mu dziewczynę swoją... Sierakowski im pomagał... Chłopiec oszalał, indult przysłano mu z Warszawy, ślub odbył się potajemnie. Ślub! bez wiedzy ojca i matki z małoletnim.

Wtém wojewodzina wtrąciła:

— Póki ja żyję nie pozwoliłabym na to, nigdy, raczej...

— Cóż czynić było? — dodał nakazując milczenie wojewoda — znieść tę ignominie i dać sobie wydrżać syna?

Tu zamikł i głowę wsparł na rękę.

— Bóg mi świadek... nie chciałem nic więcéj tylko ją kazać wziąć i osadzić w klasztorze... a roz-

wód okupić choćby miljonem, bo o złoto im nie o co innego chodziło... — Tu zniżył głos... — Stało się... nieszczęście.

Śmielsza i więcej zapalona, wojewodzina dodała:

— Pan Bóg ich skarał za to co nam gotowali... Ludzie co ją porwali... krzyk tłumiąc... No! zginęła... w drodze umarła... rzecz skończona... — zawołała wojewodzina rzuciwszy rękami...

— Bóg widzi! — powtórzył Potocki — śmierci nie chcieliśmy...

— Ale na nią zasłużyła... i oni! dobrze im tak. Nie my, nie ludzie, sami Komorowscy zabili dziecko swoje...

Wojewodzina zaczęła się gwałtownie przechadzać po pokoju; Brühl stał zmieszany...

— Generale! — zawołał wojewoda — bądź mi pomocą... Szczęsny tu pozostać nie może... Mnie grożą, jego pociągnąć mogą, serce zmiękczyć, przerazić... uczynić z niego świadka przeciw ojcu własnemu. Zabierz go z sobą, wywieź za granicę, opiekuj się nim. Jesteś mu bratem, synem naszym, synowskiej pomocy żądamy od ciebie...

Wojewodzie łzy pociekły z oczu... Matka milczała gniewna: przypomnienie wypadków wprawiało ją w rodzaj szału.

— Nieprzyjaciele nasi radować się będą... rzucają nas potwarze... kto wie co czeka!! Szczęsnego ratować potrzeba... Wy go możecie uspokoić..

ułagodzić, my dlań musimy być surowi. Przewinił przeciw rodzicielskiej władzy.

Hrabia słuchał tych urywanych narzekania.

— Gdzież Szczęsny? — zapytał.

— Tu, pod strażą, — odpowiedział wojewoda. — Nie możemy na jedną chwilę spuścić go z oka. Komorowscy czuwają... listy szła... gdyby go porwać mogli lub skłonić do ucieczki... odebraliby go nam pod pozorem czułości...

Wojewodzina nogą tupnęła...

— Jutro, nie dalej, w podróż! — dodał wojewoda — na miłość bożą nie opuszczaj nas!! Ratuj...

— Mogę widzieć Szczęsnego? — zapytał Brühl, któremu ciążyła ta rozmowa...

Potoccy spojrzeli po sobie...

— Potrzeba, ażebyś go widział i do podróży przygotował — rzekł wojewoda — lecz proszę, unikaj wszelkiej rozmowy o tém co zaszło... mów o rzeczach obojętnych, jak gdybyś o niczym nie wiedział... Uspokój go... cierpieć musi.

— Zasłużył, — ponuro mruknęła wojewodzina — a my?

Sądząc, że usunięciem się na chwilę przyczyni się do uspokojenia, hrabia wziął za kapelusze. — U drzwi znalazł się dworzanin Bistecki, któremu polecono zaprowadzić go do Szczęsnego. Tu, jak przy pokojach wojewody, a nawet dokoła skrzydła pałacowego i w niejakiem oddaleniu pod oknami,

stały straże... Francuz kamerdyner zamysłony dumiał na progu...

Gdy hrabia wszedł do pokoju, Szczęsny, młody, smukły, z oczyma żywemi chłopak, który na swe lata wydawał się może zbyt dziecinnym, wpół siedział, napół leżał na kanapce... Nieco opodał z książką w rękę zbliżoną do oczu, staruszek ksiądz Wolff modlił się czy czytał dość pilnie... U okna stał niepozorny dworzanin, któremu dobrze się przypatrzywszy, można było w oczkach małych docwip ukryty wyczytać. Był to pan Benedykt Hulewicz, towarzysz zabaw starosty, ulubiony zarówno rodzicom jak jemu...

Na widok Brühla, Szczęsny powoli podniósł się zmieszany z siedzenia i postąpił parę kroków na jego powitanie... Wolff książkę położył, Hulewicz cofać się począł do progu. Hrabia ułożył twarz jak mógł najweselszą.

— Wojewoda mi powiada, żeś niezdrów, — odezwał się — ale nie znajduję śladu choroby na twarzy, dzięki Bogu...

Szczęsny się zmieszał, i jak gdyby odpowiedź chciał opóźnić, przysunął krzesło.

Brühl usiadł.

— W istocie, czułem się trochę chorym, — cichym głosem rzekł Szczęsny, oglądając się dookoła — ale to przejdzie.

— Troskliwi o zdrowie wasze rodzice, — dodał hrabia — chcieliby cię wyprawić za granicę, i czas

też jest, ażebyś trochę świata zobaczył; wojewoda namawia mnie, abym ci towarzyszył... — Spojrzał mu w oczy...

— Bardzobym był rad temu, — rzekł Szczęsny sucho.

— Składa to się dosyć dobrze, — mówił Brühl dalej — gdyż ja i także wybierałem się ku Francyi, moglibyśmy więc przynajmniej część téj podróży odbyć razem.

Z chłodnym półuśmiechem, Szczęsny powtórzył, iż miłoby mu było tak doświadczonego mieć towarzysza podróży....

Rozmowa rozpoczęta w ten sposób, nagle została przerwana. Szczęsny oparł się na stoliku, spuścił głowę i roztargniony począł zwijać i rozwijać kawałek papieru, który mu wpadł w ręce.

Ks. Wolff nie czując się już obowiązany do nadzoru, wysunął się odetchnąć do drugiego pokoju. Hulewicz znikł, zostali sami. Brühl zdawał się czekać zwierzenia poufalszego, a Szczęsny go obawiać — milczeli więc.

— Nic nie masz przeciw téj podróży? — zapytał wreszcie Brühl z cicha, chcąc się dowiedzieć coś od nieszczęśliwego, nad którym czuł politowanie.

Szczęsny spojrzał. — Ojca wola, — rzekł krótko.

— A ty?

Znowu papier począł zwijać Szczęsny...

— Ja, nie wiem... i ruszył ramionami... a wkrótce potem wsparł się od niechcenia na kanapie...

Widocznie Brühl nie wzbudzał w nim zaufania i przykro mu to było. Odważył się więc na śmielsze wystąpienie.

— Radbym wiedział twoją myśl i życzenie, aby się do niej zastosować i starać się przykrości oszczędzić.

— Bardzo dziękuję, — odpowiedział Szczęsny zwolna, ciągle papierem się bawiąc. — Mnie wszystko jedno... doprawdy, wszystko jedno...

— Mojem zdaniem podróż jest lepsza dla ciebie, swobodniejszy w niej będziesz niż tutaj, to cię rozerwie... — rzekł hrabia — a ja, przecież straszny nie będę mentorem...

— Zapewne innych też mieć będziemy towarzyszków podróży? — zapytał nieśmiało Szczęsny.

— Nic nie wiem jeszcze.

Młody wdowiec głową potrząsł i zamilkł...

— A dokąd pojedziemy?

— Sądzę, że do Niemiec i Szwajcaryi...

Rozmowa równie zimna i mało nauczająca ciągnęła się jeszcze z pół godziny, gdy oznajmiono do stołu. Szczęsny, pod pozorem słabości, jadł u siebie, Brühl pożegnał go i odszedł smutny.

Gdy powrócił do sali, w której wojewodzina z karłami, panną Terlecką i ks. Russyanem czekała, rzuciła nań okiem badawczém i podając rękę, szepnęła po cichu:

— Jakżeś go znalazł?

— Bardzo spokojnym...

Niedowierzająco potrzęsa głową.

— Udaje, a wiem, że po nocach rzuca się i płacze... — Na tém przerwała nagle wchodząc do jadalnej sali — gdzie reszta dworu oczekiwała. Przy stole, chociaż wszyscy o nieszczęśliwym wypadku wiedzieli, począwszy od wojewodziny silono się na to, aby o nim ani wspomnieć, ani o nic drażliwego nie potrącić. Na twarzach malował się niepokój i ciekawość, w mowie była powściągliwość i powaga, świadcząca o karności domowej. Wybierano do rozmowy przedmioty najmniejszego z położeniem nie mające związku, unikając imienia starosty bełzkiego, Sierakowskiego, który był posadzony o posilkowanie mu i z tego powodu uchodzić musiał, a nawet wzmianki o miejscach mogących to nieszczęście przywieść na pamięć.

Sucha téż, smutna, wymuszona była rozmowa, rwąca się co chwila, sztukowana... niesmaczna, a ile razy oczy badawcze i ciągle gniewne wojewodziny padły na kogo z domowników, co najprędzej wzrok odwracał, aby go nie posądzono o zbytnią ciekawość.

Brühl wymęczył się u stołu, nim nareszcie objad się skończył, i ks. Russyan rozpoczął wstawszy, ręce złożywszy: *Gratias agamus...* za którym wszyscy stojąc modlitwę dziękczynną powtórzyli po cichu... Karły, które jadły przy osobnym stoliczku, poklekały w czasie modlitwy, a Bebuś i Beba przyszli pocałować rękę pani po obiedzie...

Zatém poszła gospodyni wiodąc Brühla do męża, przy którym czasu objadu, doktor Macpherlan pozostał... Wojewoda czasem po obiedzie drzémał, zostawiono go więc samym, a pani wzięwszy znowu Brühla, poczęła mu dawać na podróż instrukcye... Wszyscy się obawiali, aby Szczęsnego Komorowscy nie opanowali i nie przeciągnęli na swą stronę. Matka szczególniej podejrzewała go o słabość dla nieboszczki, a oziębłość dla rodziców. Brühl więc miał być ciągle przy nim, przynajmniej dopóki granic kraju nie przejechali...

Wojewodzina płakała dostając spazmów na samą myśl, żeby Szczęsny mógł uwikłać się dać Komorowskiem. Już naówczas miano dlań na przyszłość widoki i przeznaczano mu Mniszechównę z Dukli... Dano się tego domyślać hrabiemu.

Zszedł tak czas do wieczorn, a gdy się wojewoda przebudził, wezwał hrabiego na ostateczną konferencyę do siebie. Znać z nięj było, że wszystko co się tyczyło podróży ułożyła matka, bo wojewoda niemal dosłownie to co ona wprzód mówiła powtarzał...

Wyjazd naznaczony był na jutro... Brühl poszedł raz jeszcze do Szczęsnego, którego zastał nad szklanką limoniady i arkuszem papieru zarysowanym figurkami. Ale to szybko ściągnął i schował widząc zbliżającego się szwagra. Trochę smutku, więcej znudzenia i niecierpliwości malowało się na twarzy Szczęsnego... Chociaż pozostali sami z hrabią,

rozmowa nie przybrała pofalszego obrotu, nie mówiono nic o wypadku... Milczenie o nim było snadź nakazane, nikt nie śmiał ust otworzyć...

Ponieważ Hulewicz i Bistecki z dworzan towarzyszyć im mieli w podróży, Brühl wychodząc wieczorem znużony, po spędzonym dniu wśród narzekania i ciszy tajemniczej, dał znak znajomemu sobie Hulewiczowi, aby się z nim udał do jego pokoju... Miał nadzieję więcej się od niego coś dowiedzieć i stosownie do tego pokierować w postępowaniu ze starostą. Hulewicz jednak nie śmiał pójść zaraz, i dał tylko znak, że później służyć będzie. Dopiero gdy się wszyscy pospali wśliznął się do Brühla.

Chłopak był w wieku Szczęsnego, bystry, dowcipny, żywy ciekawy i nie można było wątpić, że wie o wszystkim lepiej od innych. Zrozumiawszy na co go Brühl potrzebował, zaklął go najprzód na wszystko najświętsze, aby mu tajemnicy dochował, potem westchnął i począł opowiadanie po cichu...

Według Hulewicza prawdą było, iż starosta Zawidecki pierwszy, dla rozrywki Szczęsnego doradził odwiedzić w domu hrabiów Komorowskich. Panny były piękne, zwawe, wesołe, a Szczęsny trzymany surowo i w samym wieku tym, który namiętności rozbudza. Za drugą czy trzecią bytnością, szalał za Gertrudą. Niepodobna go było powstrzymać, gotów się był ważyć na wszystko. Komorowscy tém się łudzili, że ród ich był stary

i zacny, że mieli kolligacye wielkie, i że ich zawsze w Krystynopolu dobrze przyjmowano. Spodziewano się więc, że spełnione małżeństwo może z razu gniew obudzić, ale w końcu uznane zostanie. Pierwsza wojewodzina dowiedziała się o małżeństwie i padła zemdlona z gniewu. Zaledwie ją odratowano.

Starosta Zawidecki, gdyby był nie uciekł, padłby był ofiarą zemsty, gdyż na niego, jako dodanego do dozoru, zwrócono cały gniew. Wezwano do porady mnóstwo osób. Wojewodzina szalała. Syn nie mógł się jęć na oczy pokazać. Ojciec złajawszy go jak nieletnie dziecko, zamknął pod strażą.

Zaczęły się bieganiny, intrygi, konszachty, posłańcy, a wojewodzina niezmordowanie była czynna. Wysyłano szpiegi, dowiadywano się o wszystkich obrotach przeciwnego obozu. Naostatek jednej nocy znikli z Krystynopola: Dambrowski pułkownik kozaków, podkoniuszy Wilczek, Grabowski stolnik kozaków, kilku ludzi najśmielszych i najzręczniejszych, jak Satyrko i Szpilka, którym podobno żydki Abramek Jodko i rudy Wolf Szmujłowicz towarzyszyli. Następnego dnia oboje województwo z wielkim niepokojem zdali się oczekiwać wiadomości... Dzień przeszedł w milczeniu. Nocą posłyszano w bramie i dziedzińcu jakieś zamieszanie i gwar, które wprędce ucichły.

Dambrowskiego, Wilczka, Grabowskiego, już w żywe oczy nikt nie widział więcej. Mówiono tylko że ich do ukraińskich dóbr wysłano.

Hulewicz opowiadał, że według powieści, która z ich ust zdaje się szerzyła się po dworze, porwali oni starościny gwałtem, a wioząc ją, poduszkami krzyczącą zarzucali, tak, że ze strachu i braku powietrza, w drodze skonała. Przerażeni zbójcy trupa gdzieś w rzekę mieli przez wyrąbaną rzucić płonkę.

Brühlowi szło o to, jak Szczęsny przyjął wiadomość tę, która do niego dojść musiała, lecz z opowiadania Hulewicza przekonał się, że o losie żony nie wiedział wcale. To tłómaczyło jego rezygnację i obojętność pozorną.

Hulewicz wszystkie posłuchy, jakie pozbierał, powtórzywszy hrabiemu, wymknął się po cichu.

Nazajutrz odjazd, o który wojewoda naglił, był naznaczony. Od rana pakowano powozy, przygotowywano eskortę do granicy. Potocki do dnia swoim obyczajem, wstawszy wezwał zięcia, aby mu raz jeszcze zalecić czuwanie nad synem i nie spuszczenie go z oka, aż do granicy. W czasie popasów i noclegów, nikt się obcy nie miał zbliżać do niego, nikogo do gospód, w których stawać mieli, nie dozwolono dopuszczać.

Gdy się dzień zrobił i do podróży nareszcie wszystko było gotowe, Szczęsny powołany został do rodziców. Brühl wyszedł do drugiego pokoju.

Wojewodzina i wojewoda przyjęli go surowo.

— Jedź waszmość — rzekł ojciec — a staraj się poprawić z lekkomyślności swój, i nie zapominaj o Bogu. Obraziłeś waćpan mnie i matkę postępo-

waniem, które świadczyło, żeś się płochym ludziom dał sprowadzić z drogi obowiązków. Do religii, winnego posłuszeństwa rodzicom i lepszego życia powrócić potrzeba. Chcę wierzyć, że się acindziej poprawisz, i dla tego nie odmawiam mu mojego błogosławieństwa.

Szczesny w milczeniu przykląkłszy, ucałował ręce ojca i matki, której głos żywy i gniewny brzmiał długo, przerywany wybuchami spazmatycznego rozjątrzenia. Nie mogła się wstrzymać, by nie łajać Komorowskich i wszystkich co do tego małżeństwa rękę przyłożyli.

Trwało to dosyć długo, aż wojewoda zatamował ten wylew złości, który zakończył się łzami i spazmami.

Gdy wyszli siadać do powozu, Szczesny blady był jak mur. Razem z Brühlem siedli do karety, która w orszaku dodanych dragonów, wyruszyła nareszcie.

Długi czas trwało w powozie milczenie. Brühl go przerywać nie śmiał. Szczesny nie wiedział może, jak szwagier był usposobiony. Oba więc unikali rozpoczęcia rozmowy. Na popasie przytomność doktora Macpherlana i dworzan, mówić też nie dozwalała. Różnica wieku pomiędzy szwagrami była też przeszkodą do spoufalenia. Brühl znacznie starszy onieśmielał Szczesnego.

Gdy przybyli na noc, snadź z rozkazu wojewody ostawiono już naprzód zamówioną gospodę strażą

do koła. Hulewicz utrzymywał potem, iż byli ludzie nasadzeni, którzy się skradali i usiłowali dostać do Szczęsnego, ale zabiegi ich spełzły na niczem.

W téj smutnej roli mentora i dozorca, Brühl musiał towarzyszyć Szczęsnemu, aż do Strasburga, wedle rozkazów teścia. Młody Potocki drugiego dopiero dnia otworzył usta, zwierając mu się ze swéj miłości dla Gertrudy, której ukrytą miniaturę na piersiach nosił. Przysięgał on, że nigdy kochać jéj nie przestanie i był pewien, że żyje. Nikt nie śmiał jeszcze strasznój prawdy mu powiedzieć, prawdy, którejby nie uwierzył może.

Gdy raz wyznanie to wyrwało mu się, usta się już nie zamykały, i opowiadaniom nie było końca. Jednakże podróż zwolna uśmierzała ból, obudzała się ciekawość, dopominała młodość praw swoich, wracała wesołość. Hrabia usiłował go rozerwać i dopiął tego łatwo, gdyż Szczęsny, wszystko czuł gorąco na chwilę i ulegał coraz nowym podróżom wrążeń.

Z przyjemnością ujrzał Brühl zbliżający się kres téj podróży, w ciągu której po kilkakroć musiał dla uspokojenia pisać do Krystynopola.

Gdy się nareszcie rozstali, a generał uczuł wolnym, spadło mu z piersi brzemię wielkie, i nie zwlekając, zwrócił się nazad do Warszawy.

Za granicą historia Komorowskiej mało była znana, lecz w miarę jak się zbliżał do kraju, Brühl

mógł się przekonać, jak straszny i uwłaczający wojewodzie kijowskiemu rozgłos miała. Wszyscy nieprzyjaciele Potockich i obrońcy praw ludzkości, wołali o pomstę do Boga na okrutnego magnata, który śmiał morderstwem rozrywać nienawistne syna małżeństwo. Był to doskonały temat dla nieprzyjaciół instytucyj rzeczypospolitej, dla tych, co radykalnych reform żądali.

Dzienniczki niemieckie, gazetki pisane, listy pełne były snutych na tém tle opowiadań. Malowano w nich wojewodę straszniejszym jeszcze niż był tyranem. Jak sprawa toruńska wprzód, jak porwanie króla przez konfederatów, historia Komorowskiej obracała się przeciw całemu krajowi i robiła mu nieprzyjaciół. Na granicy znalazł Brühl wrzawę tę jeszcze straszniejszą i groźniejszą. Sprawą zajmowali się wszyscy.

Drobna szlachta domagała się na magnata kary przykładnej, nielitościwej, kraj się niejako dzielił na obozy, ale obrońców Potockich ledwie nieśmiałych i nielicznych znaleźć było można. Brühl z tém większym pośpiechem zdążał do domu, że jakkolwiek uczucie szacunku i przyjaźni wiązało go tylko z żoną, lękał się o nią, wiedząc, ile dozna dowiadując się o tém, co się stało w Krystynopolu.

Wątpił, ażeby zdołano przed nią utaić całą okropność téj tragedyi i powszechny o niej sąd ludzi.

Zaledwie wysiadłszy, zapytał o żonę i dowiedział się, że chora wyjechała do Krystynopola.

Godziemba, po którego posłał, i któremu zrazu, zapomniawszy się, chciał wyrzucać, że nie towarzyszył hrabinie — opowiedział mu smutny, iż chora pojechała do rodziców, odebrawszy wiadomość o losie starościny bełzkiej. Dumont z nią była.

List, który mu oddano, nie wzmiankujący o niczem — krótki, pisany dla formy, oznajmował, że żona wkrótce powróci zamierza. Jakoż powróciła w dui kilka, chora, blada, milcząca, i rozpoczęła znowu swe życie dawne, nie śmiejąc ani męża pytać o brata, ani ust przed nim otworzyć o wypadku. On téż o nim nie wspominał, a obcy unikali wszelkiej alluzji. Zapłakane oczy i głęboki smutek generałowej świadczyły, jak okrutnie cierpiała. Dochodziły ją, mimo wszelkich ostrożności, pisma szkalujące, druki w których rodziców jój dotykano boleśnie, biedna kobieta zamknęła się w domu i kościele, oprócz rodziny nie przyjmując nikogo. Oszczędzano jój, o ile się to dało, przykrości, jakie każde wspomnienie historyi Komorowskiej, czyniło na wrażliwej i chorj — ale to był cios ostatni, który wziętą już i znękaną miał dobić.

Okrutny wyrok wojewody kijowskiego, pomszczony być miał na własnem jego dziecięciu.

Pani Brühlowa zachorowała silniej, wszystkie symptomata rozwinęły się gwałtowniej, lekarz sprowadzony nie taił, że hrabina miała suchoty. Słabość mogła się przeciągnąć, nie śmiano obiecywać, aby uleczoną być miała. Dumont, której upartą ideą

było, że wszystkiego złego powodem stało się niedobre małżeństwo i tajone cierpienia serdeczne, łamała ręce, zarówno może nad losem pani ubolewając i swoim.

Brühl, jak zawsze, okazywał się troskliwym, uprzedzającym, czułym, i nikt mu obojętności, zaniedbania zarzucić nie mógł. Otaczano największymi staraniami chorą. Francuzka siedziała nieodstępnie, sekretarz czytał głośno, ale po gorączce nastąpiło wycieńczenie, zobojętnienie, apatya i ten spokój przedśmiertny, który jest ciszą — co burzę skonu poprzedza.

XII.

EPILOG.

Po długich cierpieniach — z rezygnacją, ze spokojem chrześcijańskim, skończyła życie Marya Brühlowa — w ostatniej godzinie uśmiechając się do otwartych niebios, które we snach widziała.

Dumont nie odstępiała jej do końca, a gdy zgon już był bliski, dobre serce stariej Francuzki chciało ostatnią pociechę przynieść umierającej. Zawołała płaczącego w przedpokoju Godziembę, aby wychudłą i stygnącą jej rękę raz jeszcze do ust przycisnął. Umierająca uśmiechnęła mu się i prędko zamknęła oczy, jakby ze strachu, a w nocy już u schyłku przywołać kazała kapłana, aby mu się z tego wejrzenia, z tego uśmiechu wypowiadać raz jeszcze...

Po pogrzebie, Godziemba, którego już nie wstrzymywało w Warszawie, prosił hrabiego o uwolnienie, wyjechał do swoich starych, tęskniących ku niemu zawsze, i nigdy więcej nie wrócił. W kilkanaście lat potem, znano go w Pińszczyźnie, jako pięknego jeszcze starego kawalera, który oparłszy się wszelkim namowom i pokuszeniom opiekunów swych i przyjaciół — pozostał bezżennym.

W tym kraiku ustronnym i zapadłym, Godziemba uchodził za człowieka wielkiego świata, za wyrocznie — a że charakterem zasłużył na szacunek powszechny, dom jego stał się później jednym z tych, do których cała okolica uczęszczała, mając sobie za honor być przyjmowaną u podkomorzego. Tytuł ten dostał mu się w trzecim roku pobytu na nowém dziedzictwie.

Dumont, której dość znaczny zapis i dożywotnią pensję na dobrach swych zapisała Brühlowa, pozostała w Warszawie, z razu w pokoiku, który jej hrabia zająć pozwolił, ale wkrótce, troskliwa o przyszłość, wydała się za podkoniuszego hrabiego Brühla, niejakiego Mellerę, młodszego od niej o jaki lat dziesiątek. Poszli z nim razem na własne gospodarstwo. Głuche potem wieści powiadały, że straciwszy wszystko z powodu męża, który zbyt dobre rzeczy lubił, musiała szukać na starość przytułku w Tulczynie.

Po śmierci hrabiny Brühlowej, wdowa po Sołto-

hubie, którą widziano jeszcze na pogrzebie kuzynki, nazajutrz znikła z Warszawy.

Brühl nierychło śmiał się o nią dowiadywać, chociaż serce go ku niej ciągnęło, bo dawnemu przywiązaniu wiernym pozostał. Wolni teraz oboje, mogli dzisiaj, choć późno, podać sobie ręce na resztę drogi życia. Los, wypróbawwszy serca, jakby naumyślnie uprzątnął z drogi wszelkie zawady.

Ale pani Sołłohubowój nie było, zdawało się, jakby się szczęścia tego przestraszyła i uciekła. — W półroku potem Brühl niespokojnie dowiadując się o wdowę, nie mógł o nią żadnej pewniejszej dostać wiadomości. W jej domu wiedziano tylko, że wyjechała za granicę, ale miejsca pobytu, który zmieniała często, nikt wskazać nie mógł.

Kilka listów wysłał hrabia napróżno, nie odbierając żadnej odpowiedzi. Rodzina dalsza składała się niewiadomością o celu i kierunku podróży którą uważano za dziwactwo lub za coś nawet gorszego...

Kilka jeszcze upłynęło miesięcy, gdy Brühl, któremu dojmowała tęsknota, niespokojny postanowił odbyć podróż dla własnej rozrywki i wytchnienia, mając może na myśli, że los mu nastreczy przypadkowe z Sołłohubową spotkanie. Nazbyt go też żeniono i koniecznie swatać chciano w Warszawie, a zwłaszcza siostra Mniszchowa nalegała na niego, aby się żenił, pragnął więc też od tych natrętnych projektów się uwolnić i zejść z oczu.

Marszałkowa utrzymywała, że brat miał obowiązek szukania żony, że mógł świetny zrobić mariaż i tp. Hrabia nie zapomniał był, iż téj siostrze winien już był po części pierwsze swe ożenienie i stracone dni życia. Nie chciał jój tego wymawiać ale naglony, ucałowawszy jój rękę, skłonił się i rzekł:

— Jeżeli to ma być koniecznością, abym się ożenił, moja droga Amelio — pozwól mi się ożenić samemu. Pierwszy raz poświęciłem się dla ojca, kobietę uczyniłem nieszczęśliwą, sam przecierpiałem wiele, teraz chcę być swobodnym i pójść za sercem własném.

Marszałkowa uśmiechnęła się złośliwie.

— Myślę, rzekła mu na ucho, że chyba trochę już przywiedła Sołłohubowa znajdzie łaskę w twoich oczach, ale...

Brühl przerwał przykrą mu rozmowę, nie chciał, aby ktoś obcy, nawet siostra rozbierała to uczucie, które dlań było świętém i nietykalném.

Mniszchowa jednak, mająca na widoku jedną z księżniczek Lubomirskich, miała czas podszeptać złośliwie, iż wdowa widocznie wyjechała dla uniknięcia starania o jój rękę, mając pewne stosunki, których przyznać nie było trudno, jakąś potajemną miłość, która groziła okropnym mezaliansem i z którą ukrywać się musiała.

Brühla potwarz ta nie wzruszyła wcale, znał nadto dobrze Maryę. Późną jesienią wybrał się do

Saksonii i do Włoch. Cel podróży był naukowy i artystyczny, lekarz radził mu téż nadmorskie powietrze. Po drodze potrzebował hrabia zwiedzić swe majątności w Forscie i Pförtenie w niższych Łużycach, gdzie miał znaczne fabryki żelaza, poznać swą posiadłość Turyngijską w Gangloffsömmernie, pomyśleć o losie pałacu i ogrodu w Dreźnie, które życzył sobie sprzedać z rotundą Albuzzi i innemi własnościami miejskimi, które na jego część po ojcu przypadły.

Dosyć czasu zabrała Saksonia, obejrzenie pozostawionych tam zbiorów artystycznych, rozporządzenie niemi, nareszcie z małym pocztem wyruszył hrabia ku Włochom. Starając się korzystać po drodze ze wszystkiego, co się nastęczało, zaglądając wszędzie gdziekolwiek coś było do widzenia, przeciągając umyślnie podróż nie wymagającą wygód, bo Brühl był najwstrzemięźliwszym i najmniej do życia potrzebującym człowiekiem, nareszcie na karawą stanął w Wenecyi.

Był to niemal przeddzień upadku rzeczypośpolitéj, żywego trupa, który bronił się rozpaczliwie napastującej go zewsząd zgniliźnie. Królowa Adryatyku była naówczas zbiegowiskiem awanturników szukających tu rozrywki, znęconych sławą swobody, z jaką można się było zgrywać, szaleć i trzpiotać z pięknemi Włoszkami.

Jak zawsze, jak wszędzie niemal, i tu orgia poprzedzała zgon — ale szalom tym przyświecały cu-

downe mozajki starych mistrzów, cudniejsze obrazy szkoły, która już uczniów nie miała, wspaniałe gmachy Sansovinów, lazurowe morze, wielkie przeszłości bohaterskiej pamiątki.

Potęga Wenecyi była już cieniem tylko, urok jēj rzeczywistością jeszcze.

Wieczorami, gdy się tłum cudzoziemców wysypał, wyroił na oświecony księżycem plac św. Marka, gdy na pół osłonięte postacie przesuwwały się pod galeryami prokuracyi, a z okien zaczęły brzmieć gitary i piosenki — można się jeszcze było na chwilę sądzić w starėj Wenecyi Dandolów, Contarinich, Falierich. Ten urok miasta zbudowanego na morzu, jedyne go w świecie, dziwnego jak sen, pięknego jak bajka, i Brühla zachwycił w pierwszych dniach pobytu.

Jak każdego przybysza, usiłowali go opanować czyhający na podróźnych cudzoziemców, tytułowani, wykwinłni, sypiacy złotem dla wyciągnięcia go awanturnicy, ale Brühl grzecznie pozbył się natrętów. Znamca i miłośnik sztuki, cały się oddał zwiedzaniu kościołów i pałaców, pełnych jeszcze arcydzieł Pawła Werończyka, Tycyana, Tintoretta, Bellinich.

Wycieczki na Lido, na wysepki sąsiednie, później znajomości z kilku patrycyuszami, do których miał listy polecające — dosyć przyjemnie czas spędzać dozwalały. Chociaż unikał zbiegowisk i zabaw szumnych, chciał raz Brühl widzieć ową sławną

maskaradę wenecką, a nie chcąc mieć świadka téj fantazyi, którą sam za zbyt płochą uważał, udał się prawie potajemnie na nią.

Ówczesne maskarady odbywały się nie w zamkniętych salach jakiegoś teatru, ale na placu św. Marka, po kawiarniach, w domach, w całym mieście wszędzie. Maski wesołe przybywały gondolami, przebiegały plac i piazettę, gubiły się czasem w bocznych uliczkach, nikły gdzieś w domach, lub odpływały niepostrzeżone, jeżeli kto gonił za nimi. Lud i signorya mieszały się razem, cudzoziemcy i miejscowi.

Hrabia, który zajmował mieszkanie w starój gospodzie pod Luną, potrzebował tylko kilka zrobić kroków ku placowi, aby w tłumie i gwarze się znaleźć. Maską była dlań zbyt czerwoną, zdawało mu się, że nikt go tu poznać nie może. Gwar już i śmiechy panowały na placu, gęsto nabitym różnobarwną i bardzo wesołą publiką, gdy Brühl się wcisnął pomiędzy lud, aby przysłuchać się śpiewom i koncertom. Nie brakło na pulcinellach wyprawujących figle, i maseczkach, które rade były cudzoziemca intrygować. Hrabia uchylał się ostrożnie, gdy kobieta czarno ubrana, pięknej postawy, widocznie do lepszego należąca świata, z twarzą okrytą aksamitną maseczką i woalem, zmienionym głosem poprosiła go o rękę.

Zdziwiony Brühl ją wyciągnął. Naówczas mały paluszek nakreślił mu na dłoni F. A. B.

Nie sposób było odgadnąć, maseczka się śmiała po cichu. Zawinięta w obszerną mantyllę, nieznamo ani postawą, ani głosem się nie zdradzała.

Brühl pewnym będąc, że go któryś z patrycyuszów zdradził — grzecznie zaproponował przechadzkę po placu, lecz kobieta odmówiła mu podania ręki, i chciała tylko iść obok niego.

— Pani wprawdzie znasz pierwsze litery mojego nazwiska — rzekł hrabia — lecz wątpię, żebym ja miał szczęście być jój znany.

— O! i owszem, bardzo dobrze! — ozwał się głosik cieniutki.

— Dajże mi pani tego dowody? — zapytał Brühl...

— Najłatwiej — mówiła maska — jesteś pan synem wielkiego ministra, masz dwa kraje, które się do ciebie przyznają, byłeś żonatym, nie byłeś szczęśliwym, masz wszystko co szczęście daje a dotychczas szukałeś go na próżno.

Zdziwił się Brühl nieco.

— To wszystko — rzekł — mogą być wiadomości, o które łatwo, można mnie nie znać i dostać ich z ust czyichś.

— A! ale ja cię znam, mój hrabio — ciągnęła maska dalej — lubisz sztukę, malujesz, lubisz muzykę i grasz, lubisz teatr i piszesz komedye. Nie prawdaż?

Brühl w domysłach się gubił.

— Tak,—znam cię, ciągnęła dalej czarna maseczka... a że jestem trochę wróżką... nawetbym ci przyszłość mogła przepowiedzieć!

— Nie... tój nie jestem ciekaw — odparł Brühl z uśmiechem — zakryto ją przed nami dla szczęścia naszego, nie chcę podnosić zasłony... Życieby było bez smaku, gdybyśmy jego *menu* wiedzieli.

— Dziękuję...

— Szkoda, — odezwała się maseczka — miałam panu, który podobno nie byłeś szczęśliwym, który nie kochałeś nigdy...

Brühl zaprotestował...

— Ale tak! tak! — szybko powtórzyła maska — nie kochałeś nigdy... bałamuciłeś się tylko trochę... pamiętasz z tą Angielką!! a potem... z tą... nie powiem. . To były bałamuctwa nie miłości... teraz, masz się zakochać w młodziuchnej, ślicznej dziewczeczce, no! i... no .. i być bardzo szczęśliwym... Proś mnie na wesele...

— Niestety! maseczko moja,—zawołał Brühl—dowodzisz, że i mnie nie znasz, i prorokinią nie jesteś! Kochałem raz w życiu i nie przestałem kochać... a jeśli tój, o której myślę, nie znajdę, prędzej kapucynem zostanę niż mężem...

— Żartujesz,—mówiła ciągle maska wyciągając go z tłumu i wysuwając się ku piazecie... Ta, którą ci się zdaje że kochałeś, jest już i nie młodą, i życiem znękaną... Kto wie czy onaby ciebie

chciała? a ty, teraz ją zobaczywszy, czybyś się nie rozczarował?

Tak mówiąc doszli do brzegu, u którego stały gondole; kobieta skinęła główką, rzuciła się w jedną z nich, i nim Brühl miał czas się namyślić, pogonić za nią, znikła...

Wioślarze otaczali go, wołając:

„Gondola! Signore! Gondola!...” Brühl porwał pierwszą z brzegu i kazał mu się wieźć za tą, która ich poprzedziła... Wioślarz czy nie zrozumiał, czy nie dopatrywał... lecz pogoń nie miała skutku... Zaciekawiony, podrażniony hrabia wrócił późno do Luny i nie mógł sobie przebaczyć swój niezręczności. Był to widocznie ktoś z Polski i z tego świata, w którym on się obracał. Ale kto?

Hrabia wpadał wprawdzie na myśl, że to mogła być Sołłohubowa, ale ani głos, ani postawa nie zdawały się należeć do niej.

Parę dni upłynęło na daremnych poszukiwaniach; gdy towarzyszący mu w podróży sekretarz Francuz, dawny jeszcze ojcowski sługa, jednego ranka wszedł z twarzą dziwnie rozweseloną do pokoju...

— Panie hrabio,—rzekł żywo, zacierając ręce— zdaje mi się, że przynoszę nowinę, za którą na podziękowanie zasłużę. Wypadkiem dowiedziałem się tu o osobie, którą, jeśli się nie mylę, hrabia byś sobie pewnie życzył odwiedzić.

— Kogo? — zapytał trochę obojętnie Brühl — bo ja do odwiedzin nie mam najmniejszej ochoty.

— Jest tu pani hrabina Sołłohubowa.

General poskoczył z krzesła, nie kryjąc wcale jaką mu to sprawiało przyjemność.

— Gdzie? jak? — dowiadywać się począł...

Usłużny i domyślny zwiastun téj dobrej nowiny. oznajmił, iż hrabina oddawna zamieszkiwała w Wenecyi i zajmowała znaczną część pałacu Contarinich nad Canal Grande...

Ucieszony tą wiadomością, Brühl ubrał się natychmiast, posłał po gondolę, i nie tracąc chwili czasu — pojechał. Obawiając się, że może nie być przyjętym, kazał na dole oznajmić służbie tylko, iż przybywa z Polski i ma listy i polecenia od familii — nie wymieniając nazwiska.

W kwandrans potém wpuszczono go do sali, po staroświecku umeblowanój i zawieszonój obrazami, których ramy starte, równie jak sprzęty, świadczyły o długim zaniedbanu i ruinie.

Z bijącym sercem oczekując, stał z oczyma wlepionymi we drzwi, gdy te się otworzyły i Sołłohubowa weszła: Pobladła zobaczywszy go, chciała się cofnąć z razu... stanęła jak osłupiała... a potém żywo podbiegła ku niemu...

Powitanie było milczące...

— Czy to sen? — odezwała się w końcu drżącym głosem wdowa...

— Nie, pani... ale dziwne losu zrządzenie, coś coby palcem Opatrzności nazwać należało... Jechałem do Wenecyi bez nadziei spotkania pani, bez myśli nawet szukania téj, która się zdawała umyślnie ukrywać przedemną. Dziś rano... szczęśliwy traf pozwolił mi się dowiedzieć, że pani tu jesteś...

Wdowa milczała, oczy spuściwszy na ziemię.

— A, pani, — mówił Brühl — godziłoż się tak odemnie uciekać, w chwili gdy ja najgoręcej widzieć ją pragnął?... gdy... największe do tego miałem prawo?... Popełniłaś pani okrucieństwo.

Zamknął chwilę, gdy mu na myśl przyszło to, co od siostry słyszał.

— Będę szczerym, — dodał. — Jeżeli wam jestem natrętnym, jeżeli to prawda co u nas może zmyślili, może podchwycili ludzie: że ta ucieczka była serca potrzebą, że ja tłómaczy jakieś przywiązanie, stosunki... obowiązki, szczęścia nadzieje... ja się od-
dałem i nie będę zamacał pokoju waszego...

Sołłohubowa oburzyła się mocno, podniosła oczy czarne na Brühla, ruszyła ramionami i odezwała się głosem, w którym niemal gniew się malował:

— Cóż to za potwarze? kto mógł co podobnego wymyślić? o kim mowa? o jakich stosunkach? To coś niepojętego dla mnie!

— W Warszawie mówią nawet już... o mezaliansie, — odezwał się Brühl — choć, tam gdzie się łączą serca... ja mezaliansu nie rozumiem.

— Lecz któż mógł coś podobnego wymyślić! — krzyknęła ręce łamiąc hrabina. — Dałamże najmniejszy nie powód, ale cień powodu do posadzenia mnie o coś takiego... o pokątne miłostki? mnie! która kochając poszłabym głosić na rynku miłość moją! bobym się jój nie wstydziła. Mnie! mnie!

Brühl zamilkł. Żywo poruszała się pierś pięknej Maryi, a lice zarumieniło... Milczała i ona, zdając się walczyć z potrzebą mówienia i postanowieniem milczenia...

— Powodem do tych domysłów niedorzecznych, — odezwał się hrabia — była ta dziwna ucieczka pani z Warszawy, zatarcie śladów za sobą, ukrywanie miejsca pobytu, niezrozumiałe... niewytłomaczone... Ludzie chcieli odgadnąć przyczynę i trafili na myśl... według nich, bardzo naturalną.

— Tak! prawda! osądzili mnie według siebie. Te panie nie postąpiłyby inaczej. Im cięższyby ich wdowie szaty, musiałyby szukać rozrywki, choćby w jakimś mezaliansie nie nazwisk, ale serc i ducha... dla — zabawki... co robić z nudów!

Pani Sołłohubowa, przestraszona własną złośliwością, rączką sobie zatuliła usta.

— A więc, to fałsz, — rzekł Brühl — ucieczka jój pozostaje więc mniej jeszcze zrozumiałą. Ja jako stary, może najstarszy z tych, którzy do tytułu przyjaciół pani mają prawo, czy nie mógłbym spytać??

— A! mój Bożo! czy może być co prostszego, muiej potrzebującego komentarzów? — z uśmiechem wymuszonym poczęła gospodyni. Poprostu znudziła mnie jednostajność w Warszawie. Kobieta, istota płocha (*c'est convenu*, płochemi być musimy), szukałam rozrywki, czegoś nowego, a może samotności, może ciszy... spoczynku lub czegoś co się nie daje określić.

— I to właśnie w chwili — przerwał Brühl — gdy jęj stary, biedny przyjaciel, ręce ku nięj wyciągał o pociechę... o słówko... o wejrzenie... a gdyby był śmiał... o więcj może!

— *Halte-là*, — przerwała Sołłohubowa poważnie. Nie grajmy w chowanego; za starzy na to oboje jesteśmy; mówmy otwarcie jak na dobrych przyjaciół przystało. Wiesz pan dla czego wyjechałam z Warszawy, uciekłam, zniknęłam?.. bom was kochała...

Brühl pochwycił rączkę, którą mu natychmiast wyrwano.

— Będę miała odwagę wypowiadać się do końca — mówiła dalej wdowa. — Kochałam was pocziwie, serdecznie, pragnąc szczęścia dla was... nie dla siebie. Gdybym na miejscu została, miała-bym sobie do wyrzucenia żem się u was upominała o należną, o odgadniętą, może już ostygłą miłość, że chciałam wam jarzmo narzucić... Zesłam wam z oczu, bo pragnę, abys sobie wyszukał młode serce, twarz świeższą od mojęj... kochanie nowe,

coby wam zapłaciło długie życia tęsknoty... — Oto był powód odjazdu mojego, — dodała ze wzruszeniem — przyczyna, dla której jutro uciekam z Wenezyi.

Domawiała tych słów, gdy Brühl się jęł do nóg rzucił i pochwycił ręce... oczy miała łez pełne.

— Więc chcesz mnie na wieki nieszczęśliwym uczynić? — zawołał. — Ja ciebie kochałem jedną i kochać będę do zgonu, nie mam już serca dla nikogo... Tyś dla mnie zawsze tą Marynią, co mi z uśmiechem rączkę niegdyś podawała... jakby obietnicę, iż kiedyś ją otrzymam na zawsze... Droga Maryo, nie chcejże dobijać tego, który żyje tobą i dla ciebie!

Pani Sołłohubowa milczała.

— Czyż wątpisz o mojem przywiązaniu? — zapytał z wymówką.

— Nie, nie, — szepnęła głosem łzami przerywanym — alebym nie chciała, aby życie rozczarowało cię i odebrało mi je... Któż wie, czy mnie kochać będziesz, gdy zostanę twoją, gdy się resztką uroku rozprysunie, a każdy dzień odzierać mnie będzie z niego!... Zostańmy z dala tym dwojgiem tęskniących do siebie... to lepiej może.

— Nie, ja cię nie puszcze! jak cień i zmora wlec się będę za tobą! — zawołał Brühl — musisz być moja... Byłoby szaleństwem, świętokradztwem było, dla marzenia jakiegoś mnie zabijać na ofiarę.

— Wstań! — odezwała się Sołłohubowa — już nie wiem co się dzieje ze mną... niech się stanie co chcesz!

I zarzuciła mu ręce na szyję...

Brühl... po tym uścisku pochwycił jej rękę, zdjął z niej pierścionek i włożył na swój palec. Marya się nie opierała, heroizm jej we łzach się rozplynął — zwyciężyło pragnienie choć krótkiego szczęścia na ziemi.

— A teraz, — rzekła wiodąc go za rękę z sobą — chodź i zobacz tego, dla którego ja uciekłam z Warszawy...

Mówiąc to otworzyła drzwi i wprowadziła go do gabinetu... Stał w nim z jednej strony klęcznik do modlitwy, — z drugiej na stoliku, otoczony kwiatami świeżemi, portret Brühla...

Późnym wieczorem powrócił hrabia dnia tego do Luny, i od progu już wydał rozkazy. aby się pakowano do podróży. W pałacu Contarinich ruch też był wielki: ukochana pani opuszczała Włochów, którzy się do niej przywiązali serdecznie.

Przez trzy dni następne Brühl już nie oglądał ani pałaców, ani obrazów, ani kościołów, spędzał je z Sołłohubową. Miała go ona o dni kilka poprzedzić do Warszawy. Brühla nie wiązało nic, oprócz własnej woli; wdowa też miała tylko daleką rodzinę.

Nim starościna ejszyska, bo tak zwano wdowę po Sołłohubie, dojechała do stolicy, poprzedziły ją

już wieści dziwnie szybko nadeszły o jej zamążpójściu za Brühla. Wszystkie piękne panie warszawskie, które z rzadką łatwością naówczas miały nie tylko ulubieńców, ale mężów nawet, nie mogły się wydziwić owęj stałej miłości, o której mówiono, że sięgała lat dziecinnych...

Było to dla nich coś monstrualnego... Zazdrościły jedne, śmiały się drugie, inne niedowierzająco ramionami ruszały...

Brühla położenie w Rzeczypospolitej, rosnące znacznie, świeży jego wybór do Rady nieustającej jako członka komissyi wojskowej, czyniły go partją bardzo świetną i godną zazdrości. Nie dziw, że na wdowę poglądano okiem zawistném, nie umiając sobie wytłómaczyć tego uroku, jaki miała dla Brühla. Wszelkiemi sposoby usiłowano małżeństwo w śmiech obrócić — ale... nikt nie zważał na to.

Powróciwszy Brühl głosił swe zaręczyny, a ślub odbył się z przepychem i wystawą jak największą, przy licznym zjeździe rodziny...

Generał będąc jednym z najzamożniejszych obywateli Rzeczypospolitej, nie szczędził nic na uświęcenie tego dnia, na który oczekiwał tak długo.

Poczęły się dni szczęścia, ale nie trwały tak jak oczekiwanie.

W rok potem urodził się hrabiemu syn, którego z uroczystością wielką cały korpus artylleryi trzymał do chrztu w cekhauzie. We trzy dni później oficerowie, którzy do generała przywiązani byli jak do

ojca — wyprosili u króla dla dziecięcia tego patent porucznika... Syn starosty, który został pełnoletnim w dwunastoletnim roku życia, w kilka dni po przyjściu na świat otrzymał stopień dowódcy, a na pamiątkę wybito medale...

Jeszcze rok... nowe nadzieje... Brühlowa nadto była szczęśliwa, aby w trwanie życia tego wierzyć mogła — przeczucia zgonu ją trapiły.

Jakoż ten sam kapłan, co ślub jój dawał, pobłogosławił na wieczności drogę, i stuła, którą haftowała do ślubu, służyła księdzu przy namaszczeniu ostatniém.

Dwa groby, dwóch Brühlowych, matki i żony, stanęły obok siebie u Kapucynów w kościele. *Sic transit gloria — sic transit vita — sic transit amor et omnia.*

KONIEC.





Biblioteka Raczyńskich

JK 916



JK0916